

EWA ORNACKA

KOMBINAT ZBRODNI

**WŁADCY MOKOTOWA.
HISTORIA NAJBARDZIEJ BRUTALNEJ
GRUPY PRZESTĘPCZEJ W POLSCE!**



EWA ORNACKA

KOMBINAT ZBRODNI

GRUPA MOKOTOWSKA



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

Polska mafia ma na swoim koncie wiele krwawych porachunków, ale tylko dwie egzekucje – zdaniem specjalistów, którzy ją ścigają – były przełomowe. Pierwsza to zabójstwo Pershinga, szefa grupy pruszkowskiej. Druga – żony Bajbusa, lidera jednego z wielu podwarszawskich gangów, powiązanego z grupą mokotowską. Strzelając w Zakopanem do Pershinga, który przyjechał tam na narty, naruszono niepisaną zasadę, że nie załatwia się porachunków podczas wyjazdów wypoczynkowych. Zabijając – kilka lat później, w Kobyłce pod Warszawą – idącą rano po bułki matkę dwójki dzieci, złamano żelazną zasadę, że w męskich wojnach nie strzela się do rodzin.

Od tamtej pory w mafijnej Polsce nic już nie jest takie jak dawniej.

O „Pruszkowie”, który wydał wyrok na Pershinga, powiedziano i napisano wiele. Prawdę o „Mokotowie”, który zabił Annę, znają nieliczni.

Wstęp

Ta historia zaczyna się w gdyńskim porcie, a nie – co mogłaby sugerować nazwa organizacji przestępczej, o której opowiada niniejsza książka – w warszawskiej dzielnicy Mokotów. Pojawia się w niej rezydenci kolumbijskiego kartelu narkotykowego, powiązany z mafią konsul Kostaryki i pewien sprytny obywatel Izraela, który sprowadził do Polski pierwsze maszyny do gier hazardowych, dzięki czemu mafia zrobiła niezły interes. Będzie o kopalni diamentów, liście śmierci i gangsterskich mogiłach. Liczonych w setkach tysięcy euro okupach, odciętych palcach i złych „psach”. Egzotycznie i sensacyjnie jak w filmie – można by się przechwalać w reklamowym spocie. Ale to nie scenariusz filmowy, lecz prawdziwa opowieść nie tylko z gigantycznymi pieniędzmi i masą kokainy w tle. Cichym bohaterem tej książki jest ludzka krzywda. Wręcz niewyobrażalna, bezkresna. Żadne słowa nie zobrazują jej rozmiaru.

Moja książka nie jest chronologicznym zapisem działalności grupy mokotowskiej (ani też kompendium wiedzy o niej). Grupy, która swoją brutalnością, ogromem dokonanych zbrodni, a także powiązaniem z policją przez wiele lat paraliżowała świadków i ofiary. Dla mnie, autorki dokumentów i książek o polskiej mafii, istotniejsze od dat są emocje, a tych – w przeciwieństwie do dat –

próżno szukać w dokumentach sądowych.

Impulsem do napisania opowieści o grupie mokotowskiej stało się dla mnie spotkanie z Agnieszką, córką Bajbusa i zastrzelonej przez mafię Anny. Poznałyśmy się na planie filmowym zimą 2016 roku podczas realizacji serialu dokumentalnego *Kobiety i mafia*. Agnieszka była bohaterką piątego odcinka, zatytułowanego *Córka gangstera*. Poruszona jej historią i wrażliwością, naiwnie wierząc, że poruszą one także ministra sprawiedliwości, namówiłam ją, by napisała do niego list. Sprawę zabójstwa jej mamy umorzono, i to lekką ręką, chociaż prokuratura dysponowała zeznaniami skruszonego gangstera, który z dużym prawdopodobieństwem wskazał, kto za tym stał. Na słabszych materiałach dowodowych budowano akty oskarżenia i skazywano zabójców. Zresztą do tamtej zbrodni w ogóle nie musiało dojść, gdyż już dwa miesiące przed egzekucją śledczy wiedzieli o planach wymordowania rodziny Bajbusa. Zlekceważyli to, a kluczowe ostrzeżenie włożyli do szuflady. Z sobie wiadomych względów udawali, że sprawy nie ma. Dlatego Annę podziurawiono kulami, a jej dzieci musiały opuścić dom rodzinny, gdyż ich życie nadal było zagrożone. Postępowanie wobec policjantów i prokuratorów za to odpowiedzialnych umorzono.

Minister sprawiedliwości to zapracowany człowiek. Nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć na list Agnieszki. Od tego ma urzędników, a oni nie dopatrzyli się powodu, dla którego prokuratura powinna wznowić śledztwo. Córka zamordowanej Anny nigdy tego nie zrozumie, a jej ojciec nigdy tego śledczym nie wybaczy. Być może odwołuje swoje wcześniejsze wyjaśnienia pogrążające grupę mokotowską, bo czuje się zwyczajnie oszukany. Prokurator, który go oskarżał, uważa jednak, że Bajbus dostaje za

to pieniądze.

Co to za organizacja, która strzela do kobiet i planuje zabójstwo dzieci? Jak to możliwe, że przez wiele lat przestępcy z „Mokotowa” napadali, rabowali i uprowadzali ludzi dla okupu, posługując się oryginalnymi legitymacjami i policyjnymi mundurami? Czy prawdą jest, jak ukazał w filmie *Pitbull. Nowe porządki* Patryk Vega, że przestępcom pomagali funkcjonariusze? Książka, którą trzymają Państwo w ręku, jest próbą odpowiedzi na te, a także szereg innych pytań.

Niewiele brakowało, a w ogóle by nie powstała. Kiedy w sierpniu 2016 roku w Sądzie Okręgowym w Warszawie sędzia Barbara Piwnik ogłosiła wyrok uniewinniający członków tzw. gangu obcinaczy palców z „Mokotowa”, kilku bohaterów tej opowieści straciło odwagę. Niektórzy definitywnie się wycofali. Inni – w trosce o własne bezpieczeństwo i życie swoich bliskich – zażądali gwarancji pełnej anonimowości. Akta wielu spraw karnych przeciwko członkom grupy mokotowskiej, nawet te zakończone prawomocnymi wyrokami, okazały się niekompletne lub w ogóle niedostępne dla dziennikarzy. Krążyły po różnych sądach i prokuraturach, załączane do aktualnie toczących się postępowań. Tuż przed zakończeniem pracy nad książką zawahał się sam Bajbus, chociaż w jego przypadku nie chodziło o strach, bo odwagi mu nie brakuje. Przekonany, że żadna książka nie zmieni nastawienia śledczych do sprawy zabójstwa Anny, zastrzegł, by w tej historii „w ogóle go nie było”. Z oczywistych względów jest to niemożliwe, ponieważ on sam był częścią tamtych struktur. Jednak szereg informacji, które mogłyby narazić go na niebezpieczeństwo lub konsekwencje prawne, musiało zniknąć z kart tej książki. Pozostawione fragmenty rozmów z nim są nieautoryzowane.

Zdarzenia i fakty tu opisane pochodzą w znacznej części z akt sądowych (protokołów z przesłuchań, aktów oskarżenia, uzasadnień wyroków), rozmów z uczestnikami wydarzeń po obu stronach barykady, czyli śledczych i przestępców, oraz relacji ofiar. Konfrontowałam je z doniesieniami medialnymi, przywołując najbardziej wiarygodne moim zdaniem źródła i autorów: Violetę Krasnowską, z którą pracowałam w tygodniku „Wprost”, Rafała Pasztelańskiego z portalu TVP Info – skarbnicę wiedzy o „Mokotowie”, Michała Fajbusiewicza z niezapomnianego *Magazynu Kryminalnego 997* oraz Piotra Pytlakowskiego z „Polityki” i Krzysztofa Spiechowicza z TVN – moich przyjaciół w zawodzie, z którymi realizowałam m.in. serial dokumentalny *Alfabet mafii*.

„Niech pani nie wchodzi w ten świat. Grupa mokotowska to czeluści piekiel” – przestrzegała mnie w trakcie rozmowy na temat tzw. listy śmierci okrzyknięta królową mafii Monika Banasiak, była żona Słowika. Ale ta opowieść musiała powstać. Choćby dlatego, by poznać rozmiar zła wyrządzanego przez „Mokotów” i skonfrontować to zło z łagodnością polskich sądów. Także po to, by zobaczyć z bliska dramat człowieka uprowadzonego dla okupu i spróbować zrozumieć bezsilność/nieudolność policji w ściganiu sprawców takich przestępstw. W końcu po to, by posłuchać człowieka, który stworzył ten gang i przez lata niepodzielnie nim kierował. Andrzej H., ps. Korek, bo o nim mowa, nigdy wcześniej nie rozmawiał z żadnym dziennikarzem. Nigdy też nie oskarżono go o zlecenie zabójstwa, chociaż on sam przyznaje, że nieoficjalnie przypisuje mu się sprawstwo kierownicze wielu zbrodni. Czy bierze odpowiedzialność za terror, masowe porwania dla okupu i krwawe porachunki, będące dziełem podległych mu ludzi?

O tym właśnie jest ta książka.
Zaczynamy podróż do czeluści piekieł.

Autorka

Z akt sądowych

„W latach 90. na terenie dzielnicy Mokotów w Warszawie powstała zorganizowana grupa przestępcza zwana mokotowską, na czele której stał Andrzej H., ps. Korek, Łysy. Początkowo była luźno związana, ale od połowy lat 90. stanowiła już silną organizację przestępczą. Była to grupa hermetyczna. Przyjęcie w poczet członków następowało poprzez popełnianie razem z innymi osobami konkretnych przestępstw. Liczyła kilkuset członków, wielu spośród nich wzajemnie się nie znało.

Działalność grupy mokotowskiej obejmowała swoim zasięgiem teren nie tylko Warszawy, ale i innych miejscowości w Polsce, a działalność związana z przywozem na terytorium Polski narkotyków obejmowała kraje Ameryki Południowej, Holandii, Grecji, Federacji Rosyjskiej i Litwy.

Andrzej H. kierował grupą od początku, to jest co najmniej od 1994 roku do dnia swojego zatrzymania, które nastąpiło 14 lipca 2004 roku, a także rozstrzygał spory pomiędzy podgrupami działającymi w ramach grupy mokotowskiej. W środowisku przestępczym wiadomym było, czy dane osoby należą do grupy mokotowskiej, gdyż powoływały się na przynależność do niej. Ułatwiała to prowadzenie przestępczego procederu. Przykładowo wiedza o tym, że Krzysztof M., ps. Bajbus, należał do grupy mokotowskiej, powodowała, że zgłaszały się do niego osoby otwierające dyskotekę czy agencję towarzyską i prosiły go o zapewnienie ochrony. Bajbus szedł z tym wtedy do Korka, który następnie kierował go do Sebastiana L., ps. Lepa, i Artura N., ps. Arczi, gdyż to oni – na polecenie Andrzeja H. – zajmowali się haraczami.

Korek organizował dla członków grupy wspólne spotkania towarzyskie typu wigilia, jajeczko, pępkowe, andrzejki. Osoby stojące zbyt nisko w grupie nie były zapraszane. Bajbus po raz pierwszy był na takiej imprezie w andrzejki w 1998 roku”.

(sprawa karna XVIII K 54/08 Sądu Okręgowego w Warszawie
przeciwko członkom grupy Bajbusa - z uzasadnienia wyroku)

Salonowe znajomości

Najczystszą pod słońcem kolumbijską kokainę o czarnorynkowej wartości szacowanej na 80 mln zł odkryto w ładowni holenderskiego statku *Tanja*. Statek wypłynął z Wenezueli, a zawinął do portu morskiego w Gdyni 17 stycznia 2003 roku. W jednym z kontenerów znajdowała się maszyna przypominająca wielki baniak. Taki sprzęt można spotkać jedynie na platformach wiertniczych i w rafineriach. Tymczasem odbiorcą kontenera miała być firma budowlana, zarejestrowana również jako „nabywca kwiatów z Kolumbii i papryki z Hiszpanii”.

Cholernie ważna notatka służbowa

Przy nabrzeżu pojawili się celnicy z psem przeszkolonym do wykrywania narkotyków. Wprawdzie zwierzak zachowywał się spokojnie, lecz celnicy bezzwłocznie powiadomili o przesyłce Centralne Biuro Śledcze w Gdańsku. Po telefonie na policję zabezpieczyli maszynę przed jej wywiezieniem z bazy kontenerowej.

Cholernie ważną notatkę służbową – jak określił ją potem jeden

ze śledczych – sporządził aspirant z Wydziału XI Centralnego Biura Śledczego w Gdańsku i opatrzył datą 23 stycznia 2003 roku. Notatka ma wartość historyczną. Oznacza początek prawdziwych problemów nie tylko Andrzeja H., ps. Korek – szefa grupy mokotowskiej, ale całej gangsterskiej korporacji, jaką przez lata był „Mokotów”. To od niej rozpoczynam lekturę akt sądowych (sygnatura sprawy IV K 200/05 Sądu Okręgowego w Gdańsku).

Oto pełna treść notatki:

„W toku wykonywanych czynności służbowych funkcjonariusze Wydz. XI CBS KGP z siedzibą w Gdańsku uzyskali informację, że w styczniu 2003 roku ma dojść do przemytu znacznych ilości narkotyków z jednego z krajów Ameryki Południowej do Polski. Z informacji tej wynikało, że narkotyki mają być przemycone drogą morską, ukryte w kontenerze zawierającym maszynę budowlaną lub też ładunek wapna. Odbiorcą przesyłki w Polsce ma być firma Belbud z siedzibą w Warszawie, ul. Maciejewicka 16/2. Jej właścicielami są:

– Jerzy B. [ur. w 1947 r., skazany w procesie szefa «Mokotowa» na 10 lat więzienia – przyp. aut.]

– Andrzej B. [nieistotny w tej historii – przyp. aut.]

W wyniku współpracy nawiązanej z Izbą Celną w Gdyni ustalono, że do gdyńskiego portu wpłynął statkiem *Tanja* awizowany kontener nr CMCV-433089-7 z załadowaną na platformie maszyną, co do której ustalono, iż jest to dwufazowy separator gazu z ropy naftowej, używany na platformach wiertniczych. W tym samym dniu wspólnie z funkcjonariuszami Izby Celnej w Gdyni dokonano wstępnych oględzin urządzenia mających na celu ustalenie, czy jest to urządzenie deklarowane, czy jest kompletne i jakie jest jego przeznaczenie.

W wyniku tych ustaleń uzyskano uzasadnione podejrzenie o bezprzedmiotowości importu takiego urządzenia przez firmę budowlaną. Zwłaszcza że – jak ustalono – jedynym użytkownikiem tego typu urządzeń może być wyłącznie firma górnictwa naftowego Petrobaltic w Gdańsku. Czynności te pozwoliły na przygotowanie separatora do prześwietlenia sprzętem RTG. Wcześniej uwidoczniono wewnątrz czarną folię (endoskopem i wideoskopem wprowadzonym przez odkręcone przyłącza rur do zbiornika).

W wyniku wcześniejszych konsultacji ze specjalistą firmy Petrobaltic ustalono, że wewnątrz tego urządzenia nie mogą znajdować się żadne przedmioty, a budowa zbiornika separatora uniemożliwia dostanie się do środka bez rozcinania poszycia.

Dlatego podjęto decyzję o jego rozcięciu przy użyciu pił mechanicznych. Dokonano tego z pomocą Sekcji Ratownictwa Technicznego Straży Pożarnej, w wyniku czego stwierdzono – na całej objętości wnętrza zbiornika – obecność paczek opakowanych w folię koloru brązowego i żółtego, które zabezpieczono zgodnie z protokołem oględzin.

Sporządził:

aspirant [tu imię nazwisko]

detektyw XI Wydziału CBS KGP w Gdańsku”

W separatorze gazu znajdowało się 190 paczek z kokainą po 1,2 kg i 135 po 1,25 kg. W sumie 396,75 kg białego proszku.

Ruszyło śledztwo. Separator mógł pomieścić 1300 kg i taka ilość była brana pod uwagę przez organizatorów przemytu – ustaliła Prokuratura Okręgowa w Gdańsku. Producent kokainy, podobno jeden z najważniejszych ludzi w tej branży, niejaki Eduardo, przyjeżdżał do Polski na spotkania z szefem „Mokotowa”. Nalegał, aby odbiorcą zbiornika została firma powiązana z rafinerią. Nie udało się takiej znaleźć i pozyskać do kokainowego interesu, więc Korek wskazał firmę budowlaną „Belbud” Jerzego B. Trudno powiedzieć, czy w ten sposób popełnił błąd, bo nawet gdyby odbiorcą na papierze była Rafineria w Gdańsku, to i tak transport okazałby się „spalony”.

– Statek był w drodze, a i tak wszyscy wiedzieli, że do Polski płyną moje narkotyki – powiedział mi szef grupy mokotowskiej podczas rozmowy, której spore fragmenty znajdują Państwo w tej książce.

To oczywiste, że tak precyzyjne informacje, jakimi dysponowała policja, nie mogły pochodzić z przypadkowego podsłuchu. Ale o kulisy wpadki próżno byłoby pytać zaangażowane strony. To oczywiste, że właściciel transportu nie zdradzi, kogo podejrzewa o współpracę ze służbami, a policja i prokuratura nigdy nie zdekonspirują źródła przecieku. Kokaina o czarnorynkowej

wartości około 80 mln zł bezpowrotnie przepadła, a szef „Mokotowa” dostał za ten przemyt 12 lat więzienia.

– Ja na kokainie w Polsce nie zarobiłem złamanego grosza – przekonywał mnie Korek.

A miało być tak pięknie. „Moim celem jest zarobić 33 miliony dolarów – mawiał w gronie bliskich współpracowników. – Po milionie dam każdej z moich trzech córek, a resztę będziemy mieli z Misią do końca życia” [Misia – tak mówił o żonie – przyp. aut.]. O marzeniach Korcka opowiedział prokuratorowi pewien biznesmen, znany w szerokich kręgach biznesu jako Żyd. Za chwilę przyjrzymy mu się z uwagą, ponieważ w historii grupy mokotowskiej odegrał niebagatelną rolę.

– Dobrze, Żydzie, że jesteś – powiedział Korek jakiś czas przed wpadką w Gdyni. – Spodziewam się sporej gotówki w związku z tym siuwaksem i będziesz mi potrzebny.

– Co to jest siuwaks? – dociekał Żyd, chociaż w różnych rozmowach wielokrotnie już słyszał to sformułowanie.

– Kokaina – wyjaśnił Korek i dodał: – No więc z siuwaksem sam sobie poradzę, ale ty, Żydzie, będziesz mi potrzebny przy zagospodarowaniu gotówki. Masz izraelskie kontakty i bezpiecznie ulokujesz pieniądze za granicą. Będzie ich tak dużo, że nie widziałeś takiej ilości nawet w Art-B.

Ale Żyd nie zdążył zagospodarować kokainowych zysków. Na marzeniach się skończyło. Wpadka transportu okazała się spektakularna.

– Wiedzieliśmy, że w separatorze były narkotyki – zaskakująco otwarcie przyznaje Dariusz Makowski, wówczas prokurator Wydziału do Walki z Przestępczością Zorganizowaną Prokuratury Okręgowej w Gdańsku, któremu powierzono śledztwo (dziś

adwokat w Sopocie). – Jednak nie mieliśmy pojęcia, jak to otworzyć, dlatego trzeba było ciąć separator. Zużyto wtedy trzy piły do ratowania życia [tzn. przecinania karoserii samochodów po wypadkach, aby dostać się do rannego kierowcy i pasażerów – przyp. aut.]. Tymczasem u góry znajdował się zamaskowany otwór, którym osoba zorientowana bez trudu wydobyłaby zawartość.

– Kiedy ustalono, do kogo należała kokaina?

– Trzy dni po zatrzymaniu transportu zadzwoniła do mnie [tu nazwisko znanej policjantki z Komendy Głównej Policji, zaangażowanej m.in. w śledztwo dotyczące zabójstwa generała Marka Papały] i powiedziała, że to narkotyki Andrzeja H. Korka z grupy mokotowskiej. Mówiąc szczerze, bez tej informacji nie wiedzielibyśmy, gdzie szukać.

– Czy moglibyśmy porozmawiać o tamtym śledztwie?

– Nie wiem, czy taka rozmowa byłaby dla mnie korzystna, i to z kilku powodów. Jeden z nich jest taki, że nadawców tamtej przesyłki – chociaż udało się ustalić, kim byli, nie objęto zarzutami, oni są na wolności. Jorge Murillo, były konsul Kostaryki, też uniknął odpowiedzialności karnej.

Kręta droga do "Mokotowa"

Konsula Kostaryki poznamy za chwilę. Dla uporządkowania tej historii najpierw przyjrzyjmy się człowiekowi o pseudonimie Żyd, bo to jedna z kluczowych postaci w opowieści o grupie

mokotowskiej.

„O wszystkim, co dzieje się w grupie, decyduje zarząd. To są tzw. starzy mokotowscy. Należą do niego: Korek, Szelaż, Grzesiu, ps. Kolarz, Mynieki, Marek, ps. Żyd, i Daks. Korek był główną i najważniejszą osobą w zarządzie, ale decyzje odnośnie do wydatków podejmowali wszyscy wspólnie. Oni mieli pod sobą różne grupy, m.in. grupę Bajbusa, które pracowały na zarząd” (fragment wyjaśnień skorumpowanego policjanta „Steryda”, złożonych w śledztwie dotyczącym grupy Bajbusa, w której działał i popełniał przestępstwa).

Żyd nie pochodził z Mokotowa, jak wielu rdzennych członków gangu. Nawet nie był warszawiakiem. Urodził się w 1954 roku w Radomiu. To od niego zaczęła się w Polsce moda na automaty do gier hazardowych, na których w latach 90. „Mokotów” i gang pruszkowski zarabiała majątek. „Będąc w Paryżu i siedząc w barze, zobaczyłem, że stała tam taka maszyna i cały czas ktoś wrzucał do niej pieniądze – wspominał w Gdańsku, po aresztowaniu w związku z przechwyconym transportem kokainy. – Spisałem sobie z tabliczki znamionowej producenta, pojechałem do Madrytu i stamtąd ściągnąłem pierwszą maszynę do Polski. Zobaczyłem, że może ona przynosić duże zyski. I tak zająłem się maszynami”.

Naprawdę nazywał się Marek M., miał polskie obywatelstwo i mieszkał w Raszynie. Z zawodu był technikiem budowlanym, ale pytany o zajęcie i stan posiadania przedstawiał się jako współwłaściciel kopalni diamentów Orange River w Namibii. W wielkim świecie biznesu, w którym czuł się jak ryba w wodzie, zasłynął jako Dawid Marcos Grossbaum Perez. Takie dane widniały w paszporcie wydanym mu w Izraelu. Wyjechał tam w pierwszej połowie lat 90. z powodu sprawy karnej, jaka toczyła się przeciwko niemu w sądzie za paserstwo samochodów. Marek M. wiedział, że poszukuje go policja, dlatego schował się za granicą.

Sam wymyślił sobie nowe nazwisko, które – jak twierdził w rozmowie z prokuratorem – było wtedy popularne w Izraelu. Dlatego je wybrał, żeby specjalnie nie rzucało się w uszy i oczy.

Żyd twierdził, że wizę załatwił mu w ambasadzie Izraela w Niemczech przedsiębiorca Wiesław P. z Zakładów Futrzarskich w Kurowie, a do Izraela wyjechał na zaproszenie jednego z bohaterów afery Art-B – Bogusława Bagsika.

Prasówka:

„Zakłady futrzarskie w Kurowie są chyba najbardziej tajemniczą firmą w Polsce. Dotychczas nikomu nie udało się stwierdzić, skąd pochodził kapitał nowego właściciela, Wiesława P.. Nie wiadomo też właściwie, jaką rolę odgrywa w spółce jej prezes Bogusław Bagsik. Kilka dni temu pojawiła się szansa odkrycia tajemnic Kurowa, bowiem «zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez Bogusława Bagsika, prezesa zarządu Zakładów Futrzarskich Kurów 1 SA», złożył w Prokuraturze Rejonowej Warszawa-Śródmieście członek rady nadzorczej firmy, reprezentujący skarb państwa. Zarzuty dotyczą naruszenia prawa handlowego. To kolejna afera związana z kurowskim przedsiębiorstwem od czasu, gdy większościowy pakiet akcji nabył Wiesław P., skazany (wyrok jest nieprawomocny) za uprowadzenie, przetrzymywanie w swoim domu i torturowanie członków tzw. gangu karateków. To Wiesław P. zaproponował Bogusławowi Bagsikowi, oskarżonemu o zagarnięcie z polskiego systemu bankowego 4 bln starych złotych, stanowisko prezesa zarządu. Firmą P. i Bagsika (przedsiębiorstwem, w którym skarb państwa ma jeszcze 15 proc. akcji) zainteresowała się także

Najwyższa Izba Kontroli.

O zakładach w Kurowie zrobiło się głośno jesienią ubiegłego roku, kiedy okazało się, że Wiesław P., człowiek posiadający duży majątek niewiadomego pochodzenia oraz afiszujący się kontaktami w kręgach biznesu, ale także znajomy Pershinga (zginął w grudniu ubiegłego roku w Zakopanem) i Ireneusza Sekuły (zmarł w szpitalu po tym, jak postrzelił się w niejasnych okolicznościach), kupił 51 proc. akcji. W jednym z wywiadów stwierdził, że udziały w kurowskiej fabryce nabył za pieniądze ulokowane w banku. (...) Śledztwo prowadzone w związku z zabójstwem Pershinga oraz wstępne działania policji po zamachu samobójczym Ireneusza Sekuły ujawniły, że firma z Kurowa mogła odgrywać wyjątkową rolę w sieci interesów Sekuły, Bagsika, Pershinga i P.”.

(Violetta Krasnowska, Skóra Bagsika, "Wprost", nr 20, 2000)

Żyd powiedział śledczym (a potem przed sądem, podczas kokainowego procesu), że po otrzymaniu paszportu na nowe nazwisko wiele podróżował. Jego wyjazdy z Izraela miały być związane z interesami Bogusława Bagsika i Andrzeja Gąsiorowskiego.

– Co to były za interesy? – dociekał prokurator.

– Kupowałem im samochody. Potem podróżowałem z Jahirem [tu równie egzotyczne nazwisko], który zajmował się przerabianiem samochodów na pojazdy kuloodporne oraz ich sprzedażą dla rządów różnych państw. Był nawet taki pomysł, aby ruszyć z tym w Polsce.

– Dokąd podróżowaliście i kto finansował te wyjazdy?

– Wyjeżdżaliśmy do Hongkongu i Macao, do krajów arabskich i bliskowschodnich, za pieniądze Jahira.

– Gdzie pan poznał Bogusława Bagsika?

– Było to w 1992 lub 1993 roku w Polsce. Poznałem także Andrzeja Gąsiorowskiego. Łączyły mnie z nim sprawy samochodowe.

– Jakie to były sprawy? – chciał wiedzieć prokurator.

– Kiedyś sprzedałem Andrzejowi Gąsiorowskiemu samochód i tak się poznaliśmy. Podczas pobytu w Izraelu początkowo mieszkalem u Bogusława Bagsika. Zajmowałem się oprowadzaniem i wożeniem gości, którzy przyjeżdżali do Izraela. Robiłem to w zamian za utrzymanie. Wyprowadziłem się, gdy mój gospodarz zaczął mieć problemy rodzinne. Wtedy zamieszkałem u Andrzeja Gąsiorowskiego.

– Czym się pan zajmował?

– Ściąganiem samochodów z Niemiec. Trwało to do zamknięcia [aresztowania – przyp. aut.] Bogusława Bagsika.

Żyd, jako Dawid Marcos Grossbaum Perez, podróżował również w szczytnych celach. Po odzyskaniu niepodległości przez Erytreę – państwo będące niegdyś prowincją Etiopii – znalazł się w czteroosobowej grupie konsultantów z Izraela, która wyjechała tam w ramach pomocy gospodarczej. Żyd był ekspertem od takich zagadnień jak sprzęt spożywczy, połowy dalekomorskie, kopalnie marmuru pozostawione odłogiem po okupacji. Spędził rok w Erytrei i w całym jego skomplikowanym CV tamten czas należał do najbardziej chlubnych. Ekspert do spraw gospodarki w pełnym tego słowa znaczeniu. Prawda, że to brzmi dumnie?

Fotograficzna pamięć bohatera
afery Art-B

Bogusław Bagsik niechętnie przyznawał się do znajomości z Żydem. Pytany podczas policyjnego przesłuchania, czy zna Marka M. – zaprzeczył. Powiedział, że nie zna także Dawida Marcosa Grossbauma Pereza, asekurowując się wymówką, że generalnie nie kojarzy nazwisk.

– Mam pamięć fotograficzną. Gdybym widział zdjęcie, to mógłbym się wypowiedzieć – wyjaśnił policjantom.

Dwaj funkcjonariusze z Gdańska, prowadzący tamto przesłuchanie (obaj w stopniu nadkomisarza), przedstawili mu tablicę poglądową. Była na niej oznaczona numerem 1 fotografia Marka M. vel Dawida Marcosa Grossbauma.

– Jest to mężczyzna, który był u mnie w Izraelu, i z tego, co pamiętam, miał na imię Marek lub Mariusz – przypomniał sobie wtedy Bogusław Bagsik.

– Czy pamięta pan okoliczności poznania Marka M.?

– Nie pamiętam. Przypuszczam, że był mi przedstawiony przez Andrzeja Gąsiorowskiego. Z tego, co sobie jeszcze przypominam, to miał on w Izraelu jakiś problem, ale nie wiem, o co chodziło.

– Czy pomagał mu pan w uzyskaniu wizy do Izraela?

– Nie kojarzę. Wysłałem paru ludziom zaproszenie, ale teraz nie pamiętam, czy wśród nich był ten mężczyzna.

– Robił pan z nim jakieś interesy? – dociekali śledczy.

– Nie, broń Boże.

Policjanci mieli widać inne informacje, bo dociskali świadka pytaniami, na które – zdawać by się mogło – od dawna znali odpowiedzi.

„– Czy robił pan z Markiem M. interesy w Sierra Leone?

– To chyba on mówił mi, że można robić interesy właśnie w Sierra Leone. Mówił coś, że może załatwić samochody w Niemczech, przerzucić je do Sierra Leone, gdzie miał

firmę, i tam chciał założyć przedsiębiorstwo taksówkowe. Nic jednak z tego nie wyszło.

– Czy jest prawdą, że razem z Markiem M. vel Dawidem Markiem Grossbaumem sprowadził pan do Sierra Leone dwa duże statki ryżu i zarobiliście na tym po 800 tysięcy dolarów?

– Bzdury totalne. Ja osobiście miałem firmę w Sierra Leone, ale nigdy nie byliśmy wspólnikami. Nie jest prawdą, że zarobiłem z nim pieniądze.

– Czy prawdą jest, że pieniądze zarobione na sprowadzeniu ryżu wydał pan na adwokata po zatrzymaniu pana w Szwajcarii? – bardziej stwierdzał, niż pytał, jeden ze śledczych.

– Bzdura totalna.

– Czy świadek widział się z Markiem M. w Polsce, a jeśli tak, to ile razy i kiedy to było?

– Na pewno po 1999 roku lub później, jak wyszedłem z więzienia. Przypadkowo spotkałem go w Warszawie. Wymieniliśmy grzecznościowe «cześć» i się rozstaliśmy. Potem już go nie widziałem, ale pewny nie jestem. Nie pamiętam”.

(fragmenty z protokołu przesłuchania świadka
Bogusława Bagsika z 15.09.2004 roku)

Jak Żyd poznał Korka...

Marek M. powrócił do Polski, jako Dawid Marcos Grossbaum Perez, pod koniec lat 90. Zamieszkał w Warszawie. „Podawał się za osobę, która zmuszona była opuścić Polskę w 1968 roku z uwagi na żydowskie pochodzenie, a teraz wróciła, by robić w Polsce interesy” – ustalił Sąd Okręgowy w Gdańsku, który w uzasadnieniu wyroku kokainowego z 30 czerwca 2009 roku opisuje również początek znajomości Żyda z szefem „Mokotowa”. Otóż Kerek i Marek M. poznali się w Warszawie w 1999 roku. Płaszczyzną do wspólnych interesów były automaty do gier hazardowych. Żyd zarejestrował firmę o swojskiej nazwie „Sołtys”, która była producentem i serwisantem maszyn, a Kerek wiedział, jak te automaty najlepiej i najbezpieczniej eksploatować. W spotkaniu biznesowym

uczestniczył księgowy Korka – ekonomista z zawodu. Mowa o Bogusławie K. (urodzony w 1952), nazywanym tu i ówdzie „białym kołnierzykiem «Mokotowa»”. Panowie szybko się dogadali i uzgodnili, że rozpoczynają współpracę w tym zakresie. Żyd wynajął i zaadaptował na potrzeby biurowe budynek w Jankach przy Wspólnej 12, gdzie regularnie bywał Korek, który zarejestrował kolejną firmę zajmującą się dystrybucją automatów.

Interes z automatami sam się kręcił, bo taka była moda i zapotrzebowanie. Wspólnicy odcinali kupony od zysków. W „Sołtysie” Żyd był prezesem, ale szybko się zorientował, że tylko papierowym. Kto inny podejmował strategiczne decyzje...

...a konsul Żyda

Zanim wkroczymy w świat kokainy, porwań i gangsterskich porachunków, wróćmy na chwilę na salony, a konkretnie do mieszkania Andrzeja Gąsiorowskiego w Izraelu. To tam Marek M., ps. Żyd, spotkał człowieka, bez którego opowieść o kokainowych interesach „Mokotowa” byłaby niekompletna. Jorge Williama Murillo de Durana przedstawiono mu jako konsula Kostaryki w Polsce, ale nie zapamiętał, czy jako byłego czy aktualnie pełniącego urząd. Właśnie wyjeżdżał z Izraela do swojego kraju. Z rozmowy wynikało, że konsul pomagał Bogusławowi Bagsikowi przewozić pieniądze z Polski do Izraela. Potem Żyd i konsul kilkakrotnie rozmawiali przez telefon, ale nie dlatego, że połączyła ich przyjaźń czy interesy. „Do rozmów dochodziło między innymi dlatego, że gdy Murillo dzwonił, to ani Bagsik, ani Gąsiorowski nie chcieli z nim rozmawiać i dawali oskarżonemu (tzn. Żydowi)

słuchawkę, aby go spławił” – ustalił prowadzący śledztwo prokurator Dariusz Makowski.

Żyd i konsul spotkali się ponownie w Polsce. Z punktu widzenia przestępczych interesów była to wyjątkowo owocna znajomość.

Żyd i konsul spotkali się akurat wtedy, gdy ten pierwszy zaczął remont budynku swojej firmy w Jankach. Konsul zatelefonował i powiedział, że pracuje teraz w Zakładach Futrzarskich w Kurowie u Bagsika i właśnie wybiera się do Warszawy, więc może wpaść (studiował w Polsce, płynnie mówi po polsku). Żyd podał mu swój adres i następnego dnia panowie pogadali sobie o starych znajomych.

Nowa praca dyplomaty

Potem konsul odezwał się wiosną 2001 roku.

„Miał kłopoty z P. [to ten, który załatwił Żydowi izraelski paszport – przyp. aut.] i z pracą, mówił, że P. go pobił w pracy i on rezygnuje. Zapytał, czy znalazłaby się jakaś praca dla niego. Był to okres, gdy automaty starego typu masowo się psuły. Marek M. pomyślał, że można by skorzystać z tego, że Murillo jest z Kostaryki, i tam je wysłać. Kiedy się spotkali, konsul podłapał pomysł z eksportem maszyn. Mówił, że ma duże znajomości jeszcze z okresu pracy w dyplomacji i że nie będzie to dla niego problemem – tym bardziej że na Kostaryce nie widział automatów. Wtedy Marek M. zaproponował mu pracę” (materiały ze śledztwa VI Ds. 6/03 Prokuratury Okręgowej w Gdańsku).

Obowiązki konsula miały polegać, najprościej rzecz ujmując, na pilnowaniu interesu z maszynami. Miał je sprowadzać do Kostaryki, doglądać i meldować o zyskach, nie chowając do kieszeni więcej, niż zezwalała na to dżentelmeńska umowa. Przy okazji konsul zobowiązał się do rozpoznania rynku w krajach ościennych.

Mówił coś o Peru i Ekwadorze. Oznajmił Żydowi, że potrzebuje 3–5 tys. dolarów na podróż. Zainkasował zaliczkę, zarezerwował bilet lotniczy i poleciał w rodzinne strony.

I wtedy do firmy w Jankach przyjechał Korek. Kiedy zobaczył w magazynie piętrzące się maszyny hazardowe zwracane przez dzierżawców operatorów z powodu usterek, złapał się za głowę.

– Co ja z tym szmelcem zrobię?! – zastanawiał się nerwowo.

– Mam pomysł, jak je zagospodarować – zagaił Żyd, a widząc ponaglące spojrzenie współnika, dodał pospiesznie: – Mam Kostarykanina, który do niedawna pracował u Bagsika i P. w Kurowie. Teraz pracuje dla mnie i zamierzam wykorzystać jego szerokie kontakty.

– Jakie kontakty?

– Dyplomatyczne. Przerzucimy ten cały szmelc do Kostaryki i dobrze na tym zarobimy.

– Super – skwitował Korek, nie zagłębiając się w szczegóły. – Poznaj mnie z nim.

Prasówka:

„Przed świętami Bożego Narodzenia prokurator zażądał kary 6 lat więzienia dla byłego ambasadora Kostaryki, sązonego w Warszawie za przemyt narkotyków. Carlos Vargas Solis został zatrzymany w kwietniu ub.r. na Okęciu po powrocie z Indii. W jego bagażach znaleziono 12,2 kg heroiny. Po wpłaceniu kaucji w wysokości 300 mln złotych został zwolniony z aresztu. Jego proces rozpoczął się we wrześniu br. Vargas Solis twierdzi, że narkotyki zostały mu podrzucone. O zemstę oskarża byłego konsula generalnego Kostaryki w Warszawie Jorge Murillo

Durana (którego zwolnił z pracy) oraz spółkę Art-B (rzekomo pokrzyżował plany Bogusława Bagsika, który marzył ponoć o funkcji konsula honorowego RP w Kostaryce).

Prokurator oświadczył, że ani na lotnisku w Delhi, ani w Moskwie, ani podczas lotu nikt nie miał możliwości podłożenia narkotyków do bagażu ambasadora. Na niekorzyść oskarżonego przemawia fakt, że posiadał dwa paszporty. Jeden, który utracił ważność, przedłużył sobie sam bez wiedzy władz kostarykańskich. Nie poinformował też MSZ w San José o podróży do Indii, chociaż był zobligowany do uprzedzania swych zwierzchników o każdym wyjeździe z Polski. Po wysłuchaniu oskarżeń Vargas powiedział dziennikarzowi AFP, że nie czuje się zagrożony: jest pewien, że «wszystko dobrze się skończy». Jego obrońca ma wygłaszać mowę w połowie stycznia”.

(Małgorzata Tryc-Ostrowska, Trudna sztuka nietykalności,
"Rzeczpospolita" 28.12.1994)

Dlaczego Korek odstąpił swój szeregowiec na Ursynowie

CV Kostarykanina było imponujące, a w rozmowie wypadł korzystnie. „Ukończyłem studia w Poznaniu, mam doktorat i byłem konsulem” – rekomendował swoje kompetencje Jorge William Murillo de Duran.

Ale szefa „Mokotowa” interesowały zgoła inne kryteria jego potencjalnej przydatności w firmie.

– Czy ten twój konsul to ten sam człowiek, który miał na lotnisku problemy z prochami? – podpytywał Żyda po pierwszym spotkaniu

z Jorge Murillo.

– On brał w tym udział, ale zatrzymano kogoś z ambasady i ten ktoś posądzał go o podrzucenie prochów – wyjaśnił Żyd, zapewniając, że w tamtej historii „wszystko dobrze się skończyło”.

– W takim razie daj znać, jak konsul pojawi się w Jankach, to przyjadę pogadać. Mam dla niego propozycję.

Drugie spotkanie Andrzeja H. Korka i Jorge Murillo trwało już dłużej. Szef „Mokotowa” i były konsul rozmawiali w cztery oczy, spacerując po Gałczyńskiego, podczas gdy Marek M., ps. Żyd, tonął w papierkowej robocie. Domyślał się, że Korek mógł poprosić Murillo o pomoc w przemyśle narkotyków. Kiedy następnego dnia były konsul znów pojawił się w biurze, Żyd wypalił prosto z mostu:

– Nawet nie próbuj w mojej firmie niczego kombinować, bo mi ściągniesz na głowę problemy.

– Nigdy w życiu! – wykrzyknął były konsul, teatralnie bijąc się w pierś.

Od tamtej pory w Jankach przy Wspólnej 12 pojawiał się regularnie.

Na parterze budynku mieściły się recepcja i serwis maszyn. Na górze – gabinet Żyda i Jorge Murillo. Korek był tam częstym gościem. Zazwyczaj siadał przy biurku byłego konsula. Pił kawę i czytał gazety.

Udział Jorge Murillo w przedsięwzięciu z eksportem maszyn do Kostaryki okazał się totalną klapą i zakończył jedną wielką awanturą – stwierdził w śledztwie Żyd, opowiadając prokuratorowi, jak to były konsul ponaciągał ludzi w Hiszpanii, którzy chcieli zainwestować w biznes z automatami. Ale szef „Mokotowa” był wobec niego bardzo wyrozumiały. Odstąpił mu nawet swój szeregowiec na Ursynowie, ponieważ Murillo skarżył

się, że w hotelu jest mu niewygodnie.

Wkrótce także między nimi doszło do awantury. Tamtego dnia do firmy w Jankach przyjechał obcokrajowiec z Santiago de Compostela w Hiszpanii. Korek zaprosił go do sali konferencyjnej, w spotkaniu uczestniczył także były konsul. Przez uchylone drzwi Marek M., ps. Żyd, zobaczył, jak zdenerwowany szef wali pięścią w stół. „Dostałeś, kurwa, 70 kawałków, to teraz rób coś z tym!” – krzyczał do Murillo, po czym wstał i wyszedł z sali, trzaskając drzwiami. Żyd zajrzał do środka i zapytał ściszym głosem, o co chodzi, ale Jorge Murillo nie chciał nic powiedzieć. Przez kilka dni chodził ze skwaszoną miną. Kiedy Żyd dowiedział się, że poszło o narkotyki i aresztowanie kuriera, wkurzył się nie na żarty.

– Nie tak się umawialiśmy! – wypomniał byłemu konsulowi.

– Człowieku, to nie jest twój interes. Nie ty tu rządysz, tylko Korek – uświadomił mu Jorge Murillo.

Człowiek z Santiago de Compostela rzekomo przyjechał po pieniądze za automaty, ale 70 tysięcy dolarów, których się domagał, miało być należnością za narkotyki. Z firmowego konta przelano na jego rachunek 40 tysięcy dolarów, resztę wziął do ręki. „Zorientowałem się, że przez cały czas byłem oszukiwany. Miałem pretensje do Andrzeja H. Korca, że przez moją firmę załatwiał narkotykowe przelewy” – wyjaśniał w śledztwie Żyd.

Oczywista rzecz, że nie on rządzi w firmie „Sołtys”, dotarła do niego, gdy w Jankach pojawili się Kolumbijczycy.

Interes życia, czyli jak kokaina wyparła maszyny hazardowe

Kolumbijczycy w Jankach

Najpierw przyjechał Paco – facet przy tuszy, szpakowaty, dobrze ubrany. Do firmy przywiózł go Jorge Murillo i przedstawił jako osobę zainteresowaną eksportem automatów do gier hazardowych. Po krótkim spotkaniu w firmie pojechali razem na obiad. Paco w zamian za wprowadzenie go do interesów w Polsce zaproponował wzmocnienie kadry w postaci... wspólników z Kolumbii. Podsuwał co rusz nowe pomysły na rozwój przedsięwzięcia, na przykład założenie firmy z różnorodnymi ofertami eksportowymi: koparkami, marmurem, wapnem ogrodowym i podkładami podłogowymi do stajni. Warszawiakom spodobał się pomysł ze sztucznymi kwiatami, kolumbijskie są podobno najlepszej jakości. Wkrótce na adres firmy w Jankach nadeszła przesyłka z różami. Były konsul poprosił Korka, aby ten znalazł inny podmiot gospodarczy firmujący nowy interes. I wtedy Korek ściągnął do Janek urodzonego w 1947 roku Jerzego B. z firmy budowlanej

„Belbud”. Odtąd ekonomista-budowlaniec Jerzy B. widniał w rejestrach jako importer kwiatów z Kolumbii.

Transporty sztucznych roślin docierały do Polski kilkakrotnie i zawsze były jakieś problemy z ich ocleniem. Ale Korek chodził zadowolony i to mniej więcej w tamtym czasie wypowiedział słowa, które Marek M. zapamiętał na długo: „Dobrze, Żydzie, że jesteś. (...) Będziesz mi potrzebny. (...) Masz izraelskie kontakty i bezpiecznie ulokujesz pieniądze za granicą. Będzie ich tak dużo, że nie widziałeś takiej ilości nawet w Art-B”. Szef „Mokotowa” przekonywał Żyda, że automaty do gier są nic niewarte i liczą się tylko zyski z narkotyków. „Sam się o tym przekonasz, Żydzie. Ja ci udowodnię”.

Interes zaczął się kręcić i wszyscy już liczyli spodziewane zyski. Opracowano szczegółowy plan zrobienia w trąbę wszystkich służb, na czele z celnymi. Do portu miała dotrzeć najpierw „statkowa” (czyli hurtowa, w kontenerach) ilość wapna ogrodowego. Transport miał być czysty, bez grama kokainy, dla zmyłki. „Niech skurwysyny szukają, może jak nic nie znajdą, to sobie już odpuszczą” – miał powiedzieć Andrzej H. Korek. Wapno zamierzano sprzedać potem na Ukrainę.

Paco był w Polsce częstym gościem. W trakcie kolejnych wizyt pojawiał się w towarzystwie mężczyzny, którego przedstawił raz jako swojego siostrzeńca, innym razem jako bratanka. Rozmowy o kokainie, w których uczestniczyli: Korek, Jorge Murillo (jako tłumacz), Marek M. Żyd i Bogusław K., księgowy Korca, prowadzono po hiszpańsku. Francisco Javier Ramirez Olaya – bo tak nazywał się Paco – nie był producentem kokainy, lecz cenionym w kolumbijskich kartelach pośrednikiem, który w przemyśle narkotyków inwestował własne pieniądze. Zaządał od współników

w Polsce listy firm, które miały importować towary przykrywki. Zalecał daleko posunięte środki ostrożności, w tym korzystanie wyłącznie z publicznych telefonów. Wydał również dyspozycje co do sposobu rozliczeń kokainowych.

„Paco powiedział, że im większa będzie zaliczka, tym poważniej potraktują ich ludzie po tamtej stronie. To był jego argument na pytanie Andrzeja H., «czy stówka lub dwie wystarczą». Paco powiedział również, że poszczególne przelewy mają być na bezpieczną kwotę, czyli taką, której nie zarejestruje inspektor kontroli bankowej. Dlatego później te przelewy były wysyłane w podobnych kwotach, ok. 30–40 tys. zł (w przeliczeniu). Na przykład za separator gazu płacono oficjalnie, na podstawie faktur – 11 tys. USD. Przelewy bankowe regulowała firma «Sołtys». Za pośrednictwem Western Union przesyłane były małe kwoty, tzn. 1000–2000 USD.

Przelewy bankowe i Western Union kierowane były do Stanów Zjednoczonych, Kolumbii, Kostaryki oraz krajów Ameryki Południowej. Najwięcej pieniędzy szło do Miami. Jako tytuł płatności wskazywano hasło: «Przedpłata» (na programy komputerowe, za programy do gry). Na adresy wskazywane przez Paco przekazano ok. 200 tys. USD.

Pieniądze na pierwszy przelew przywiózł do «Sołtysa» Andrzej H. (30–40 tys. USD) i powiedział, że następne transze będzie przywoził Bogusław K. Księgowy Korca przyjeżdżał z reguły rano. Przywoził po 10, 20 tys. USD w krótkich odstępach czasu.

W pewnym momencie w finansach gromadzonych w «Sołtysie» zrobiła się nadwyżka, było tego jakieś 100 tys. dolarów. Korek się denerwował. Mówił, że trzeba zalegalizować pieniądze. Nadwyżkę popaczkowano na pół. Pieniądze wywiózł z Polski Jorge Murillo”.

(fragment z akt sprawy IV K 200/05 Sądu Okręgowego w Gdańsku)

– Cały „Mokotów” pracował wtedy na kokainę Korca. Oczywiście nieliczni wiedzieli, o co chodzi, chociaż wielu się domyślało. Wszystkie zbrodnie, porwania dla okupu z tamtego okresu i cała reszta przestępstw obciążają Andrzeja H., bo on o wszystkim wiedział i o wszystkim decydował. Dlatego ma krew na rękach – mówi dziś człowiek, który dla niego pracował.

Eduardo - najważniejsza figura na szachownicy

Nie było łatwo znaleźć solidnego przewoźnika, który podjąłby ryzyko dostarczania narkotyków drogą lądową. Na granicy Maroka i Hiszpanii wpadło na przykład 1,5 tony haszyszu należącego do grupy mokotowskiej. Narkotyki adresowane na firmę „Belbud” Jerzego B. podróżowały jako czekolada, ukryto je w puszkach konserwowych. Po wpadce takiej ilości haszyszu można by się spodziewać sporego zamieszania, ale w firmie nie było żadnej paniki. Wszyscy myśleli tylko o białym proszku i pieniądzach, jakie z tego będą.

O tym, że kokaina będzie podróżować przez morza i oceany w separatorze gazu, a nie – jak początkowo zakładano – w paletach podłogowych do stajni, wiadomo było na rok przed załadunkiem. Zadecydował o tym Paco. Pokazał zdjęcie urządzenia i wytłumaczył co i jak. Zapewniał, że „jego kolega Eduardo od lat tak przemycą narkotyki i jest to bezpieczny sposób”. Jerzy B. z firmy „Belbud” wynajął magazyn przy ul. Bokserskiej w Warszawie o powierzchni 300 m², żeby cały transport kokainy zmieścił się bez problemów.

Najważniejsze spotkanie w sprawie planowanego przemytu odbyło się z osobistym udziałem Eduarda. „Mężczyzna koło pięćdziesiątki, normalnej budowy ciała, dosyć wysoki, bez znaków szczególnych, takich jak blizny czy tatuaże” – opisywał gościa z Kolumbii Żyd. Opowiedział prokuratorowi, jak po zachowaniu Jorge Murillo widać było, że to ktoś bardzo ważny: były konsul traktował go z szacunkiem i nie klepał po plecach, co notorycznie robił, gdy pojawiał się Paco. Pękał z dumy, relacjonując wspólnikom swój pobyt w Kolumbii i wizytę w prywatnej rezydencji

Eduarda. Gospodarz miał mu pokazać pokój wypełniony po brzegi dolarami, zatem trudno się dziwić, że były konsul Kostaryki nabrał dla Eduarda takiego szacunku.

Na spotkaniu w Jankach Eduardo przedstawił się jako „osoba wysyłająca kokainę do USA w separatorach gazu”, potwierdził, że to „sprawdzony sposób”. Zalecał, by dla bezpieczeństwa transportu i porządku w papierach celnych zaangażować firmę powiązaną z rafinerią, która wzięłaby na siebie formalności przewozowe (ostatecznie nie znaleziono rafinerii, która by się na to zgodziła).

W kwestii rozliczenia Eduardo oznajmił, że Korek otrzyma od Kolumbijczyków 20 procent transportu. Za każdy kolejny kilogram miał zapłacić kartelowi po 12 tysięcy dolarów. Bajkowe warunki – komentują ci, którzy się na tym znają. W hurcie kilogram białego proszku kosztuje 40 tysięcy dolarów. W detalu kwoty rosną astronomicznie.

Od tamtej wizyty mijały miesiące i Korek denerwował się, że kokaina, na którą czekał od dawna, jeszcze do Polski nie dotarła. Wtedy Eduardo znów pojawił się w Jankach. Wziął kartkę i napisał na niej cyfry w słupku – od 1 do 10. Zakreślając numer 1, wskazał na siebie i oznajmił, że jest jednym z dwóch największych producentów kokainy w Kolumbii. O pozostałych cyfrach powiedział, że to pośrednicy. Paco, według niego, był w tej hierarchii dziesiątką. „Dlatego to wszystko tak długo trwa” – skwitował, wskazując winowajcę.

Księgowy Korca dyskretnie doradzał szefowi, aby ominąć Paco jako pośrednika, ale Korek stwierdził, że „trzeba się zachować, bo gdyby nie Paco, to tego kontraktu w ogóle by nie było”.

Eduardo miał charyzmę i autorytet. Kiedy zapytał: „Kto za to zapłaci, jeśli towar wpadnie?”, wszyscy obecni na spotkaniu

znieruchomieli. Wiedzieli przecież, że nie chodziło mu o wyrównanie rachunków w dolarach, lecz o to, żeby za ewentualne fiasko operacji zapłacono głową.

I wtedy Korek wziął to na siebie.

Propozycja nie do odrzucenia, czyli spotkanie w knajpie Soprano

Kiedy kokaina była już w drodze, Korek szukał znajomości w organach celnych, pozwalających na dokonanie odbioru separatora gazu bez odprawy celnej, ewentualnie kogoś, kto mógłby pomóc w podejmowanych przez służby portowe czynnościach związanych z odprawą kontenerowców. W tym czasie (ale nie wiemy, czy w tej konkretnie sprawie) spotkał się z nim pewien warszawski prawnik, któremu bliżej było do wielkiej polityki niż do tzw. polskiej mafii. Kancelaria, w której pracuje, na co dzień obsługuje sprawy gospodarcze i potyczki sądowe polityków. Zastrzegając sobie pełną anonimowość, opowiedział mi o rozmowie z szefem „Mokotowa”.

– Rozmawiali panowie w kancelarii?

– Do spotkania doszło w kawiarni – nomen omen – Soprano. Wcześniej Andrzej H. zadzwonił na moją komórkę i zaproponował to miejsce, wymownie podkreślając, że powinno mi odpowiadać, ponieważ jest blisko mojego domu. Poprosiłem uprzejmie, acz stanowczo, aby nie bawił się w takie podchody, ponieważ obaj wiemy, od kogo ma mój numer. A miał go od świętej pamięci pana Janka, który działał w bardzo szarej strefie. Był oszustem, mówiąc

szczerze. Andrzej H. chciał, żebym pomógł mu w przyspieszeniu pewnych procedur, całkiem legalnych zresztą.

– Janek mówił mi o panu w samych superlatywach, dlatego pana wybrałem – powiedział na wstępie, a zaraz potem zapytał: – Umie pan dawać?

– Umie – odpowiedziałem, domyślając się w czym rzecz.

– A brać?

– Nie.

– Dlaczego? – Spojrzał na mnie zdumiony.

– Bo mam słabe serce. Nie wytrzymałoby, gdyby się okazało, że wziąłem za mało – wytłumaczyłem.

Rozbawiłem go widać, bo śmiał się serdecznie i skrócił dystans.

– **Jakie zrobił na panu wrażenie? Wiedział pan, że to słynny Korek, szef „Mokotowa”?**

– Tak, ale mówiąc szczerze, nie robiło to na mnie specjalnego wrażenia, chociaż jego propozycja spotkania była w rodzaju tych nie do odrzucenia.

– **Jak się prezentował?**

– Wystylizowany na gościa z Sycylii. Miał na sobie świetnie uszytą kurtkę z czarnej, miękkiej skóry. Pamiętam, że pachniał dobrą wodą.

– **Przyszedł sam?**

– Tego nie jestem pewien. Przy sąsiednim stoliku siedziało dwóch gości w skórkach nie tak dobrze skrojonych jak kurtka Andrzeja H. Wprawdzie nie spoglądali na nas ostentacyjnie, jednak

w powietrzu czuć było, że pozostają nieobojętni na nasz stół. Spytałem zresztą mojego rozmówcę, czy to jego koledzy, ale on poradził, abym nie poświęcał im cennej uwagi, bo nie warto.

– **Może to byli tajniacy?**

– Tak też pomyślałem, ale mogłem się mylić.

– **Nie chcę być niedyskretna, ale czy mógłby pan przybliżyć problem, z którym Korek zwrócił się do pana?**

– To właśnie nie był specjalny problem. Gdyby faktycznie Andrzej H. miał takie chody w policji, jakie mu przypisywano, sprawę załatwiliby mu od ręki i nie musiałby brać prawnika.

– **Przyspieszył mu pan procedury?**

– Opracowałem plan działania, jednak nie zdążyłem mu go przedstawić, ponieważ został aresztowany.

Wpadka, czyli kto zdradził

Dwa tygodnie przed planowanym wejściem statku *Tanja* do portu w Gdyni zjawił się w Jankach Paco. Przyjechał z gospodarską wizytą w towarzystwie bratanka. Po sześciu dniach obaj wyjechali, za to pojawił się kolejny Kolumbijczyk, który oficjalnie przyleciał do Polski na zaproszenie firmy Fairplay z Włocławka. W rzeczywistości przybył po to, by dokonać otwarcia separatora gazu, miał też komisyjnie potwierdzić ilość dostarczonej kokainy. Kolumbijczyk powiedział Żydowi, jakie narzędzia będą mu do tego

potrzebne, po czym obaj pojechali do hipermarketu. Kupili szlifierki kątowe, tarcze i ubrania robocze.

Dalszą część historii już znamy. Kokaina wpadła, bo policja od dawna miała ją na oku. Przesyłka kontrolowana – tak mówią służby o tego typu operacjach.

Atmosfera w firmie była w tamtym czasie gorąca. Przewijało się wielu ludzi, a sam Korek mówił o konieczności ukrycia się. Rozpoczęły się też nerwowe konsultacje z prawnikami. Jeden z nich miał się zorientować, czy można gdzieś w Polsce zakupić... używany statek. Żyd tłumaczył, że o taki zakup prosił go osobiście prezydent Namibii. Prawnik popytał gdzie trzeba i oznajmił, że taki zakup będzie możliwy, jeśli prezydent Namibii sprecyzuje dane techniczne jednostki. Zdaniem Marka M. Żyda Korek snuł plany odbicia narkotyków. „Jeździł do Gdańska z jakimiś chłopakami i oglądał miejsce ukrycia kokainy, ale nie znam szczegółów” – powiedział prokuratorowi. Ostatecznie temat zakupu statku i skoku na zarekwirowane narkotyki umarł śmiercią naturalną. „Andrzej H. drażył ten temat, jednak potem odstąpił od swoich planów, gdyż był przekonany, że zarobi na kolejnym transporcie” – zeznał podczas przesłuchania wspólnik Korca.

Dwudziestego trzeciego stycznia 2003 roku policja zatrzymała Jerzego B. z firmy „Belbud”. „Importer sztucznych kwiatów” spodziewał się tego od momentu, gdy z Gdyni dotarła do niego informacja, że separator gazu zostanie prześwietlony sprzętem rtg. Najpierw był zdenerwowany, potem przerażony. Siedział na walizkach, gotów uciekać z kraju. Dzwonił do Żyda i pytał, co powinien robić. Usłyszał, że ma czekać na rozwój wydarzeń.

„Jak zatrzymali Jerzego B., to głównie przeżywał to Korek, że stracił tyle pieniędzy” – wspominał tamten dzień w prokuraturze

Bajbus, który kręcił się po firmie w Jankach ze swoimi automatami do gier i wyczuwał napiętą atmosferę.

Nerwy dopadły również byłego konsula. Biegał jak kot z pęcherzem do pobliskiego centrum handlowego i wydzwaniał do Eduarda. Dla kamuflażu o separatorze mówił „pacjent”. Nie znamy treści tamtych rozmów, ale o pacjencie trudno było opowiadać, że jest cały i zdrowy. Operacja się nie udała. Były konsul spakował walizki i wyjechał z Polski. Sąd w Gdańsku wydał nakaz zatrzymania go, a następnie poszukiwania na podstawie międzynarodowego listu gończego. Jorge Murillo jakby zapadł się pod ziemię.

– Czy to prawda, że zamieszany w przemyt kokainy były konsul Kostaryki Jorge William Murillo de Duran został po cichu zlikwidowany? – pytam byłego prokuratora Dariusza Makowskiego. – Tak sugeruje jeden z moich rozmówców powiązanych z grupą mokotowską.

– Wiem, że wyjechał za granicę. Jakiś czas temu znalazłem w internecie informację potwierdzającą, że żyje. To wszystko, co mogę w tej sprawie powiedzieć.

Po aresztowaniu współnika z „Belbudu” Korek miał wydać decyzję o zniszczeniu w „Sołtysie” całej dokumentacji, która wskazywałaby na współpracę obu firm. Do biura w Jankach nie zaglądał już tak często jak kiedyś. Tymczasem Żyd zaszył się w Raszynie, gdzie prowadził pizzerię. Nie miał lekkiego życia, gdyż po ucieczce Jorge Murillo to on musiał odbierać telefony od Eduarda. Kolumbijczyk wypytywał o numer komórki Korca, żądał dokumentów i wycinków prasowych potwierdzających, że to rzeczywiście policja zarekwirowała transport. Szukał przecieku.

Żyd postanowił działać, by (jak twierdził w śledztwie) ratować

głowę szefa „Mokotowa”. Spakował walizkę i – przez Miami w USA – poleciał do Kostaryki na spotkanie z byłym konsulem.

Jorge Murillo czekał na niego na lotnisku w San José, zapewnił mu nocleg i schronienie. Żyd przekazał gazety z nagłówkami o przechwyconej kokainie, ale medialne doniesienia – jak się okazało – nie przekonały Kolumbijczyka. Eduardo chciał mieć wgląd do dokumentów ze śledztwa – dowiadujemy się z akt sprawy. „Andrzej H. mógł uratować swoją głowę tylko w przypadku, gdyby przedłożył wiarygodne papiery z policji, w jaki sposób wpadł ten przemyt. Marek M., ps. Żyd, mówił, że Korek jest przekonany, że wpadka nastąpiła z zewnątrz, a nie z polskiej strony. Po powrocie do Polski wmówił Korkowi, że Kolumbijczycy chcieli nałożyć na niego dwa miliony dolarów kary, ale on, Żyd, go przed tym wybronił”.

Korek uwierzył Żydowi. Był dobrej myśli, licząc, że zarobi na następnym transporcie uzgodnionym wcześniej z Eduardem – nadejście 1300 kg kokainy w kolejnym zbiorniku paliwowym było tylko kwestią czasu. Wcześniej, dla zmyłki, do Polski miało trafić czyste wapno ogrodowe z Boliwii, zamówione przez „Mokotów” na firmę z Radomia (to, które planowano sprzedać później na Ukrainę). Żyd zapewniał Korca o swojej lojalności. Opowiadał, jak podczas ostatniej podróży do Kostaryki widział się także z Paco. Kolumbijski pośrednik zabrał go do Panamy, skąd samolotem dotarli do Kolumbii. Tam Marek M. rzekomo dostąpił zaszczytu uściśnięcia dłoni potentatowi kokainowemu, niejakiemu Skorpionowi. To jeden z dwóch najpotężniejszych ludzi w narkotykowej branży i Żyd miał być gościem w jego rezydencji. Pokazywał zdjęcia i opowiadał szczegóły spotkania na najwyższym szczeblu. Okłamywał Korca, że kolejny transport kokainy jest już

w drodze i też mógł zostać przejęty przez służby, ale on, Żyd, temu zapobiegł. Z pomocą greckiego armatora przeładował towar na inny statek i ukrył do czasu, aż sytuacja się uspokoi i polskie porty znów będą dla Korca bezpieczne.

W kwietniu 2003 roku Żyd zakończył swoje światowe podróże. Zatrzymano go w drodze z Izraela do Berlina. Niemcy już wiedzieli, że podający się za Dawida Marcosa Grossbauma Pereza turysta to poszukiwany listem gończym za przemyt kokainy Marek M. Żyd zarzekał się, że jego paszport jest autentyczny, wydany w polskim konsulacie w Tel Awiwie w latach 90. Pytany o inne dokumenty na nazwisko Grossbaum Perez odpowiedział, że ma prawo jazdy „z jakiegoś afrykańskiego kraju”, którego wprawdzie już sobie nie przypomina, lecz pamięta dobrze, że za prawo jazdy zapłacił 96 dolarów.

Najdłużej cieszył się wolnością Andrzej H., gdyż zatrzymano go dopiero w połowie lipca 2004 roku, czyli po 1,5 roku od wydarzeń w gdyńskim porcie. „Wykształcenie zawodowe, spawacz, żonaty, trójka dzieci (w wieku 17, 12 i 7 lat), danych dotyczących źródła utrzymania i majątku nie podał. Nie przyznał się do zarzucanych mu czynów i odmówił składania wyjaśnień” – oto urzędowa charakterystyka szefa grupy mokotowskiej.

Świat według Andrzeja H.

Prasówka:

„Andrzej H., ps. Korek, już od kilkunastu miesięcy nie poruszał się po mieście inaczej niż limuzyną marki BMW. Jednak

wieczorem 14 lipca 2003 roku opuścił swój opancerzony pojazd i w towarzystwie dwóch młodych osiłków spacerował ul. Marszałkowską w Warszawie. Zatrzymany przez dwóch innych mężczyzn bez oporu wsiadł do wskazanego przez nich samochodu. I choć auto ruszyło z piskiem opon, pełna przechodniów ulica nie dostrzegła w tej sytuacji nic nadzwyczajnego. Policjanci, zwłaszcza siedzący w zaparkowanej obok furgonetce antyterrorystów, odetchnęli z ulgą. Najgroźniejszy polski gangster wpadł w ich ręce bez jednego wystrzału. Na tym jednak nie skończyła się policyjna nerwówka. Korek tylko kilka godzin przebywał w Warszawie – o północy, w towarzystwie kilkunastu uzbrojonych po zęby antyterrorystów, trafił do konwoju jadącego do Gdańska. W tym czasie podwładni Korca z gangu mokotowskiego wiedzieli już o wpadce szefa. Działający w grupie przykrywkowców informował o gorączkowych konsultacjach najbliższych współpracowników bossa. Twierdził, że rozważane jest odbicie zatrzymanego. Do konwoju dołączono więc dodatkowych funkcjonariuszy oraz zmieniono trasę przejazdu. O czwartej nad ranem Korek był już na Wybrzeżu. Tam przedstawiono mu zarzut zorganizowania i przemytu znacznej ilości kokainy”.

(źródło: portal internetowy M jak Mafia)

Świat według Korca jest zupełnie inny niż ten z opowieści Marka M. Żyda. „Nic nie wiem o narkotykach w separatorze gazu – powiedział na przesłuchaniu szef «Mokotowa». – Gdybym w rzeczywistości brał udział w całym tym przedsięwzięciu, to w chwili, gdy dowiedziałem się o zatrzymaniu Marka M., prawdopodobnie opuściłbym Polskę. Po przeczytaniu jego zeznań

uświadomiłem sobie grę, jaką prowadził. A zwłaszcza fakt, że nie znałem jego prawdziwego nazwiska i nie wiedziałem, kim on jest”.

Korek o swoim pseudonimie:

„Nie mam żadnego pseudonimu. Dopiero w aktach przeczytałem, że mówiono na mnie Łysy. Znajomi zwracali się do mnie po imieniu. Często w doniesieniach prasowych spotykałem się z pseudonimem Korek. Nie wiem, kogo dotyczyły te doniesienia. Do mnie nikt się tak nie zwracał”.

O pseudonimie Żyd:

„Marek M. powiesił w gabinecie portret mężczyzny z pejsami, liczącego pieniądze, ale trudno mi powiedzieć, czy to on, to znaczy Marek M., miał pseudonim Żyd i czy tak go należy traktować”.

O kolumbijskim pośredniku:

„Możliwe, że słyszałem z ust Jorge Murillo imię Paco, ale nie jestem w stanie dopasować tego imienia do konkretnej osoby”.

O swojej działalności gospodarczej:

„Jednym z pomysłów miało być stworzenie na Ursynowie, przy skrzyżowaniu Płaskowickiej i Roentgena, miejsca, które nie byłoby wyłącznie dyskoteką, ale miejscem, gdzie odbywałyby się wystawy. W ramach tego projektu wydzierżawiono teren od gminy – na rok, z możliwością przedłużenia. Teren był surowy, trzeba go było ogrodzić i doprowadzić wodę, założyć urządzenia sanitarne i wykonać miejsca parkingowe. Wszystko było wyłożone różnymi płytami, obiekt miał przygotowaną podłogę. Miała to być lekka konstrukcja, namiot, który jednorazowo pomieściłby kilka tysięcy

osób.

Namiot był własnością mojego współnika. Postawiono go na placu połowicznie, był nie do końca dobrze umocowany. W noc po zamontowaniu konstrukcji była potężna wichura i wszystko się połamało. Człowiek, z którym weszliśmy w spółkę, wycofał się, gdyż nie posiadał drugiego namiotu ani funduszy, by dokonać nowego zakupu. Wprawdzie takie namioty są do kupienia, ale są dość drogie, kosztują około 100 tysięcy dolarów.

Dlatego zrezygnowano z przedsięwzięcia”.

O zatrzymaniu za przemyt kokainy:

„Nie odczuwałem zagrożenia w związku z tą sprawą, nie ukrywałem się. Ale zdawałem sobie sprawę z tego, że to, co się rozwija, jest bardzo blisko mojej osoby. Przyczyniła się do tego prasa, artykuły na ten temat. W dniu, kiedy zostałem zatrzymany, koło 17 lub 18 zadzwonił do mnie znajomy. Wyszedłem z domu, pojechałem do kawiarni, a tam po 20–30 minutach przyjechała po mnie policja”.

**"Przemyt kokainy?
Usłyszałem o tym w telewizji"**

Z wyjaśnień Andrzeja H. wynikało, że przyjeżdżał do firmy w Jankach z powodu... nadmiaru wolnego czasu. Jego firma „Exchange”, zajmująca się automatami do gier, przechodziła tak gruntowną reorganizację, że nawet on sam musiał się zwolnić. Zatem przyjeżdżał do „Sołtysa” 3–4 razy w tygodniu, najczęściej koło 11, pił kawę, czytał gazety i po dwóch godzinach wyjeżdżał.

Z Żydem łączyła go dżentelmeńska umowa, czyli ustne ustalenia na zasadach wzajemnego zaufania. Marek M. zajmował się sprzętem, którego wartość szacowana była na kilkaset tysięcy dolarów, a zadaniem Koraka było pilnowanie maszyn. Żyd nie lubił, kiedy ktoś zaglądał mu do papierów, dlatego on, Korek, w nic się nie wtrącał.

Na przełomie 2001 i 2002 roku Marek M. zaproponował Korkowi 12,5 procent udziałów w kopalni diamentów. Polecieli do Afryki, aby zobaczyć, jak to wygląda w praktyce. Wyglądało dobrze. Po powrocie do Polski Żyd oznajmił, że potrzebuje pieniędzy na łapówki dla urzędników w Namibii. Jego wspólnicy z Izraela mieli się zająć zorganizowaniem kredytów na to przedsięwzięcie, ale z góry było wiadomo, że z kredytów trudno będzie wygenerować pieniądze na łapówki. I dlatego on, Żyd, musi się tym zająć.

– Wyłóż na łapówki, bo ja teraz mam puste kieszenie, a sprawa jest pilna – nalegał.

– Ja też mam puste kieszenie, ale pożyczę od znajomego – powiedział Korek.

I jak powiedział, tak zrobił, przekazując Żydowi w kilku ratach i różnych walutach jakieś 350–400 tys. dolarów. „Nie wiem, jak dalej były przekazywane te pieniądze” – dodał.

O byłym konsulu Kostaryki powiedział, że Jorge Murillo wyszukiwał na rynku firmy zajmujące się importem bananów, kawy, papryki i sztucznych kwiatów. Korek chwalił go, mówiąc prokuratorowi, że współpraca handlowa z nim układała się wyśmienicie.

O wpadce w gdyńskim porcie usłyszał w wiadomościach telewizyjnych. Następnego dnia na podwórku za budynkiem firmy w Jankach spotkał Marka M., który stał przy dużym ognisku i palił

jakieś papiery. Powiedział Korkowi, że domyśla się, kto za tym stał, i wskazał na byłego konsula. Marek M. planował spotkać się z nim i wypytać o szczegóły, ale okazało się, że po komunikatach o udaremnionym przemyśle kokainy Jorge Murillo wyjechał z Polski.

Kto był kim w mafijnej hierarchii

Wyrok Sądu Okręgowego w Gdańsku w sprawie przemytu kokainy zapadł 30 grudnia 2008 roku. Korek dostał 12 lat, Marek M., ps. Żyd – 5, Bogusław K., księgowy Korca, oraz Jerzy B. z firmy „Belbud” – po 10 lat. Sąd Apelacyjny w Gdańsku utrzymał w mocy orzeczone kary, chociaż Żyd wnosił o łagodniejszy wyrok (bo współpracował z prokuraturą i wymiarem sprawiedliwości).

Z uzasadnienia wyroku:

„Rola oskarżonego Marka M. w rzeczywistości była poważniejsza, aniżeli on sam na nią wskazywał. Świadczy o tym nie tylko wcześniejsza znajomość z Jorge Murillo de Duran, datująca się jeszcze z pierwszej połowy lat 90., a zawarta podczas pobytu obu mężczyzn w Izraelu, czy też wykonywana przez niego praca organizacyjna dotycząca przygotowania dokumentacji, maskującej rzeczywisty cel sprowadzenia separatora gazu, czy przygotowania do sprowadzenia zbiornika z substancją Sol 69 [kolejny przerzut kokainy – przyp. aut.], ale także działania oskarżonego, podjęte już po ujawnieniu kokainy. Polegały one na zacieraniu śladów przestępstwa, m.in. poprzez niszczenie dokumentacji znajdującej się w siedzibie «Sołtysa», świadczącej o powiązaniach z firmą «Belbud» Jerzego B. oraz z Jorge Murillo, a także nie do końca wyjaśniony cel wyjazdu oskarżonego do Izraela i Kostaryki. Oskarżony dozował informacje, uzupełniając je i kalkulując, co będzie dla niego korzystne, licząc przy tym na łagodny wymiar kary” – podsumował Żyda sąd drugiej instancji.

(sygn. akt II A Ka 338/09 Sądu Apelacyjnego w Gdańsku)

Ten sam sąd, chociaż nie zmniejszył wyroku Andrzejowi H., umniejszył jego rolę w kokainowym przedsięwzięciu:

„Budzi poważne wątpliwości element hierarchicznego podporządkowania poszczególnych uczestników przestępczego procederu kreowanemu przez prokuratora na przywódcę tej grupy Andrzejowi H., jeżeli zważyć, że osobą wiodącą – odnośnie do zorganizowania przemytu kokainy (przedstawienie drogi i sposobu przemytu, wskazanie osób, którym należało wypłacać pieniądze za kokainę, czy też sposobu komunikowania się) – był Francisco Ramirez Olaya vel Paco. Z kolei do Eduarda należały decyzje w kwestii rozliczeń finansowych czy też ilości dostaw kokainy. Z wyjaśnień Marka M. wynika, że to Andrzej H. był zależny od działań tych dwóch osób, a nie odwrotnie. I to oni mieli decydujący głos w tej kwestii”.

Dla Korka nie był to jedyny kokainowy wyrok. W 2008 roku krakowski sąd skazał go na 15 lat więzienia za przemyt około 90 kg kokainy. Rok później Sąd Okręgowy w Warszawie dorzucił mu do przestępczego CV 14 lat więzienia m.in. za kierowanie „Mokotowem”, czyli zorganizowaną grupą przestępczą, dokonującą napadów, porwań i zabójstw.

Jak "Mokotów" sięgał po władzę

Przestępcy mniejsi i więksi karmią nas, dziennikarzy (a także czytelników, internautów, widzów), legendami o swoim pasjonującym – w ich mniemaniu – życiu. Wiele opowiadanych przez nich historii, skonfrontowanych z ustaleniami śledczych, okazuje się zwykłym bajdurzeniem. Ale to nie przeszkadza bohaterom tamtych wydarzeń prężyć muskuły i robić groźne miny. Udowadniają, jeden przez drugiego, jak wiele kiedyś mogli i jacy byli ważni, chociaż przed sądem generalnie umniejszali swoją rolę w gangach. Dla równowagi opowieści o polskiej mafii niezbędne są rozmowy z policjantami, prokuratorami, a także lektura akt sądowych. Tej reguły będziemy się trzymać do końca książki, aby nie kreować bohaterów z ludzi odpowiedzialnych za ludzką krzywdę. Nawet jeśli opowiadane przez nich wydarzenia wydają się ekscytujące, pamiętajmy, że to brutalna przestępczość ubrana w ładne słówka.

Legendy o starych zdeptane
przez młodych

Znawcy tematu twierdzą, że wszystko zaczęło się na Czerniakowskiej i Dolnej na warszawskim Mokotowie. Korek, Daks, Lepa, Arczi, Oskar, Jogi, Morkir, Farba, Bolek to była jedna banda, która wychowała się na Mokotowie. Tam sobie rozrabiali, nie wchodząc silniejszym w drogę. Czekali na swój czas. Ten czas nadszedł wraz z rozbiciem przez policję „Pruszkowa”. Po dwóch dekadach ciszy medialnej „Mokotów” wyszedł z cienia i od razu zrobiło się o nim głośno.

Ludzie z otoczenia Korca mówią, że mógł on być równy Pershingowi, lecz zabrakło mu szczęścia. Ale przecież Pershing nie żyje, a Korek ma się dobrze, tyle że siedzi w więzieniu, więc kwestia, który z nich miał więcej szczęścia, jest co najmniej dyskusyjna. Lata 90. bezspornie należały do Pershinga i jego ludzi: Wańki, Słowika, Bola, Kajtka i Malizny. Jak skończyli, każdy wie, ale wtedy byli królami życia.

– W starych czasach, jeszcze przed „Pruszkowem”, Malizna, mój ojciec chrzestny, jeździł z moim tatą do Niemiec, kradli futra i jakieś złodziejskie akcje po pociągach robili – opowiada o swoich rodzinnych koneksjach w warszawskim półświatku Adrian G. – Ryszard Sz., ps. Kajtek, z zarządu pruszkowskiego to też mój wujek, tyle że jakaś piąta woda po kisielu.

Adrian ma 35 lat, posturę gladiatora i sprawę karną w życiorysie:

„Brał udział w zorganizowanej grupie przestępczej o charakterze zbrojnym, kierowanej przez Rafała S., ps. Szkatuła [jednej z wielu po «Pruszkowie» – przyp. aut.], mającej na celu popełnianie przestępstw przeciwko mieniu, takich jak wymuszenia rozbójnicze, przestępstw przeciwko życiu, zdrowiu i wolności, takich jak pobicia, zabójstwa, czerpanie korzyści z cudzego nierządu oraz obrót środkami odurzającymi w znacznych ilościach” (sygn. akt AP V DS. 99/12 Sądu Apelacyjnego w Warszawie).

– **Ich złote czasy minęły** – mówię o pokoleniu wujków.

– W kryminale wujek Malizna chciał dobrze mieć z młodymi, jakieś wypiski [zakupy w więziennej kantynie – przyp. aut.] im robił, chciał się wymieniać kontaktami, żeby zadzwonili, jak wyjdą. Ale czasy starych bezpowrotnie minęły. Oni się nie liczą. Teraz są młodzi. Miałem takich pod sobą, jeździłem z nimi na rozkminki, czasami było nas ze czterystu chłopów. A młodzi jacy są, to pani chyba wie...

– **Jacy?**

– Szybciej strzelają, niż myślą. Po „Pruszkowie” wiele takich grup było w Warszawie. „Mokotów” wcale nie był najsilniejszy. Ja na przykład byłem w grupie Rafała S. Szkatuły. Mokotowscy często podpinali się pod nas, żeby nie stracić pozycji w mieście i punktów, z których żyli [Adrianowi chodzi o miejsca, na które nakładano haracze – przyp. aut.]. „Mokotów” był przereklamowany, a w latach 2006–2009 wręcz potrzebowali naszej, czyli „szkatułkowych”, pomocy.

– **Na czym polegała ta pomoc?**

– Kiedy inne grupy skubały mokotowskich, my wchodziliśmy do akcji. Koalicja była z nimi zawarta. Szkatuła był poukładany z górą „Mokotowa”, dlatego mieli nasze wsparcie. Pod Pruszkowem zrobiłem kiedyś rozkminkę, żeby pogonić tych, co ich skubali. Stu dwudziestu naszych tam wtedy pojechało i uciszyło temat, więc sama pani widzi, po czyjej stronie była siła. Swoją legendę zbudowali tymi obcinanymi palcami, stąd strach przed nimi. Znam tych obcinaczy, to ćpuny.

– A Korek?

– Andrzej H. był silnym szefem. Gdyby nie dał się zamknąć, to jego ludzie nie potrzebowaliby naszej pomocy. Historia „Mokotowa” inaczej by się potoczyła. Ale zabrakło Korca i wszystko się rozjechało.

Czas bezkrólewia

O tym, jak Andrzej H. wybił się na lidera, rozmawiam z kolejnym przewodnikiem po warszawskim półświatku.

– Pisała pani o starych gangusach, to pani wie, że za czasów „Pruszkowa” nikt inny nie miał szans, by wybić się na prowadzenie – wspomina. – Tamci robili, co chcieli. Tylko szaleńcy wrywali się przed szereg. O Andrzeju H. powiedzieć można wiele, ale na pewno nie to, że jest szaleńcem.

– Korek znał swoje miejsce w szeregu?

– Musiał, bo gdyby się stawiał, to nawet złodziejska sława by mu nie pomogła. No więc siedział sobie przez lata na Mokotowie i nosa nie wychylał. Pruszkowscy przyjeżdżali na jego tereny, szarogęsili się, a on niewiele mógł. Wstawiali na Mokotowie swoje maszyny hazardowe i on im na to pozwalał. Co powiedzieli, to tak miało być. Andrzej nie miał z nimi szans, nie miał jak się wybić, nie miał nic do powiedzenia. Zresztą po dzielnicy panoszyli się nie tylko pruszkowscy.

– Kto jeszcze się panoszył?

– Wołomińskie na przykład. Kiedyś kilku mokotowskich chłopaków pobiło młodego Klepaka, syna słynnego Mańka Klepackiego, tego, który potem zginął w strzelaninie w Gammie. W jakiejś knajpie na meczu to się stało. Nasi zaczęli krzyczeć, jak to na meczu. Młody Klepak im powiedział, że mają być cicho, i zaistniała awantura. Normalne przepychanki, nie żeby coś wielkiego to było... Nasi z Mokotowa zwyczajnie nie wiedzieli, kto to jest Maniek, ale wkrótce się dowiedzieli i bolesna to była lekcja.

– Słynny ojciec wziął sprawy w swoje ręce?

– Dokładnie. Stary Klepak poinformował Andrzeja H., że taka okoliczność zaistniała i winni dostaną wpierdol. Wołomińskie jeździli za nimi po całym Mokotowie. Nie kryli się z tym, po co przyjechali, oficjalnie ich szukali. Zapowiedzieli, że jak się sprawcy nie znajdą, to oni wezmą się do samego Andrzeja. Wiadomo było, że żartów nie ma. Dwóch im uciekło, tylko jednego, Lepę, złapali i mu dojebali. Ale kara miała spotkać wszystkich. W końcu Maniek ojciec kazał Korkowi przywieźć do siebie pozostałych. No i Korek ich zawiózł. Też im dojebali. Jeden z chłopaków leżał potem w szpitalu kilka dni. I o czym świadczy ta historia? Ano o tym, że Korek był posłuszny i uległy. W ogóle nie miał siły przebicia. Coś tam kradł, czymś handlował, ale siły nie miał żadnej.

– Ale w końcu wybił się na lidera.

– Tak się stało, ale dopiero jak pruszkowskie poszły siedzieć, „mutanty” się wystrzelały [gang, który strzelał do policjantów w podwarszawskich Parolach, zginął wtedy aspirant Mirosław Żak

– przyp. aut.], Klajniaka zabito, a na wolności pozostały same odłamki. Wtedy ludzie zaczęli się schodzić do Korka. Można tak powiedzieć, że nastał jego czas. Ale dla porządku trzeba choć słowo rzec o Klajniaku. Nazywał się Piotr J. i był z „Pruszkowa”, ze starej ekipy. Długie lata siedział w więzieniu, a kiedy wyszedł, to się nie udzielał, nie rzucał w oczy. Prawda jest taka, że w tamtych czasach nie było komu rządzić w mieście. Klajniak okazał się jedynym, który mógł cokolwiek zawojować, chociaż wcale nie pchał się do tego. Pozbierał z ulicy niedobitki pruszkowskie, ożarowskie i resztki po „mutantach”. Nawet sporo się tego uzbierało. Kiedyś pojechałem na spotkanie z Klajniakiem. Było przy nim jakieś sześćdziesiąt–siedemdziesiąt osób. W rzeczywistości grupa była liczniejsza, mogła mieć nawet ze sto osób. Tak sędzę, ponieważ na tamtym spotkaniu nie było najważniejszych ludzi. Ostatecznie Klajniaka też zabito.

– **Komu przeszkadzał?**

– Odpalili go „mutanty”. Na Wólce Kosowskiej to się stało. Razem z Klajniakiem zginął wtedy jego zięć Sebastian. Powodem były rozliczenia. Słyszałem, że Klajniak naobiecował „mutantom” sporą partię narkotyków i w końcu nic nie załatwił. Zadzwonili do niego, zawołali na spotkanie, mówiąc, że sprawa jest pilna. Klajniak wziął ze sobą zięcia, więc zastrzelili obu. Ich zwłoki znaleziono w samochodzie, którym wyjechali. Właśnie po tamtym wydarzeniu nastał czas Andrzeja i o grupie mokotowskiej zrobiło się głośno.

Prasówka:

„Mafia znów czyści własne szeregi. Serie z kałasznikowa posiekały Piotra J. Klajniaka, jednego z ostatnich bossów starej gwardii, i jego ochroniarza. Klajniak chciał wyczyścić półświatek z młodych gangsterów. Ci byli szybsi.

Między wsią Łazy i Walendów, niedaleko Nadarzyna, od lat funkcjonuje nielegalne wysypisko śmieci i cmentarz wraków samochodów. Tuż obok jest niewielka polanka, ukryta za wysokimi krzakami. Wczoraj ok. godz. 10 na łączkę wjechał rowerem bezrobotny mężczyzna dorabiający sobie wyplatanem mioteł. Widząc stojące czarne audi A6, zaintrygowany podjechał przyjrzeć się autu. W samochodzie kompletnie podziurawionym kulami leżało dwóch zmasakrowanych mężczyzn. Byli to 54-letni Piotr J., ps. Klajniak, i 24-letni Sebastian S., ps. Sebek. Obaj zginęli od kilkunastu kul wystrzelonych z kałasznikowa w przednią szybę samochodu. Zabójcy dla pewności dobili swe ofiary, strzelając przez boczne okna audi.

Na miejscu zbrodni pojawili się funkcjonariusze z wydziału zabójstw Komendy Stołecznej Policji i Centralnego Biura Śledczego. Przyjechał też ojciec jednego z zastrzelonych. Okazało się, że od niedzieli bezskutecznie próbował skontaktować się z synem. – Takim samochodem jeździł kolega mojego syna – tłumaczył zdenerwowany siwawy mężczyzna. Dokładnie nie wiadomo, ile czasu audi stało na polu. Klajniak i Sebek przyjechali któregoś z ostatnich nocy. Prawdopodobnie zostali wywołani nagle z domu Klajniaka w Podkowie Leśnej, bo obaj mieli na sobie robocze ubrania. Gangsterzy mieli się spotkać z jednym z konkurentów i omówić kwestię podporządkowania grupy Klajniakowi. Nie było żadnych negocjacji. Zamiast bossów na miejscu czekali mordercy. Ciekawostką jest fakt, że audi

zarejestrowane było na firmę futrzarską Kurów, której szefem był Wiesław P. Wicek, a jednym z prezesów Bogusław Bagsik. Udziałowcem w firmie był Andrzej Koliowski Pershing, zastrzelony w 1999 r. boss gangu pruszkowskiego.

Klajniak był ważną personą w warszawskim półświatku. Do końca lat 90. współpracował z «Pruszkowem», jednak zawsze pozostawał w cieniu, co pozwalało mu spokojnie prowadzić interesy. Wypłynął w mieście po zatrzymaniu zarządu gangu pruszkowskiego: Słowika, Bola, Kajtka, Malizny, Parasola i Wańki. Pozostał wierny bossom, skupiając wokół siebie liczną i silną grupę. Współpracował z bandami z Piaseczna, Piastowa, Ożarowa i Grodziska, a także gangsterami z Marek. Dorobił się znacznej fortuny na handlu narkotykami i wymuszeniach. Klajniak związany z grupą Muła z Piaseczna współpracował także z niektórymi członkami grupy «Mutantów».

(Igor Ryciak, Zabili, by nie zginąć, "Newsweek", 14.11.2002)

Kiedy pochowano Klajniaka, Andrzej H., ps. Korek, był w przestępczych strukturach Warszawy najstarszy i „najbardziej doświadczony z całego tego bałaganu w mieście”. Z różnymi ludźmi pracował, swoje przeżył i pieniądze się go trzymały. Dlatego wyszedł z cienia i wszyscy zaczęli się do niego schodzić. Ale młodzi byli ambitni i wyrywni, niektórzy od razu chcieli czerpać z życia pełnymi garściami.

– Jedną z takich pozbieranych z ulicy osób był Rafał S. Szkatuła, który z czasem narobił w mieście sporego bałaganu – mówi policjant Centralnego Biura Śledczego Policji, rozbijający najgroźniejsze gangi w Polsce. – Szkatuła był jednak zbyt ambitny, aby mieć nad sobą szefa. Dlatego szybko stworzył własny gang.

Rafał S. dostał wsparcie z grupy żoliborskiej i wypowiedzieli wojnę Korkowi.

– Pamięta pani głośną strzelaninę w Centrum Handlowym Klif z maja 2002 roku? – pyta Adrian G. ze „szkatułkowych”. – Musi pani pamiętać. Wszyscy pamiętają. No to właśnie wtedy była ta wojna.

Ale o wojnie jeszcze nie teraz.

Korek na "Mokotowie"

Ciekawa (literacko) charakterystyka szefa „Mokotowa” widnieje na jednym z portali internetowych, gromadzących informacje prasowe o polskiej przestępczości zorganizowanej:

„Andrzej H., ps. Korek – szczupły, łysiejący brunet, rocznik 1957, samotnie wyprowadzający małego pieska na mokotowski skwerek – przypominał bardziej urzędnika średniego szczebla niż bossa trzymającego za gardło armię «żołnierzy», gotowych łamać nogi. W ciągu ostatnich kilkunastu lat ten drobny złodziejaszek z warszawskiej Pragi o pseudonimie Korek stał się domniemanym szefem najpotężniejszej grupy przestępczej w Polsce – gangu mokotowskiego. Spawacz z zawodu. Policja przypisuje mu wydanie kilku mafijnych wyroków na kilku gangsterów, którzy w latach 2001–2003 stawili mu czoło lub zdecydowali się opuścić gang mokotowski. Jednak Korek nigdy nie usłyszał zarzutów podżegania do zabójstwa. Na co dzień bardziej przypominał biznesmena niż mafiosa. Lubił pić wytrawne wino i chodzić w eleganckich garniturach, które polecał mu jeden ze współników. Zdaniem osób z nim związanych ten niepozorny niewysoki mężczyzna miał mieć jeszcze jedno oblicze – twardego i zdecydowanego na wszystko gangstera, który nie wybacza zdrady i nielojalności. Czuł się bezkarny. Po mieście jeździł swoim bmw bez ochrony”.

(źródło: portal internetowy M jak Mafia)

Żyd, jako jeden z najbliższych współpracowników Korka, opisywał go śledczym tak:

„O Korcu jako szefie grupy mokotowskiej pisało wiele gazet, np. «Wprost» czy «Życie Warszawy». Andrzej H. lubił czytać o sobie. Czuł, że pomoże mu to ugruntować pozycję. Z jego relacji wynikało, że w przeszłości przeciwstawił się «Pruszkowowi» i «Wołominowi», a w końcu dogadał się z nimi. Wówczas oni określili mu granice do działania i tak powstała grupa mokotowska.

Pytany, skąd wzięła się jego pozycja w świecie przestępczym na Mokotowie, Andrzej H. odpowiadał, że wyrobił ją sobie jeszcze w młodości, gdy był włamywaczem – jednym z najlepszych w otwieraniu różnych zamków. Rozeszła się o nim taka legenda, a potem to procentowało. W trakcie odbywania wyroków poznał ludzi z konkurencyjnych (w przyszłości) gangów.

Do Korca przyjeżdżało w różnych sprawach wiele osób, o których mówił «moje chłopaki». Generalnie przyjeżdżali w sprawach spornych, które on miał rozstrzygać. Wiele spotkań odbywało się w cztery oczy. Korek często śmiał się, że policja jeździła za nim do rogatek Warszawy, a potem zawracała w przekonaniu, że wyjeżdża w trasę. Tymczasem on jechał do Raszyna lub do Janek i tam odbywał spotkania. Prowadził interesy z tymi ludźmi, o których mawiał «moje chłopaki».

Były takie sytuacje, gdy ktoś z konkurencyjnych gangów próbował coś zrobić na jego terenie i wówczas Korek mawiał: «Nie będą mi łap wkładać do mojego Mokotowa»».

(sprawa karna IV K/200/05 Sądu Okręgowego w Gdańsku o przemyt kokainy, wyjaśnienia Marka M., ps. Żyd)

Bajbus, który wyrósł na gangstera pod skrzydłami „Mokotowa”, przekonuje, że Andrzej H. nie wygląda na lidera, bo przecież „nie jest dobrze zbudowany”:

– Taki kurdupel, i ta jego stara łyśa głowa – mówi. – Czy go szanowałem? Lubilem nawet. To nie jest człowiek porywczy, a raczej ugodowy. Nieraz namawiałem go, żeby od złodziei brał więcej, a nie po tysiąc dolarów miesięcznie, bo zarabiali przecież krocie na jego terenie. Mówiłem: „Oni mają domy, rezydencje, a ty, Andrzej, gnieźdź się z rodziną w bloku przy Czerniakowskiej, a powinno być odwrotnie: oni w blokach, a ty w willi”. Słuchał mnie z uśmiechem, a potem robił swoje. „Ty, Bajbus, tylko ludzi byś lał i przymuszał do płacenia, a nie tędy droga” – kończył dyskusję.

W sprawach biznesowych wszyscy wiedzieli, że Korek miał głowę

na karku, chociaż mówiono, że w działaniach był raczej prymitywny. Jak się czegoś jednego uczepił, to konsekwentnie się tego trzymał. Owszem, miał charyzmę, lecz potem, jak mokotowscy zaczęli dzieci porwać i kobiety mordować – jego charyzma się skończyła. Lata 2002–2003 były początkiem porwań dla okupu i Andrzej H. był wtedy jeszcze na wolności, o wszystkim wiedział i wszystko monitorował – uważają policjanci. Wojtas, Oskar, Lepa, Morki i Artur N. Arczi, którzy zasłynęli z brutalności, to byli przecież jego ludzie. Nie mogliby nic zrobić na własną rękę. Uważa się, że Korek jest odpowiedzialny za to wszystko, co się działo w Warszawie w czasach mokotowskiego terroru, chociaż zarzutów za porwania nigdy mu nie postawiono.

Zdaniem Bajbusa osoby, z którymi Andrzej H. zaangażował się w interes z kokainą, zwyczajnie go wrobiły, a on zaufał nieodpowiednim ludziom:

– Był ofiarą, chociaż sąd inaczej to ocenił. Gdyby tamten transport wpadł w Warszawie i okolicach, a nie w porcie w Gdyni, to Andrzej H. wywinąłby się z tego. Nic by mu nie zrobili, taki był poukładany z policją. Skoro Korek obściskował się na komendzie z kapitanem policji, to musiał być poukładany z „psami”.

Bajbus nieraz woził Andrzeja H. na komendę, więc widział, jak się tam poklepywali i wymieniali braterskie pocałunki. Szef gangu i funkcjonariusze byli kolegami z dzieciństwa, wychowali się razem na Mokotowie, na Czerniakowie. Dzięki tym znajomościom Andrzej H. miał być „poukładany” na policji.

– Oni go chronili, a on im czasami coś w zamian załatwiał, tak to działa – tłumaczy istotę takich relacji Bajbus. – I ci koledzy z policji powiedzieli kiedyś Andrzejowi, że ja chcę go zabić. Mojej żonie nie pomogli, a wręcz przeciwnie – naciskali, żeby ją zabić, a jego

ostrzegali. To chyba coś jest nie tak, prawda?

– Co się działo w grupie mokotowskiej po aresztowaniu Korka?

– Każdy robił swoje, a na lidera wybił się Zbigniew C., ps. Daks – człowiek, który kazał zabić moją Ankę. Potem to już było coraz gorzej. Dno i wodorosty.

O Daksie:

„Zbyszka o pseudonimie Dax Marek M. [Żyd] określił jako osobę blisko współpracującą z Andrzejem H. Często bywał w firmie «Sołtys», zna go z sytuacji, gdy Andrzej H. wypłacił jakiemuś pośrednikowi zaliczkę na ferrari i wysłał Daxa po odbiór tych pieniędzy. Efektem tego odbioru było zatrzymanie Zbigniewa Z. Daxa przez policję”.

(z akt sprawy Sądu Okręgowego w Gdańsku o przemyt kokainy)

„W 2005 roku, kiedy Korek był już w więzieniu, a Daks z niego wyszedł, Daks zaczął tworzyć nową grupę na bazie tego, co już miał. Była to organizacja o charakterze zbrojnym, widziałem u nich różną broń: typu kałasznikow, skorpion, glock, pistolet CZ, glauberyty i P99 walthery. Inna grupa, która działała dla «Mokotowa», to «Wojtasy». Zajmowali się porwaniami i uprowadzeniami dla okupu. Zdarzało się, że gdy jakaś osoba nie płaciła ludziom Korka lub Bajbusowi za automaty, to zlecenie dostawali oni”.

(z akt sprawy grupy Bajbusa w Sądzie Okręgowym w Warszawie - zeznania skorumpowanego policjanta)

Krew na "Mokotowie" - jatkana w Klifie

„Mokotów” sprawował krwawe rządy, ale też sam stracił wiele krwi. Kule śmigły ze wszystkich stron, a policja szukała człowieka, który kazał nacisnąć na spust. Egzekucja w Klifie przeszła do historii jako demonstracja bandyckiej siły i bezkarności. W biały dzień, 31 maja 2002 roku, w centrum

handlowym na oczach tłumów polała się krew. „Dwie osoby zginęły, a jedna została ranna w strzelaninie, do której doszło w Centrum Handlowym Klif przy ulicy Okopowej w Warszawie, w kawiarni na pierwszym piętrze. Policja poszukuje czwartej osoby, której udało się uciec. Chodziło prawdopodobnie o porachunki gangsterskie” – mówił przed kamerami Krzysztof Hajdas z Komendy Stołecznej Policji.

Media informowały, że zabójca prawdopodobnie siedział wcześniej przy stoliku z ofiarami. W pewnym momencie wstał i bez żadnego ostrzeżenia zaczął strzelać do siedzących. „Wszyscy czterej to młodzi ludzie. Od czasu do czasu przychodzili do tej kawiarenki. Na razie więcej szczegółów nie znam” – odpowiadał na pytania dziennikarzy rzecznik prasowy policji.

Przy stoliku w barze Wiking na pierwszym piętrze spotkali się: Artur N., ps. Arczi, Krzysztof B. oraz Budyń, wszyscy z „Mokotowa”. Zabójca trafił Budynia w skroń, a zaraz potem wpakował w niego jeszcze cztery kule. Pozostali zerwali się do ucieczki. Arczi dostał w bark, ale udało mu się wmieszać w tłum i przeżyć. Krzysztof B. zginął od postrzału w głowę.

Świadkowie nie potrafili opisać wyglądu mordercy: nijaka twarz, pospolita sylwetka, żadnych znaków szczególnych. Policjanci nie mieli wątpliwości, że to zawodowiec, zapewne ze Wschodu. Nie mylili się.

– **Rozpracowywał pan warszawskie gangi. Co mówiło o egzekucji w Klifie tak zwane miasto?** – pytam stołecznego policjanta, który jako jeden z pierwszych, bo już po kilku dniach pracy operacyjnej w terenie, wytypował zleceniodawcę.

– Kiedy dokonuje się tak spektakularnej egzekucji, wiadomo, że

chodzi o wyraźny przekaz, kto tu rządzi, o demonstrację. Strzelanina miała zrobić wrażenie i zrobiła. Zabójca wyciągnął broń, nic nie robiąc sobie z obecności kamer i świadków. W galerii handlowej było wówczas 300–400 osób. Jedne z pierwszych sygnałów wskazywały na Szymona z Łomianek.

– Kto to taki?

– Watażka z grupy żoliborskiej, trzydziestolatek, taki młody gniewny, co starym się nie kłaniał. Robił wtedy na Żoliborzu błyskawiczną bandycką karierę. Naoglądał się gangsterskich filmów, kopiował sceny z *Kasyna*. Chciał być równy z Korkiem na Mokotowie, co możliwe nie było, ale determinowało jego działania. Zbierał haracze na bielańskim bazarze Wolumen, terroryzował komisy samochodowe, agencje towarzyskie na Woli i Bielanych, wchodził już do Śródmieścia. Trzymał w garści narkotykowych handlarzy, wywoził ich po kolei do lasu, łamał ręce i nogi, straszył śmiercią. Myślał, że zdobędzie majątek i sławę, jak ci z „Pruszkowa”. Ale był jednym z wielu. Ani lepszym, ani groźniejszym niż inni.

– Ktoś taki rzucił wyzwanie grupie mokotowskiej?

– Też nas to dziwiło, chociaż nie powinno, przecież w tym świecie nie ma reguł. Zastanawialiśmy się, czy rzeczywiście szeregowi żołnierze z grupy mokotowskiej, którzy padli od kul, byli celem i czy nie zginęli tylko dlatego, że znaleźli się w złym czasie i w złym miejscu. Ten czwarty, który rzekomo był na spotkaniu, stanowił większe zagrożenie dla Szymona z Łomianek.

– O kim pan mówi?

– O Tomaszu S. Komandosie. Jedna z hipotez zakładała, że był w zмовie z Szymonem i to on wystawił mokotowiaków.

– **O Komandosie krążyły mrozące krew w żyłach legendy, wykraczające daleko poza Warszawę. Pamiętam, że prasa przedstawiała go jako bezwzględnego egzekutora.**

– I było w tym nie tylko ziarno prawdy...

Prasówka:

„Tomasz S., ps. Komandos, stosując terror, podporządkował sobie największych dilerów. Jednego z opornych hersztów porwał i udowodnił, na co go stać: ścisnął mu głowę imadłem, potem odrąbał obie dłonie, a na koniec poderznął gardło. Po zwłokach przejechał jeszcze samochodem.

Okrucieństwo Komandosa wstrząsnęło miastem. Opracował skuteczną metodę pozbywania się zwłok. Zawija ofiarę w ogrodzeniową siatkę, przytwierdza do niej drutem dwie płyty chodnikowe i topi w Wiśle. Zawsze gdzieś między Nowym Dworem Mazowieckim a twierdzą Modlin. To sporo zachodu, ale Komandos wie, że warto się postarać. Zwykła metoda, gdy zwłokom przywiązuje się do szyi kamień, często zawodzi. Sznurek może zbutwieć, a wtedy trup wypływa na powierzchnię. O takim sposobie działania Komandosa mówią nam policjanci i przestępcy ze stołecznego podziemia.

Na «miasto», czyli stołeczne mafie, padł blady strach. Każdy boi się skończyć w metalowej siatce Komandosa. To gangster pozbawiony wszelkich skrupułów. Ma 34 lata i pochodzi znikąd. Bez ojca, bez matki, żony i dzieci. Wychowanek domu dziecka.

Jak głosi legenda, kiedyś chciał wstąpić do komandosów, ale nie został przyjęty – przeszkodą okazał się wzrost, zaledwie 175 cm. Dziś nie ma nic do stracenia, nikogo się nie boi. Chce tylko pieniędzy i władzy nad «miastem». Do celu dąży po trupach. Dosłownie”.

(Violetta Krasnowska-Sałustowicz, Komandos bije miasto, "Newsweek", 30.06.2002, Smętne życie starych mafiosów, "Newsweek", 22.07.2010)

– Do dziś ludzie różnie mówią o Klifie – przyznaje Adrian, „szkatułkowy”. – Jedni twierdzą, że Komandos siedział z chłopakami przy barku, odebrał telefon, wstał, wyszedł i już nie wrócił, bo zadzwoniono do niego tuż przed strzelaniną. Inni uważają, że to on ich wystawił. Może tak było, chociaż z drugiej strony po co miałyby to robić, skoro nie było zatargu z mokotowskimi? To się kupy nie trzyma.

Polowanie na Szymona z Łomianek

W Klifie, jak wykazało śledztwo, strzelał Szarani Achmatow, ps. Szach albo Pułkownik, płatny zabójca z Kazachstanu z opinią rzezimieszka. Dwa miesiące później napadł na kantor przy ul. Pancerniaków w Lublinie. Wtedy też strzelał, ale pracownicy mieli broń i potrafili nacisnąć spust. Podczas ucieczki Szarani Achmatow porzucił, a następnie podpalił samochód, którym przyjechał na Pancerniaków. „Jeśli ktoś zna miejsce pobytu gangstera, niech natychmiast da znać policji, nr tel. 997/112 lub 81 535-41-76” – apelowały lubelskie media. Ale Szach zapadł się pod ziemię. I to na

długie lata.

„Mokotów” był przekonany, że to Komandos wystawił chłopaków, bo miał być na tamtym spotkaniu. Byli z nim umówieni, a „zawsze jest tak, że ten, który ma przyjść, a nie przychodzi – zleci”, powtarzano.

Dwa i pół miesiąca po wydarzeniach w Klifie Komandos zatrzymał się na stacji benzynowej przy Radzywińskiej w Warszawie. Zrobił zakupy, wrzucił żeton do odkurzacza i zaczął sprzątać w swoim bmw. Zamachowiec w kominiarce strzelił mu w plecy. Zapis zbrodni znalazł się na kamerach z monitoringu. Policjanci mówili, że był to Robert Cieślak, jeden z „mutantów” (w marcu 2003 roku z rąk Cieślaka i Białorusina Igora Pikusa zginę w Magdalence dwaj policjanci, a szesnastu zostanie okaleczonych).

Już po śmierci Komandosa policja zatrzymała Szymona z Łomianek, ale nie potrafiła go powiązać z tamtymi wydarzeniami. Wkrótce – z braku dowodów – gangster opuścił areszt z wysoko podniesioną głową. Na Żoliborzu mówiono, że teraz on będzie dyktował warunki „na Wolumenie”.

„Mokotów” nie uznawał takich porządków. Przecież to on miał władzę.

Z zeznań sądowych Bajbusa:

„Korek był wściekły za zabójstwa w Klifie. Żałował tego Budynia i winił Szymona K. z Łomianek, że to on je zlecił. Korek powiedział, że trzeba z Szymonem zrobić porządek i jeżeli my sami nie możemy go złapać, to trzeba zrobić tak, żeby policja go zamknęła. Nie wiem, co miał na myśli, mówiąc, że chciał złapać Szymona, nie wiem, co chciał z nim zrobić. Mogę się jedynie domyślać, że pewnie kazałby go zabić, ale nic takiego wtedy nie powiedział.

Korek polecił Lepie i Arturowi N., żeby podłożyli bombę pod salon, który mieści się koło Wolumentu. Powiedział, że jak to solarium wyleci w powietrze, to policja pomyśli, że zrobił to Szymon, że go zamkną i będzie spokój. Lepa i Artur N. powiedzieli, że to załatwią, ale nie powiedzieli jak. Za 2–3 dni solarium wyleciało w powietrze. Mówiono

o tym w telewizji i pisano w prasie. Po wybuchu Korek – podczas kolejnego spotkania w firmie w Jankach – powiedział mi, że bym nie jeździł na Żoliborz, bo policja zacznie mnie podejrzewać, że to ja zrobiłem”.

Bomba w solarium przy ul. Kasprowicza – kontrolowanym według informatorów policji przez synów Wańki i Malizny z zarządu „Pruszkowa” – wybuchła w kwietniu 2003 roku. W półświatku błyskawicznie rozniosła się wieść, że ładunek podłożono na osobiste polecenie Szymona z Łomianek. Mówiono, że oczyszczał swoją dzielnicę ze starych, czyli pruszkowskich, wpływów.

Szymon wpadł w policyjną zasadzkę podczas wymuszenia. Chodziło o ćwierć miliona dolarów od właściciela kantoru na Żoliborzu. Policjanci ze stołecznego wydziału zabójstw i Prokuratura Okręgowa w Warszawie przedstawili mu nie tylko zarzut udziału w wymuszeniu rozbójniczym, ale także nakłaniania do zabójstwa Komandosa. Tym razem dowody przeciwko niemu były wystarczające, by postawić go przed sądem (zarzuty usłyszał też Dariusz Sz. zwany Darkiem Brodnowskim, a znacznie później również Rafał S., ps. Szkatuła – obaj dostali po kilka lat).

Na Mokotowie do dziś mówią, że śmierci Budynia i Krzyśka B. nie pomszczono jak należy. I że najlepiej wyszedł na tym Szkatuła, bo zlikwidował konkurentów, a dostał za to jedynie cztery lata. Mówią też, że od tamtej pory nastąpiły nowe porządki.

O chujoplątach, mafijnych transferach i starych zasadach

Skarbnicą wiedzy o „Mokotowie” i jego liderze okazał się Andrzej

Kawczyński, ps. Kawior (lat 46) – były szef Wydziału do Walki z Terrorem Kryminalnym Komendy Stołecznej Policji i jeden z najlepszych „psów” w Warszawie. Bezkompromisowy, do bólu uczciwy, zaangażowany w pracę do granic możliwości. Sam nigdy tak o sobie nie mówi, ale ci, którzy go znają, właśnie tak go oceniają. Szczupły, wysportowany, typ południowca. Swój pseudonim zawdzięcza hektolitrom wypijanej... kawy. Kiedy był w wieku poborowym, zgłosił się do policji, żeby odpracować wojsko. Tłumaczy po latach, że nigdy nie lubił sprzątać, a w koszarach daliby mu wiadro i szmatę. I jak poszedł do policji – tak w niej pozostał.

W Wydziale do Walki z Terrorem Kryminalnym Komendy Stołecznej Policji pracował od 1999 roku (czyli od początku istnienia tego wydziału). W latach 2002–2004 – czasach „terroru mokotowskiego”, a w szczególności gangu porywaczy – Kawior był zastępcą Grażyny Biskupskiej, naczelnika wydziału. Dwa lata później, gdy odeszła na emeryturę, zajął jej miejsce. Funkcję naczelnika wydziału pełnił osiem lat. W 2014 roku odszedł z policji.

Wydział, którego Kawior był filarem, w konfrontacji z grupą mokotowską nie zawsze wychodził na prowadzenie.

– **Pan jest z Mokotowa?** – pytam Kawiora.

– Z Żoliborza. Tam się urodziłem, wychowałem i stamtąd trafiłem do policji.

– **Od razu do służb kryminalnych?**

– Prawie. Zaczynałem jako pomocnik dzielnicowego, pracowałem w patrolu interwencyjnym, a następnie sam zostałem dzielnicowym. Takie były dwa pierwsze lata mojej służby. Miałem

do pracy 10 minut drogi, wszyscy mnie znali na dzielnicy.

– **Jak wyglądała wtedy przestępcza Warszawa?**

– Panowała zmowa milczenia. Większym problemem było znaleźć pokrzywdzonego niż sprawcę. Przestępcy uderzali w biznes na pograniczu prawa: alkohol ze Wschodu, lewe fajki, autokomisy i agencje towarzyskie, w których różne rzeczy chowano.

– **Najsilniejszy był „Pruszków”...**

– „Pruszków” był marką samą w sobie. Za nim stała budowana w mediach legenda. Wystarczyło mieć dowód osobisty z wpisem „Pruszków”, żeby podróżować po całej Polsce i budzić powszechny respekt. Ale w latach 90. w kryminalnej Warszawie były też dwie inne, naprawdę silne grupy przestępcze: żoliborska i mokotowska. Na czele tej pierwszej stał Stefan K., nazywany przez prasę Księdzem. Bardziej znany był jako Stefan, a w niektórych kręgach – Wyrwikufel. Od lat już nie żyje. Drugą sprawnie kierował Korek. Obaj się znali i szanowali. Każdy miał swój teren, którego bronił. Obaj pilnowali, aby wzajemnie nie burzyć ustalonego porządku, żeby nie wchodzić sobie na dzielnice. Przestrzegali żelaznej zasady: nie kradnie się u mnie, nie kradnie u mojego kolegi. Dlatego na Żoliborzu i Mokotowie nie było włamań do piwnic, nie ginęły samochody, przynajmniej nie tak często jak w innych dzielnicach Warszawy. Stosunki z policją były poprawne, a to znaczy, że każdy wykonywał swoją pracę, natomiast gdy mijaliśmy się na ulicy – my nie czepialiśmy się bez powodu, a oni okazywali nam szacunek.

– **Mówili wam „dzień dobry”?**

– I nie było w tym nic dziwnego, że się wzajemnie pozdrawialiśmy. Czasami nasze zawodowe drogi z oczywistych względów się krzyżowały. Wtedy policja robiła swoje i nikt do nikogo nie miał pretensji. Kiedyś wpadliśmy do knajpy Yellowstone na Żoliborzu, bo dostaliśmy sygnał, że spotykają się tam ludzie z grupy Łańcucha.

– **Kto to taki?**

– Prawa ręka Stefana. Wtedy w tym Yellowstone było tak: wpadamy, legitymujemy obecnych, zaczynamy przeszukiwanie i w koszu na śmieci znajdujemy pistolet. Krótka decyzja: zatrzymujemy wszystkich. Całe towarzystwo z Yellowstone ma trafić na 48 godzin na policyjny „dołek”. W trakcie zbierania odcisków palców i śladów zapachowych – bo posiadanie broni trzeba przypisać komuś indywidualnie – jeden z nich pyta: „A co by było, gdyby znalazł się właściciel tej broni?”. Na to my, że sytuacja bardzo by się uprościła i na „dołku” byłby mniejszy tłok. Wtedy po dziesięciominutowej „naradzie” zgłosił się ten, który z tym pistoletem przyszedł – badania kryminalistyczne to potwierdziły, został skazany.

– **Dlaczego dobrowolnie się przyznał?**

– Bardzo im się spieszyło, a nasze procedury mogły im pokrzyżować plany.

– **Gdzie tak się spieszyli?**

– Następnego dnia jeden z nich, znany bokser Henryk Z., miał walkę i musiał na nią dojechać, a pozostali chcieli zobaczyć go na

ringu.

– **Stefan K. miał przy sobie Łańcucha, a Korek?**

– Korek sam rządził na Mokotowie, całe towarzystwo trzymał za rękę.

– **Silna była ta jego grupa?**

– „Mokotów” zawsze był duży. Miał wielu żołnierzy i był otwarty na współpracę, stąd spory napływ ludzi z zewnątrz, choćby przyległości z Ursusa. Przejścia z grupy do grupy były na porządku dziennym i przypominały transfery piłkarskie. Raz odbywały się one za zgodą trenera, innym razem wbrew jego woli. Wtedy się strzelało. Pyta pani, czy byli silni. Tak, i do silnego wszyscy lgnęli. Na przynależność do „Mokotowa” powoływało się wielu chujoplątów, ale sprawę załatwiano szybko i skutecznie. Wiozło się takiego do lasu, dostawał wpierdol i już więcej się nie powoływał.

– **Na czym zarabiali?**

– Jak wszyscy, czyli głównie na haraczach. Płacili im nie tylko restauratorzy i burdele, lecz każdy, kto miał na Mokotowie interes: kioski Ruchu, taksówkarze, holowniki [ławety]. Taka była codzienność. Ludzie sami szukali, komu trzeba dawać pieniądze. „Słyszałem, że tu wszyscy płacą, więc my też będziemy płacić” – tak ze sobą rozmawiano. Przecież dziś to jest nie do pomyślenia, od razu dzwoni się po policję. Drugim źródłem dochodów były narkotyki, ale to były dopiero początki. Korek stosował metodę małej łyżki, czyli zdobywał tereny bez rozgłosu, krok po kroku. Interesy dobrze mu szły, a policja specjalnie go nie nękała. Łapała

dilerów i nie za bardzo potrafiła dotrzeć do organizatora. Ale potem jego ludzie weszli w prochy, na tym się wylansowali, wyrobili sobie twarz. Pisano o nich w gazetach, mówiono w telewizji.

– **Rozgłos raczej nie służy interesom.**

– O mokotowskich zrobiło się głośno, za głośno. Oni sami lubili artykuły o sobie. „A czytałeś wczoraj w gazecie?” – zagadywali niby mimochodem i chociaż oficjalnie krytykowali doniesienia na swój temat, to w swoim środowisku – dzięki dziennikarzom – rośli w siłę. Stawali się celebrytami, ulubieńcami tłumów, stąd moje krytyczne nastawienie do mediów, które ich lansowały.

– **Czy prawdą jest to, że starzy, o których pan opowiada, byli poukładani z policją?**

– Takie chodziły legendy. Stefan K. osobiście chwalił mi się swoimi kontaktami z funkcjonariuszami. Korek też miał mieć w policji informatorów. Do takich opowieści radziłbym podchodzić ostrożnie. To trochę jak ze Świętym Graalem – wszyscy o nim mówią, ale nikt go nie widział. Zawsze podnosiło to prestiż zbója, że ma poukładanego policjanta. Zblatowani z przestępcami policjanci byli, są i będą. To oczywista oczywistość. Mokotowscy z pewnością mieli zblatowanych policjantów, ale nie tak wielu, jak się chwała.

– **Co wyróżniało grupę mokotowską spośród innych gangów?**

– Charakterystyczną cechą tej grupy było to, że na robotę, w tym zabójstwa, jeździło się zbiorowo, żeby nikt nie wychodził przed szereg, czyli nie poszedł w koronę, bo przecież korony nie może

dostać ten, kto zabijał.

– I co, ten patent działał?

– Przez jakiś czas na pewno. Stare gangusy są solidarne, oni nie kapują. Tak postępował Korek, Daks i wielu innych. Ale starzy zaczęli hurtowo przyjmować młodych, jak leci, bez weryfikacji. To się na nich zemściło. Nowe pokolenie gangusów to już zupełnie inna mentalność, dla nich stare wzorce nie istnieją. Jak tylko zaczęliśmy ich wyłapywać, to zaraz wypytywali o sześćdziesiątkę, czyli możliwość pójścia na współpracę w zamian za łagodniejszy wyrok. Sytuacje bywają tego typu, że łapiemy kilku czy kilkunastu i niemal wszyscy wymiękają już na starcie. Ten idzie w koronę, ten i tamten na sześćdziesiątkę, a my głowimy się, z kim pójdziemy do sądu. Kiedyś to było nie do pomyślenia. Zresztą po śmierci Pershinga wiele rzeczy się zmieniło. Przedtem wakacje były świętością, nie strzelało się w czasie wyjazdów wypoczynkowych i nie wyrównywało rachunków w domu. A przecież Pershing zginął w Zakopanem, był na zimowych wakacjach, natomiast do Marka N., „Marka z Marek”, strzelano pod drzwiami jego mieszkania na ul. Tucholskiej. W starych gangsterskich czasach rodzina też była świętością.

– Ale przestała być po śmierci żony Bajbusa. Zresztą wcześniej podłożono bombę pod samochód żony Rafała Ch. Czarnego ze Szczecina, więc te świętości są dyskusyjne. Czarny wykwił śledczym więcej konkretów niż Masa, nie oczekując ani łagodniejszego wyroku, ani specjalnego statusu czy traktowania.

– Tamte dwa zabójstwa, Andrzeja K. Pershinga oraz Anny M.,

były przełomami w polskiej przestępczości zorganizowanej. Zbóje zobaczyły, że nie obowiązują już żadne zasady, nie ma żadnych świętości. Bajka prysła.

– Współczuje pan Bajbusowi i jego rodzinie?

– Współczuć mogę rodzinie policjanta, który zatrzymał pojazd na poboczu, aby komuś pomóc, a sam zginął potrącony przez ciężarówkę. Rodziny żyjące z przestępstw wiedzą przecież, że pieniądze, jakie wydają, nie pochodzą ze sprzedaży rowerów, tylko z bólu i krzywdy innych ludzi. Nie wyłączając śmierci. Cholernie trudno tu o zrozumienie.

O tym, jak Bajbus wyrósł z boksera na gangstera

„Grupa Krzysztofa M. Bajbusa wchodziła w skład szeroko rozumianej grupy mokotowskiej. Początkowo wydawało się, że była ona kontrolowana przez Korka, ale zmieniło się to po wyjściu Bajbusa z więzienia w połowie 2005 roku. Wówczas Bajbus zapragnął samodzielności.

Dwa–trzy razy w miesiącu odbywały się spotkania, podczas których planowano nowe napady, rozmawiano o dotychczas popełnionych przestępstwach. Bajbus lubił organizować takie spotkania, gdyż wtedy czuł się pewnie. (...) Był to bardzo mądry człowiek, bezwzględny, silny, wszyscy się go bali. Zawsze chciał pokazać, że to on rządzi, i oczekiwał od wszystkich nadzwyczajnego posłuszeństwa. Lubił się przechwalać, jak bardzo jest mocny w świecie przestępczym, ilu to ludzi mu się opłaca. Władza Krzysztofa M. Bajbusa nad pozostałymi członkami grupy polegała na tym, że musiał on być o wszystkim informowany”.

(z zeznań Dariusza Sz. Steryda,
policjanta działającego w grupie Bajbusa)

Szczeniak z bazaru

Bajbus lubi opowiadać, że Korek nie był jego szefem, że był samodzielny i miał swoją grupę. Robił swoje, nikomu nie podlegał, nikomu niczego z przestępczych dochodów nie odpalał. Zapytany, dlaczego dokumenty sądowe inaczej opisują ich wzajemne relacje,

odpowiedział, że „te wszystkie barany, które go przesłuchiwały w śledztwie, nigdy by nie uwierzyły, że taki prosty chłopak jak on, który nie wiadomo skąd się wziął, mógł pracować wyłącznie dla siebie, a nie zarabiać dla innych”. W głowach by im się coś takiego nie pomieściło. Miał 35 lat i teoretycznie był za młody na samodzielność w bandyckich kręgach, więc wywnioskował, że lepiej powiedzieć, że nad nim był jeszcze ktoś.

Zarabiał na życie, biorąc od Korca w leasing maszyny hazardowe, miał procent z zysków. Wstawiał te maszyny u takiego Karolka, który przywoził mu pieniądze z utargu, i to wszystko. Miał zadbać o to, żeby maszyn nikt nie ruszył, co miało oznaczać, żeby pracownicy, u których były wstawione, wiedzieli, że Bajbus patrzy im na ręce. A że miał siłę i autorytet – nie przychodziło im do głowy, żeby cokolwiek kombinować na lewo.

Bajbus mógł zostać zawodowym bokserem, a nie bandytą. Podobno nieźle się zapowiadał: trenował w Legii pod okiem Janusza Gortata i nigdy nie leżał na deskach, bo nikt nie zdołał go na nie położyć. Nigdy też na ringu nie dał się zapędzić do rogu. Regularnie jeździł w soboty na walki, od miasta do miasta, lecz nie dość, że nie zarabiał, to wciąż do tych wyjazdów dokładał. Marzył o boksowaniu, chociaż to nie były czasy na sport zawodowy. Chleba z tego nie było. W czasach jego młodości to przestępczość, a nie sport, była dochodowa, dlatego zweryfikował marzenia. „Czasy się zmieniły, ale teraz jestem już za stary na te rzeczy” – gasi temat o boksowaniu.

W świecie przestępczym zrobił błyskotliwą, chociaż krótką karierę. Ale jemu nie chodziło o to, by media o nim trąbiły. W przestępczości jest taka prawidłowość, że kiedy się robi prawdziwą karierę, to potem długo siedzi się za kratami. Często

nawet całe życie. A Bajbus poszedł w gangsterkę, żeby zarobić, a nie siedzieć.

Ożenił się z miłości, Ania była już przy nadziei. Byli zakochani, lecz biedni jak myszy kościelne. Po ślubie zamieszkali na dwunastu metrach kwadratowych. Urodziła się córka, po kilku latach syn, a oni wciąż gnieździli się w tym samym miejscu i klepali biedę. Wtedy w tamtym małym pokoju Bajbus uzmysłowił sobie, że swoją siłę powinien inaczej wykorzystać. Postanowił zarobić na godziwe życie, aby jego rodzina miała dom. Zakładał, że kiedy pójdzie w przestępczość, może dostać wyrok, ale wkalkulował ryzyko. „Młody jestem, posiedzę 10 lat i jak wyjdę, to jeszcze pożyję” – tak sobie myślał.

Pewne doświadczenie już miał, bo w wieku 15 lat biegał po bazarku w Grójcu, skupując od handlarzy z za wschodniej granicy łańcuszki i pierścionki. Był rok 1989, Rosjanie przyjeżdżali do Polski ze złotem i on to złoto od nich brał garściami, wszystko jak leci! Wspomina, że było tego tyle, że handlarki upychały sobie biżuterię pod bluzki, w biustonosze. Wszyscy się dziwili, skąd taki szczeniak miał przy sobie tyle pieniędzy. Grube pliki gotówki dawał mu pewien znajomy z Grójca, który trafił na jakiś czas za kraty za kradzione samochody (siedział niedługo, za ledwie trzy miesiące, bo umiał się ustawić), a potem hurtowo produkował fałszywe banknoty. Bajbus wspomina tamte czasy z rozrzewnieniem, bo banknoty nie miały żadnych zabezpieczeń, żadnych znaków wodnych, których nie można by było podrobić. Szczególnie utkwił mu w pamięci banknot o nominale 20 tysięcy. Wpatrywał się w niego, żałując, że nie ma ze trzydziestu lat i jest za smarkaty dla tych, którzy się na potęgę wzbogacali.

– Gdybym miał odpowiedni sprzęt, sam bym tyle tych pieniędzy

natrzaskał, że byłbym bogaty jak król – śmieje się.

Ale był za młody, więc latał po bazarku. „Krzysiu, jak będzie coś nie tak, to wpadniemy i zajebimy” – zapewniali starsi koledzy. Wysyłali dzieciaka, żeby nie było, że to oni oszukują.

Bystry był, podpatrywał starszych i szybko uczył się zasad. Widział, że starzy mieli układ, żadnego młodego by nie dopuścili. Ten znajomy z Grójca kradł polonezy na potęgę. Oczywiście nie sam, miał od tego maślaków. Giełda samochodowa była wtedy fabryką do zarabiania pieniędzy. W każdą niedzielę schodziły się tłumy, ludzie kupowali wszystko jak leci. Ten znajomy Bajbus sprzedawał po dziesięć polonezów każdego tygodnia. Niektóre samochody były jeszcze gorące – polakierowane, w nocy przerobione i zaledwie chwilę wcześniej przerejestrowane. Bajbus ocenia, że układy starych w wydziale komunikacji przy rejestracji pojazdów były po prostu bezcenne:

– Piękne czasy – wzdycha, żałując, że nie dane mu było załapać się do samochodowego interesu.

Miał niecałe 17 lat, gdy po raz pierwszy przyszła po niego policja. Zamknęli go za pobicie kolegi. Pokrzywdzony zeznał, że Bajbus napadł na niego i zabrał mu flaszkę wódki. Trzy lata odsiadki. Bajbus nadziei się nie mógł, że tamten znajomy z Grójca dostał trzy miesiące za kradzione samochody, a on trzy lata za flaszkę wódki. I gdzie tu jest sprawiedliwość?

Dzisiaj ten znajomy ma kasy jak lodu, kształci dzieci za granicą. Jest deweloperem, stawia bloki, apartamenty, skupuje ziemię, hektary ziemi. Bajbus mówi o nim z szacunkiem, przecież „kiedyś chodził w gumiakach, a teraz jest ustawiony”, więc zasługuje na uznanie. Wszyscy z tamtego pokolenia powinni tak funkcjonować, a nie biedę klepać, jak większość tak zwanych słynnych

gangsterów. Z takimi ludźmi warto trzymać, uważa Bajbus, przynajmniej można się od nich czegoś nauczyć.

Dziady i patałachy

Bajbus napadał i rabował, a potem dzielił zyski pomiędzy uczestników akcji. Mówi, że nikt przy nim głodny nie chodził.

„W połowie 2005 roku do grupy Bajbusa dołączyli Bobek, Donek oraz grupa z Łaz, zwana też «chłopakami ze wsi». Mieli oni rozeznanie dotyczące hurtowni z odzieżą dostarczających towar na giełdę chińską i wietnamską w Wólce Kosowskiej, gdyż niektórzy tam pracowali. Chłopaki ze wsi wynajdowali hurtownie, dokonywali rozpoznania, a następnie wskazywali je Bajbusowi. On organizował ludzi, sprzęt i magazyny do przechowywania skradzionego towaru. Sprzedają łupów najczęściej – ze względu na znajomość środowiska – również zajmowali się chłopacy ze wsi”.

(sprawa karna XVIII K 54/08 Sądu Okręgowego w Warszawie)

Fragmenty nieautoryzowanej rozmowy z Bajbusem:

– **Jak pan typował ofiary?**

– Najlepiej, powiem pani, jest wziąć od złodzieja, bo taki nie pójdzie poskarżyć się na policję. Wyciskałem z nich, ile mogłem. Przecież nie gnębiłem uczciwych, więc nie miałem litości. Złodzieje są różni: jedni okradają Skarb Państwa, inni kradną tradycyjnie. My szliśmy do jednych i do drugich. Miałem na przykład takich dwóch gości, którzy zarabiali ogromną kasę na tureckich podróbkach znanych firm, ciuchach z plakietkami „Versace”, „Calvin Klein”. Jeden z nich był naczelnikiem urzędu celnego w Radomiu, podpisywał kwity, że podróbki zarekwirowane handlarzom mają trafić z magazynów do utylizacji. Tego towaru

było tyle, że dziś nie policzę, przecież to tirami szło hurtowo. No i ten naczelnik zamiast je spalić, to razem ze szwagrem wpuszczał w drugi obieg. Nie miałem wobec nich litości. Po 50 tysięcy miesięcznie musieli mi płacić.

– Skąd pan wiedział, kogo łupić i rabować? Żeby zagrabzić towar za kilkaset tysięcy, trzeba mieć niezłe rozpoznanie.

– Różni ludzie nadawali mi robotę, wśród nich byli i przestępcy, i policjanci, którzy wiedzieli, gdzie i kto oszukuje na podatkach. Jeśli informator był spoza mojej grupy, to jednorazowo brałem go na akcję. Dostawał kasę z podziału, ale jeśli mnie okłamał, to znaczy gdy ten, którego mieliśmy „robić”, nic nie miał – wtedy z własnej kieszeni musiał zapłacić, ponieważ mnie zaangażował. Prosta zasada: kłamiesz – płacisz.

– Z czego były największe pieniądze?

– Na pewno nie z haraczy. Ta dziedzina przestępczej działalności w ogóle mnie nie interesowała. Dochód niewielki, a ganiać trzeba. Szczerze pani powiem, że żal mi tych ludzi, którzy muszą się grupom przestępczym opłacać. Sam prowadziłem interesy, wiem, jak to jest. A tak w ogóle uważam, że jechać do kogoś po sto dolarów to jest frajerski numer. Ktoś mógłby powiedzieć, że jak się pojedzie po sto dolarów do dziesięciu punktów, to jest już tysiąc dolarów, ale ja uważam, że szkoda czasu i paliwa. Lepiej jednego klienta skubnąć na 20 tysięcy dolarów, a potem odpoczywać w domu lub wydawać w sklepach zarobione pieniądze, niż latać po mieście i skubać drobne. To nie jest robota dla prawdziwych bandytów. Tylko dziady z tego żyją. I patałachy.

– Pan, zdaje się, wychowywał się na innym podwórku niż większość ludzi Andrzeja H. Skąd zatem pana przynależność do gangu mokotowskiego?

– O to chodzi, że takie są właśnie prokuratorskie metody przypisywania do zorganizowanych grup przestępczych! Na zasadzie, że się kogoś zna. Teraz to pani i ja się znamy, ale czy to znaczy, że jest pani członkiem grupy Bajbusa? No nie, bo grupa to jest banda, która razem jeździ na rozkminki, czerpie zyski ze wspólnej działalności, razem zarabia.

– Z aktu oskarżenia wynika, że tym, co pan zarobił, karnie dzielił się pan z Korkiem, potem z Daksem.

– Takie były zasady. My zarabialiśmy niezależnie od siebie. Jaka to grupa mokotowska, skoro jeden nie znał drugiego i trzeciego?

– Kim był w grupie mokotowskiej Zbigniew C. Daks?

– Drugim po Bogu. Policja zawinęła Daksa pod koniec 2007 roku, uważając, że przejął schedę po Andrzeju. Trudno jednoznacznie powiedzieć, czy po aresztowaniu Korca rzeczywiście on był numerem jeden w grupie mokotowskiej. Każdy z nas robił swoje, bez takiego rozróżniania, kto był ważniejszy. Jego ekipa zaczęła napadać na tiry i jak Daks poszedł siedzieć, tak siedzi do dziś. Znaliśmy się z Daksem i pomagaliśmy sobie. Ja nawet rzadziej chodziłem do nich po pomoc, częściej oni do mnie przychodzili. Pomagałem, bo dlaczego nie, to przecież nie byli moi przeciwnicy.

– Jak pan pomagał Dakswi?

– Wspierałem go ze swoją grupą, ale tylko wtedy, gdy były za to pieniądze. Jeśli miałem pracować za darmo, to zwyczajnie odmawiałem. Kiedyś pobito go w więzieniu i Zbyszek chciał wyrównać rachunki. Postawiłem sprawę jasno: zapłacisz – pojedę, ale on nie zamierzał płacić. Jakiś czas później przyszedł do mnie i mówi, że rugbyści z Gdyni czy Gdańska pokosowali [pocięli nożem – przyp. aut.] w knajpie jego kolegę Oskara, który przechwalał się, że jest z „Mokotowa”. Daks od razu chciał tam jechać, ale nie miał z kim, zatem zwrócił się do mnie: „Weź pozbieraj chłopaków, pojedalibyśmy mocną ekipą do Gdyni i wpierdol im dali”. A ja na to spokojnie: „Posłuchaj, Zbyszek, zdajesz sobie sprawę, że to wszystko kosztuje? Paliwo, obiad, kolacja i trzydziestu chłopca, którym trzeba zapłacić”. Ale on nie miał pieniędzy, więc mu poradziłem: „To sobie sam jedź, kurwa, bo przecież nikt nie będzie głowy nadstawiał za twojego kumpla. Owszem, my też się z Oskarem znamy, ale jakieś zasady obowiązują, zgadza się?”.

– **Liczną grupę mógł pan skrzyknąć na taki wyjazd?**

– Jakieś 60–70 osób, i to byli sami zawodnicy: zapaśnicy, bokserzy, judocy, chłopaki z siłowni.

– **Poza jeżdżeniem na akcje mieli jakąś pracę?**

– Z tym bywało różnie, niektórzy stali na bramkach po dyskotekach, inni handlowali narkotykami. Ja się takimi sprawami nie zajmowałem, to nie był biznes dla mnie, chociaż wiem, że z narkotyków są pieniądze. Ale nie nadaję się do tego. Dobrze się czułem w takich typowo bandyckich przestępstwach: najechać kogoś, obrobić. Robiłem to, co lubiłem, a narkotyki są dla platfusów. Są pieniądze z tego, nie przeczę, ale ja tego nie uważam,

kiedy dzieciom się sprzedaje to gównu.

– Pańscy ludzie zarabiali na narkotykach, a pan – jako ich szef – nie czerpał zysków z tej działalności?

– Dokładnie. Oni mieli swoje rewiry, w których sprzedawali towar, a ja kazałem im trzymać się z tym z dala ode mnie. Nie wymagałem, żeby się ze mną dzielili pieniędzmi z narkotyków. Powtarzałem: „Zarabiacie sobie, jak chcecie, i nie mieszajcie mnie do tego, żeby mnie z tym nie wiązano”. Chciałem uniknąć sytuacji, że policja ich złapie, a oni powiedzą, że są z grupy Bajbusa, po czym wszystko pójdzie na moje konto. Niestety, dokładnie tak było: w aktach sprawy jest napisane, że to ja handlowałem narkotykami. Wystarczyło, że ktoś powiedział, że ode mnie kupował, i nie potrzeba było na to innych dowodów. Zresztą przyznałem się do tego.

– Po co przyznawać się do czegoś, czego się nie robiło?

– Dla mnie to nie miało większego znaczenia. Zresztą sam prokurator mi powiedział, że to wszystko pójdzie do jednego worka. Z akt sprawy karnej grupy Bajbusa:

„W grupie mokotowskiej, która na dużą skalę handlowała narkotykami, była zasada, żeby je kupować od osoby, która była w grupie, gdyż kupowanie ich od osób spoza grupy oznaczało, że narkotyki pozyskane przez członków grupy wtedy się nie sprzedawały. W przypadku konieczności zakupu narkotyków od osoby spoza grupy Bajbus pytał o zgodę Sebastiana L. Lepę i Artura N. Arczkiego, należących do grupy Daksa, z którymi kontaktował się, przekazując im pieniądze z haraczów i narkotyków. (...)

Krzysztof M., ps. Bajbus, działając w grupie przestępczej tzw. mokotowskiej, dostarczał środki odurzające w postaci kokainy, amfetaminy i marihuany – które nabywał od innych członków grupy – osobom zajmującym się ich detaliczną

dystrybucją. (...) Zgłaszał Lepie i Arcziemu każdą nową osobę handlującą narkotykami, gdyż za zapewnienie jej ochrony z ramienia grupy mokotowskiej każdy diler musiał płacić po 100 dolarów miesięcznie, pobierał od nich te pieniądze – pomiędzy pierwszym a dziesiątym dniem każdego miesiąca – i oddawał je Lepie, Arcziemu lub Daksowi, w zależności od tego, którego z nich spotkał”.

O przyjaźni, której nie było

– **Miał pan w grupie mokotowskiej kogoś zaufanego, przyjaciela?**

– Nie miałem. Tak zostałem wychowany, że takim ludziom się nie ufa. Od dziecka wchodziłem w środowiska, jak to się mówi, przestępcze. Wiedziałem, że to nie jest ani kolega, ani przyjaciel, ale człowiek, który chce zarobić pieniądze. I nic więcej! Myślisz, że masz przyjaciela, a jak odwrócisz się do niego plecami, to on ci nóż wbije.

– **Chodziliście razem na imprezy, obchodziliście święta, andrzejki. To nic nie znaczyło?**

– Rozumowanie ludzi ze świata przestępczego jest takie: będę miał więcej – będę ważniejszy. Szacunek w środowisku i to, jak cię inni postrzegają, zależy wyłącznie od tego, ile masz kasy, a nie jakim jesteś człowiekiem. To nie jest tak, że można się bezinteresownie spotkać, wypić, pojechać się zabawić i nikogo to nie obchodzi, czy przyjechałeś mercedesem czy fiatem. Tu nie ma mowy o zaufaniu. Wszędzie dominuje zazdrość. Wie pani, zazdrość finansowa jest okropna.

– Nie tylko w środowiskach przestępczych. To... ogólna tendencja.

– Jeżeli ktoś w takiej grupie jak nasza ma więcej, a ja mam mniej, to znaczy, że ten ktoś oszukuje, dlatego ja mniej zarabiam. Nikt nie bierze pod uwagę, że jak się baluje i ćpa, to ma się mniej. Takich wydatków nikt nie liczy. Oni tylko patrzą podejrzliwie, że masz to i tamto, a oni nic nie mają. I już się w głowach kręci myśl, żeby bogatszemu uszczknąć, żeby go napaść albo oczernić, żeby mu to wszystko zabrać. Takie to jest towarzystwo. Relacje w grupie możemy określać wyłącznie w kategoriach ekonomicznych. Przestępców łączy chęć zarabiania, a nie więzy przyjaźni. Mówienie o zaufaniu w tym temacie to jakaś katastrofa. Celem, dla którego się zebraliśmy, stworzyliśmy grupę i trzymaliśmy razem, było zarabianie pieniędzy.

– Nie uginały wam się kolana przed potęgą „Pruszkowa”?

– Mieliśmy ich gdzieś, i te legendy o nich, że tacy wielcy, tacy groźni. Kogo tu się bać? Nazbierało się cymbałów, pokupowało drogich zabawek, powsiadało do samochodów i myślało, że rządzą. Większość warszawskich gangsterów to frajerzy. Wszystkie legendy wzięły się od Masy.

– Nie lubiliście się z „Pruszkowem”, jak widzę...

– Oni mają dziś po pięćdziesiąt parę lat. Wspominają czasy, kiedy naprawdę można było zarobić, bo pieniądze leżały na ulicy i wystarczyło się po nie schylić. Można było zbić majątek na zwykłym przemyśle spirytusu i papierosów, na walucie. Nie trzeba było zabijać.

– Policja deptała panu po piętach?

– Na początku nic nie wiedzieli. Dopiero w 2004–2005 roku, kiedy działałem na bezczelnego, dowiedzieli się, z czego żyję. Pewnego razu namówili mojego kolegę z Wołomina, żeby przeciwko mnie zeznał. Miał powiedzieć, że przyszedłem do niego po haracz. Owszem, poszedłem, ale nie po haracz. Prawda była inna. Kiedyś była taka sytuacja, że on i jego koledzy we czterech mnie poturbowali. Trzem się odwdzięczyłem. Tylko jeden mi został i jakoś leżał na sercu. Przez zupełny przypadek dowiedziałem się w knajpie, gdzie go znajdę. Jego brat cioteczny się wygadał, że mieszka tu, niedaleko mnie. Zapytałem go zwyczajnie, co u tamtego słychać, a on wskazał adres.

– Pojechał pan do Wołomina.

– Pojechałem. Facet dostał ostry łomot – nie za pobicie mnie we czterech, tylko za to, że chodził i gadał, że się przechwalał. Złożyłem mu wizytę, dałem niezły oklep, a on poszedł na mnie na policję. Przyjechali psy, aresztowali mnie, zamknęli. Jeden z policjantów okazał się porządny, chyba wiedział, jak było. Przekonał mnie, żebym polubownie załatwił sprawę, gdzieś zadzwonił, żeby nie siedzieć za darmo. On do mnie życzliwie, a ja mu na to: „Panie, daj mi pan święty spokój, ja, kurwa, nic nie zrobiłem”. Ale go w końcu posłuchałem i zadzwoniłem do żony. Ona już wiedziała, w czym rzecz. Pojechała do tego pobitego w towarzystwie mojego znajomego. Dali mu litr wódki i gość wycofał oskarżenie. Rozumie pani, litr wódki mnie to kosztowało! Innym razem jakiegoś chłopa zabili, ktoś mnie widział, poszedł i powiedział. Na miesiąc mnie zamknęli, podczas gdy nie miałem

nic wspólnego z zabójstwem. Zatem widzi pani sama, co to za towarzystwo ten półświatek. Jak można mieć zaufanie do takich ludzi, skoro tak się zachowują.

O splewieniu Słowika i zniesławieniu szefa

– **Zdażył pan poznać starych pruszkowskich? Kiedy pan zaczynał na dobre, oni już siedzieli za kratami.**

– Niektórzy byli na wolności, niektórzy już siedzieli.

– **Słowika pan znał?**

– Znałem, ale z więzienia, nie z wolności. Siedzieliśmy jakiś czas pod tym samym adresem, on pod numerem 41, a ja 38 albo 39. W areszcie na Mokotowie, na enkach [cele dla szczególnie niebezpiecznych – przyp. aut.]. Na spacerze tak sobie chodził, śpiewał piosenki o miłości, a że w telewizji o mnie mówili, to znaczy było o mnie głośno, więc on zagadywał do mnie. Ale ja miałem o nim swoje zdanie i nie chciałem z nim gadać.

– **Słowika pan splewił? Nie wierzę.**

– A co będę z nim gadał, jak on za mały jest dla mnie. Co mnie interesuje taki Słowik, niech sobie śpiewa te swoje piosenki. Nadaje się do pchania karuzeli, a może i do tego się nie nadaje.

– **No, tu pan przesadził. Przecież to najgroźniejszy gangster w Polsce.**

– Pani sobie poczyta w internecie. Co drugi jest taki, przynajmniej tak o nich piszą. Siedziałem razem z człowiekiem, który uciekł od Słowika spod celi, bo Słowik chodził do wychowawcy na skargę na niego, że palił papierosy. Strasznie ten człowiek jechał potem na Słowika: „A to, kurwa, frajer! Chodził i skarżył na mnie, pierdolony, wychowawca mi wszystko powiedział”.

– **Może Słowik nie pali i zwyczajnie szkodzi mu dym w małym, zamkniętym pomieszczeniu.**

– Dla mnie tacy ludzie, wychowani w komunie na esbeckich metodach, są jak konfidenci. Ich zasady to podpierdalać, tylko żeby nikt o tym nie wiedział. I z administracją w więzieniu dobrze żyć. Te same reguły stosują na wolności: poukładać się. Andrzej H. Korek właśnie należy do tego pokolenia. Wyznaje te same zasady: dajesz – chodzisz, nie dajesz – nie chodzisz. Zwyczajny bandyta, jeśli przejdzie na czerwonym świetle, to go zamkną, a takich jak oni nie zamykają.

Prasówka:

„Tego jeszcze w polskim półświatku nie było. Dwaj znani gangsterzy stoczą ze sobą pojedynek, jednak nie na bomby czy pistolety, ale paragrafy. Przed warszawskim sądem ma ruszyć proces o zniesławienie, który Andrzej H., ps. Korek, uważany za szefa gangu mokotowskiego, wytoczył swojemu byłemu podwładnemu Krzysztofowi M., ps. Bajbus. Poszło o zeznania obciążające Korca, jakie ten ostatni złożył w śledztwie i o czym mówił później przed sądem.

W półświatku nie używa się terminu zniesławienie, tylko

«ublizenie». To jedno z najpoważniejszych przestępstw w bandyckim kodeksie. Najłagodniejszą karą jest «łamanie», czyli bardzo dotkliwe pobicie, które często kończy się trafieniem na oddział intensywnej opieki medycznej.

Obraza jest jednak karana zazwyczaj śmiercią. To przede wszystkim uniemożliwia «sprawcy zniesławienia» dokonanie później pomsty na obrażonym. O wymiarze kary nie decyduje żaden sąd, czy to cywilny, czy karny. Decyzje zapadają bowiem w gorących głowach obrażonych i są realizowane bardzo szybko. W wyniku takich «krzywd» zginęło w polskim półświatku wielu gangsterów. Nie wiadomo, jak potoczyłaby się i ta sprawa, gdyby nie fakt, że jedna z zamieszanych w nią stron odbywa wieloletni wyrok w więzieniu.

Nie wiadomo, czy Andrzej H., ps. Korek, jest już na tyle zresocjalizowany, że chce dokonać sprawiedliwości zgodnie z literą prawa, czy też może postanowił iść z duchem czasu i załatwić sprawę w cywilizowany sposób. Tak jak to robią biznesmeni, za jakiego ten domniemany boss gangu mokotowskiego uchodził w pewnych kręgach. Pewne jest, że boss poczuł się dotknięty do żywego za sprawą zeznań Bajbusa.

Aby nie narazić się na zniesławienie, nie możemy przytoczyć dokładnie, o jakie słowa poszło. Tym bardziej że pełnomocniczka Andrzeja H. odmówiła komentowania tej niecodziennej sprawy. Możemy jednak uchylić rąbka tajemnicy i ujawnić, że Korek uznał zeznania Bajbusa dotyczące życia prywatnego bossa za zniesławiające. Poszło o rzekomy romans gangstera, któremu H. kategorycznie zaprzecza. Za nieprawdziwe uznał także słowa o działalności przestępczej. Trzeba przyznać, że Korek nie ma zbyt wygórowanych żądań. Domaga się tylko przeprosin oraz

wpłaty przez pozwanego 15 tys. zł na cele społeczne.

Pełnomocnik Krzysztofa M. wnosił do sądu o odrzucenie pozwu, ponieważ wszelkie słowa, jakie na temat Korka wypowiedział Bajbus, padły w czasie śledztw, gdy Krzysztof M. miał status podejrzanego, a polskie prawo pozwala podejrzanemu nawet kłamać.

Starcie gangsterów w sądzie zapowiada się więc interesująco, tym bardziej że według nieoficjalnych informacji może się okazać, że nie spotkają się oni osobiście na sali sądowej. Rozważano przeprowadzenie rozprawy z wykorzystaniem wideokonferencji z bossem przebywającym za kratami. Nie wiadomo, dlaczego zdecydowano się na takie środki ostrożności. Czy mają one chronić Andrzeja H., czy też policja i służba więzienna obawiają się, że może dojść do próby odbicia Korka?”

(Rafał Pasztelański, Gangsterskie porachunki w sądzie,
portal TVP Info, 11.03.2014)

– **Czym pan tak zdenerwował Korka, że podał pana do sądu?**

– Andrzej zrobił mi sprawę cywilną o... zapomniałem słowa... no, jak to się mówi, kiedy ktoś o kimś powie nieprawdę?

– **Zniesławienie.**

– No właśnie, o zniesławienie mnie podał do sądu.

– **Czym go pan zniesławił?**

– W śledztwie powiedziałem, że miał kochankę, i tak go to dotknęło, że zrobił mi sprawę cywilną. Zagalopowałem się trochę,

ta informacja nie miała znaczenia. W ogóle nie wiem, po co o niej wspominałem. Tak mi się jakoś powiedziało. Andrzej uznał, że informacją o kochance naruszyłem jego prywatność. Zażądał 15 tysięcy złotych na dom opieki.

– Żona Korka mogła się poczuć urażona, poznał ją pan?

– Oczywiście, znam Misię. Wyszła za Andrzeja za mąż w więzieniu w Sztumie. Całą jego rodzinę wiozłem na ślub.

– Jak zakończyła się tamta sprawa?

– Dostałem pozew, byłem w sądzie, jednak ostatecznie Andrzej się wycofał. Nawet nie przyjechał na rozprawę, chyba się wstydził albo ktoś mu wytłumaczył, że to jest zwyczajna siara, ten cały proces. W ogóle coś mi się wydaje, że to nie był jego pomysł z tym pozwem. Złożył go dopiero w 2010 roku, czyli po kilku latach od moich zeznań. To musiała być manipulacja policji i prokuratury. Namówili go, żeby zrobić mi w życiu pod górkę.

– Po co mieliby to robić?

– Wiele o tym myślałam i dziś mam pewność, że w ten sposób chcieli skłócić mnie ze wszystkimi, abym na nich zeznawał. Takie rzeczy zawsze działały się przed ważnymi rozprawami, na których miałem mówić przeciwko kolegom. To wszystko była chłodna kalkulacja policji i prokuratury. Dwa razy dom kazali mi podpalić, wcześniej pozwolili moją żonę zabić... bo przecież wiedzieli, że ma być zabita, i nic z tym nie zrobili! Patrzyli spokojnie na jej śmierć, zacierając ręce, jak to teraz sprawa przeciwko grupie mokotowskiej ruszy do przodu, kiedy pogrążony w rozpaczę zacznę zeznawać...

I tak sobie myślę, że ta sprawa ze zniesławieniem też miała temu służyć. Tuż przed ważną rozprawą, na której spodziewali się moich kluczowych zeznań przeciwko Andrzejowi, dostałem pozew, priorytetem nadany. Tak to sobie wykombinowali – żebym się wkurzył i po całości obciążał kolegę. Ale tu się zawiedli, bo kiedy wyszedłem z więzienia, wszystko, co powiedziałem wcześniej, odwołałem przed sądami. Kochanką mnie chcieli skłócić z Andrzejem...

– **Kochanka w życiu gangstera to chyba nic oryginalnego. Pan nie miał innych kobiet?**

– Miałem.

– **Co na to pańska żona?**

– No nic.

– **Nie była zazdrosna, nie pytała?**

– Nie wiedziała.

– **Na obiadek do domu, po kielichu do kochanki?**

– I tu się pani myli. Przecież ja w ogóle nie piję. Wszyscy wiedzą, że nie tykam ani alkoholu, ani narkotyków. Może piwo czasem, ale jakoś mi to nie służy. Kiedyś spróbowałem i żałowałem, przeżyłem bowiem coś koszmarnego (*śmiech*)...

– **Kaca.**

– Nie wiem, jak w ogóle ludzie mogą pić hurtowe ilości. Ja to po

jednym piwie jestem pijany.

– To jak pan przeżył w tym męskim świecie bez wspólnego picia?

– Wie pani, wspólne zarabianie pieniędzy nie oznacza, żeby wspólnie pić i balować. Najważniejsze to zarobić, a na zabawę zawsze będę miał czas. Tak zawsze myślałem i to mówiłem swoim ludziom, bo przecież tu nie chodzi o to, żeby imprezy robić, ale żeby pracować. No, ale oni po swojemu chcieli, przepili, co zarobili, i nie mają nic. Wrócili po wyrokach do tego, co było kiedyś. W kwestii alkoholu to jeszcze coś pani powiem. Jakiś czas temu ostro chorowałem. Gardło mnie bolało, ropa poszła do węzłów chłonnych, normalnie katastrofa. Idę do doktora i słyszę już na wstępie: „Pan nie pije”. „Skąd pan wie?” – dociekam, a on, że to od razu widać. „Radzę panu, żeby od czasu do czasu wypił pan piwko, dla zdrowia. Inaczej wszystkie zarazy do pana przyłgną i ciągle będzie pan tak chorował”.

– To angina była?

– Wcześniej miałem anginy, ale nie takie! Nieprzytomny byłem, o mało się nie przekręciłem. Obudziłem się o czwartej, patrzę w lustro, a tu cała szyja spuchnięta przez to gardło. Dzwonię do lekarza o tej czwartej – kazał mi dzwonić, nieważne o której – i od razu na stół operacyjny mnie położyli. I właśnie po tym wszystkim lekarz mi powiedział, żebym od czasu do czasu wypił dla zdrowia. Nie minęły dwa miesiące i, kurwa, znów się budzę spuchnięty. Rodzina poszła do sklepu, kupiła mi ćwiartkę. Wypiłem to świństwo... o Jezuuu...

– **Pomogło?**

– Rano wstałem zdrowy.

– **Na zabójstwo pojechał pan trzeźwy?**

– Tak.

– **I jak było?**

– Jak na zabójstwie: facet dostał w łeb i po sprawie. Normalna rzecz.

– **Kim był człowiek, którego zabiliście?**

– Łukasz W., pseudonim Dzik, był członkiem naszej grupy przestępczej, który w pewnym momencie zaczął sprawiać problemy. Właściwie typowaliśmy dwóch ludzi: miał zginąć Pulpet albo on. Ostatecznie padło na Dzika. Pulpeta lubiłem, a Łukasz był Ukraińcem i to zaważyło, chociaż początkowo też go lubiłem.

O Dziku, który skonał w lesie

Ostatnie andrzejki Dzika

Jak umierał Łukasz W. – sądowy opis zbrodni:

„W drugiej połowie listopada 2005 roku, ze względu na narastające problemy z jednym z członków grupy, Łukaszem W., ps. Dzik, Krzysztof M., ps. Bajbus, podjął decyzję o jego zabójstwie. Dzik nadużywał alkoholu i narkotyków, tracił kontrolę nad tym, co mówi, i «na mieście» zaczął opowiadać o popełnianych przez siebie i grupę Bajbusa przestępstwach. Bajbus zaczął się niepokoić, czy w związku z tym Dzik nie zacznie współpracować z policją. Uzależnienie od alkoholu i narkotyków powodowało, że Dzik potrzebował pieniędzy, był więc niezadowolony z wysokości przypadającej na niego części pieniędzy pochodzących ze sprzedaży łupów. Z tego samego zapewne powodu zdemolował dwie agencje towarzyskie należące do grupy kierowanej przez Zbigniewa C., ps. Daks, i Artura N., ps. Arczi, którzy podczas dwóch spotkań z Krzysztofem M. nakazali mu zrobienie porządku z Dzikim i zagrozili, że jeśli go nie zakopie, to sam będzie miał problemy. (...)

Od tamtej pory Bajbus powtarzał, że z Dzikim trzeba zrobić porządek, bo nie tylko domagał się większych pieniędzy, ale «ponadto istnieje obawa, że współpracuje z policją». Bajbus nie mówił wtedy, że Dzika trzeba zabić, ale że trzeba odebrać mu trochę zdrowia.

Kiedy Bajbus podjął decyzję o zabiciu Dzika (...), zdecydował, że wykorzystają w tym celu zaplanowaną wcześniej imprezę andrzejkową w klubie Mozart w Wólce Kosowskiej. Poleciał Nelsonowi wykopanie dołu w lesie, a Pulpetowi przywiezienie Dzika do Mozarta. Nelson zlecił wykopanie dołu Ernestowi i Kotu”.

– O tym, że Dzik pójdzie w piach, dowiedziałem się od Ernesta – wyjaśniał przed sądem Kot. – W dniu 19 listopada 2005 roku nad ranem, w okolicach miejscowości Mieszkowo, znaleźliśmy odludne miejsce, jakieś 150 metrów od granicy lasu, i na zmianę kopaliśmy dół. Rozmawialiśmy o całej sytuacji i od niego dowiedziałem się, że klamka już zapadła. Ernest żartował, że Bajbus kazał wykopać głęboki dół, tak żeby mogła się w nim zmieścić druga osoba. Po wykopaniu dołu położyłem obok worek z wapnem, a Ernest worek z cementem. Wapno i cement miały służyć do zasypania zwłok, aby dołu nie rozkopała zwierzyna. W pobliżu dołu ukryliśmy też łopatę i grabie.

„Po południu wszyscy zaczęli zjeżdżać się do Mozarta. Przybyli: Bajbus, Leon, Bobek, Dony, Kot, Nelson, Ernest, Maniek, Borek, Antek i Dzik, którego przywiózł Pulpet.

Bajbus zdecydował o zawodach w picciu wódki, by łatwiej było zabić Dzika. Wzięli w nich udział Dzik i Frycek. Pili wódkę szklankami, przy czym Dzik nie widział, że Fryckowi nalewano wodę. Gdy Dzik bardzo się upił, Bajbus zakończył imprezę. Pozwolił Kotu, Antkowi i Pulpetowi odjechać do domu. Pozostałym kazał zabrać ze sobą Dzika i wsiadać do samochodów. Wówczas nadjechał Dariusz M. [brat Bajbusa – przyp. aut.], któremu wcześniej Bajbus pozwolił pojechać do domu i odwiedzić żonę na dworzec. Ten jednak przez telefon pokłócił się z żoną i wrócił do Mozarta. Na miejsce pojechali dwoma samochodami. (...)

Ernest z Nelsonem lub Bobkiem wyciągnęli Dzika z samochodu. Położyli go na ziemi, gdyż był nieprzytomny od wypitego alkoholu, i rozebrali go. Kot wyjął z bagażnika linkę holowniczą zakończoną haczykiem i założył ją na szyję Dzika. Potem wszyscy po kolei: Kot, Ernest, Dony, Leon, Bobek, Bajbus, a na końcu Maniek zaciskali linkę, dusząc Dzika. Następnie Kot zdjął linkę z jego szyi. Dzik już się nie ruszał, nie charczał. Wtedy Bajbus powiedział, żeby go wzięli i zanieśli do wykopanego dołu. Nieśli go Leon, Kot, Nelson i Ernest. Trochę błędzili po ciemku, ale w końcu trafili do wykopanego dołu i wrzucili do niego ciało Dzika. Nelson wysypał na nie cement i wapno, a następnie Kot z Ernestem zasypali dół. Ubranie Dzika zapakowali do worka po wapnie i rozjechali się.

Po drodze Kot, Maniek i Ernest podjechali do opuszczonego domu kilometr od Kosowa i tam po polaniu benzyną spalili ubranie Dzika. Następnego dnia rano Kot

i Ernest wrócili na miejsce zakopania ciała. Po pozbieraniu całego worka dębowych liści rozsypali je na grobie Dzika”.

(z akt sprawy XVIII K 54/08 Sądu Okręgowego w Warszawie -
grupa Bajbusa)

Bobek skreślił mu kark

Bajbus o zabójstwie Dzika:

– **Podobno dokonaliście zbiorowego zabójstwa, aby w przyszłości uniknąć sytuacji, jaka pojawiła się w „Pruszkowie” po zeznaniach świadków koronnych.**

– Tak było, dokładnie. Zabiliśmy, żeby nikomu nie wpadło do głowy, aby zostać świadkiem koronnym. W Polsce korony nie dostanie ten, kto brał udział w zabójstwie.

– **Dzik wiedział, że wieziecie go na śmierć?**

– Coś jakby przeczuwał. Nie był aż tak bardzo pijany, żeby kompletnie nie wiedzieć, co się dzieje.

– **Co mu powiedzieliście, że gdzie go zabieracie?**

– Hasło było takie, że kogoś trzeba zawieźć do lasu, aby go nastraszyć, gdyż facet oszukuje, kręci i chachmęci. I że wszyscy mamy jechać, bo ma być komplet. Rzeczywiście mieliśmy w grupie takiego jednego, który chachmęcił, pewnie dlatego Łukasz uwierzył. Wstał od stołu w knajpie, gdzie go ściągnęliśmy, i powiedział, że jak trzeba jechać, to jedziemy. Nie wiedział, bo skąd miał wiedzieć, że o niego chodziło (*śmiech*).

– Kiedy się zorientował?

– Kiedy dostał w łeb, więc tak naprawdę do ostatniej chwili nie wiedział. Nie było mi go szkoda, ponieważ nie był niewiniątkiem. Dużo różnych rzeczy gadał, szczególnie na komendzie. Właściwie same głupoty, prawdy w tych opowieściach było niewiele. Znajomi policjanci ostrzegali mnie przed nim, mówili, że facet opowiada dziwne historie, w których sam się wybiela, a innych oczernia. Na przykład po hulaszce nocy wszedł do sklepu spożywczego, wziął sobie wódkę, za którą nie zapłacił, więc go zaraz złapali i zamknęli. Przeleżał w celi do rana, a gdy się obudził, funkcjonariusze wzięli go na przesłuchanie. Same głupoty pierdolił, że pracuje ze mną, że niby go wysłałem, szkoda gadać...

– Pierwszy raz mu się to zdarzyło?

– Właśnie o to chodzi, że takich zdarzeń było wiele. Wracając rano z dyskoteki na Mokotowie, pobił ekspedientkę, która nie chciała mu dać piwa za darmo. Dziewczyna poszła na policję, on narozrabiał, a ja miałem zarzuty o haracz. Innym razem poszedł do agencji, na prostytutki, i znów wybuchła afera. Nie chciał uczciwie zapłacić za usługi, wykrzykując, że jest z grupy Bajbusa.

– Płacił pan policjantom za ostrzeżenia?

– Nie musiałem, sami z tym do mnie przychodzili. Jeden z nich miał maszyny do gier na Dworcu Zachodnim, w Radości i w Końskich. Kiedy pojawiały się jakieś problemy, ja mu je rozwiązywałem. Był mi wdzięczny, więc kiedy nadarzała się okazja, aby się zrewanżować, to chętnie pomagał. Nie od razu uwierzyłem w to, co opowiadali mi funkcjonariusze. Uważałem i nadal uważam,

że policja to świnie, że ufać im nie można. Ale oni mówili prawdę: Łukasz rozrabiał i kablował.

– Czy to wystarczający powód, żeby zabijać?

– To nie stało się od razu. Proszę nie myśleć, że nie próbowałem go uchronić. Najpierw, mając już wiedzę o tym, co wygadywał na przesłuchaniach, postanowiłem go zdyscyplinować. Ostrzegałem: „Chłopie, zastanów się, co ty robisz! Uspokój się, bo to się dla ciebie źle skończy”. Prosiłem raz, drugi i trzeci, jednak nic do niego nie docierało. Znow wybrał się na dyskotekę i narozrabiał: tego pobił, tamtego pobił, powybił szyby, zdemolował lokal. Nie wiem, dlaczego tak się zachowywał – może chciał wymuszenie zrobić, może tylko się popisowywał.

– Dziś to już nieistotne, skoro go zabiliście.

– Zachowywał się jak nienormalny, więc po jakimś czasie w ogóle odechciało mi się z nim gadać. Najgorsze było to, że urządzając burdy, powoływał się na mnie. Po tamtym zdarzeniu na dyskotekę, kiedy powybił szyby, zadzwoniono do mnie z żądaniem, abym w końcu coś z nim zrobił. W przeciwnym razie sam będę miał problemy. Wtedy znow próbowałem po dobroci, ostrzegałem: „Łukasz, przynajmniej jak burdy urządzasz, to rób to na własny rachunek i nie powołuj się na innych. W przeciwnym razie nie tylko sobie szkodzisz”. Tu nie chodzi wyłącznie o dyscyplinowanie kogokolwiek, ale o podstawowe zasady.

– Jakie są te zasady?

– Bierz odpowiedzialność za swoje czyny, nie obciążaj nimi

innych. To, co robisz, jest okej tylko wtedy, gdy inni nie będą mieli przez ciebie problemów. Jeśli ktoś taki jak Łukasz idzie do sklepu, agencji towarzyskiej lub na dyskotekę i wszczyna awanturę, to rozejdzie się wieść, że to ja wysłałem go po haracz. Nie do niego będą pretensje, lecz do mnie, ponieważ nie panuję nad sytuacją albo pozwalam mu na takie zachowania. Wiele razy siedziałem niesłusznie, chociaż pokrzywdzeni na oczy mnie nie widzieli. Policji wystarczyły powiązania, że to mój człowiek, by wyciągnąć pochopne wnioski. I wychodziło na to, że gość działał z mojego polecenia.

– Postawiono panu zarzuty za to, co robił Łukasz?

– Policjanci kryminalni w cywilu zatrzymali mnie pod zarzutem, że wysłałem Łukasza po haracz do budki z lodami! Po sto dolarów! No, krew mnie zalała, że przypisują mi taki frajerski numer. Po sto dolarów to niech sobie Korek w mieście zbiera. Wkurzyłem się okropnie, bo to przecież wstyd, takie kwoty. Wziąłem Łukasza na stronę po raz ostatni: „Słuchaj, mam ciebie dość. Tyle razy cię ostrzegałem, ale to już koniec”. A on się śmiał... Zawsze się śmiał. To sobie wyśmiał...

– Kto podjął decyzję, żeby go zabić?

– Ja podjąłem. Spotkałem się w tej sprawie z Bobkiem. Usiedliśmy w knajpie na uboczu, aby szczerze porozmawiać, co z tym Łukaszem zrobić, bo już niczego nie można mu wytłumaczyć. „Śmierć nie jest adekwatna do tego, co on robi – mówię – ale czy przez niego znów mam iść do więzienia za darmo, za nic?” Jeszcze żeby mi wynagradzał swoją niesubordynację na przykład zaangażowaniem w pracę, ale ja nie mam z niego żadnego pożytku! Kiedy potrzebuję go do jakiejś roboty, to on się nie nadaje! Dzwonię

i mówię, żeby podłożył ładunek wybuchowy, bo taka jest potrzeba, kogoś trzeba nastraszyć, ponieważ nie chce płacić. I Łukasz zapewnia: „Dobra, dobra, dobra...”, a jak przychodzi co do czego, to ma wyłączony telefon.

– Jak to tłumaczył?

– Spotkałem go dzień lub dwa później i spytałem: Gdzie, kurwa, byłeś?! Przecież miałeś iść tu i tam, a on idiotycznie się tłumaczy. „Łukasz, nieprzydatny jesteś – mówię – nie mam z ciebie pożytku”. Zamiast się zastanowić nad swoim postępowaniem, to on znów w szkodę idzie. Potem spotykam psa na ulicy, tego od maszyn, i dowiaduję się, że rzekomo wysłałem Łukasza po haracz. „Jaki, kurwa, haracz?” – denerwuję się, bo sprawa wygląda poważnie.

Spotkaliśmy się z Bobkiem w knajpie i decyzja zapadła. Do lasu pojechaliśmy w pięciu.

– Miał szybką śmierć?

– Skąd ja mam to wiedzieć? Chyba tak. Bobek skręcił mu kark.

– Gdzie pan wtedy był?

– Stałem obok, paliłem papierosa.

– Co zrobiliście z ciałem?

– Wrzuciliśmy do dołu, który był wcześniej przygotowany. Naszykował go taki gość, którego do tej pory policja szuka i znaleźć nie może. Pozostałych zresztą też. Wystawili za nimi jedynie polski nakaz aresztowania, a nie europejski list gończy. Od dziesięciu lat ich szukają i znaleźć nie mogą. Dziwna sprawa, prawda? To ja

wiem, gdzie oni są, a policja nie wie? Skoro jednak pan prokurator zapowiada, że zrobi wszystko, aby jego ulubiony świadek Antoni Ch., ps. Antek, był na wolności, a oni wszyscy po aresztowaniu na pewno by go obciążyli zeznaniami, to po co psy mają węszyć?

– **Co pan robił po powrocie z lasu?**

– Poszedłem na dyskotekę.

– **Nie miał pan wyrzutów sumienia?**

– Nie miałem.

Z protokołu po sekcji zwłok:

„Zwłoki znajdowały się na głębokości ok. 2 metrów i oblepione były fragmentami cementu i wapna. Na szyi denata stwierdzono zaciśniętą linkę holowniczą o długości 2 metrów. Po umyciu zwłok – na grzbiecie pomiędzy łopatkami – tatuaż o treści SILENCE, wykonany pismem stylizowanym na gotyckie.

Szczątki ubrane są w koszulkę typu T-shirt z krótkimi rękawami, pierwotnie koloru białego, z widocznym z przodu napisem:

Człowiek w tej koszulce to STUDENT.

Nie trać głowy, zachowaj rozsądek

Leż spokojnie na plecach

I rób wszystko, co

Student każe ci zrobić”.

(fragment protokołu sądowo-lekarskiego oględzin i sekcji zwłok
Akademii Medycznej w Warszawie -
Katedra i Zakład Medycyny Sądowej, 15.02.2007)

– To Łukasz był w koszulce? – dziwi się po latach Bajbus. –
Przecież go rozebraliśmy, zanim trafił do dołu...

Duża niechęć Bobka do Bajbusa

Bobek, który skręcił Dzikowi kark, przerwał milczenie, gdy lojalność wobec Bajbusa i kompanów przestała mu się opłacać. Chciał niższego wyroku, a że zamiast dożywocia mógł dostać 25 lub 15 lat, postawił wszystko na jedną kartę. Ujawnił szczegóły zbrodni, umniejszając zasadniczo swoją rolę w organizacji przestępczej i zabójstwie Dzika. Chociaż na wolności miał aspiracje do roli przywódcy, to przed prokuratorem, a potem sądem próbował zrobić z siebie ślepego wykonawcę poleceń Bajbusa.

Robert P., ps. Bobek, wywodził się z grupy markowskiej, od Kikira (w czasach burzliwego bezkrólewia, jesienią 2000 roku, przebrany za księdza morderca wszedł do szpitala przy Szaserów i wpakował w Kikira cały magazynek). Bajbus sugeruje, że Bobek, który większość życia przesiedział w więzieniu, bo strzelał i mordował, maczał też palce w porwaniu syna lidera zespołu Bayer Full. Dostał się do jego gangu przez przypadek, bo załapał się na wspólny obiad z Bajbusem. Przeprowadził go na spotkanie jeden z mokotowskich, kolega Bobka spod celi. Ten kolega przekonał Bajbusa, żeby przygarnął Bobka, bo chłopak nie miał roboty. No i Bajbus dał mu zarobić parę złotych, uprzedzając, że „towarzystwo, z jakim pracuje, jest takie, jak sam widzi, i trzeba wszystkich krótko trzymać, tylko żeby znów nie trafić do więzienia”. Bobkowi spodobało się widać, że na starcie dostaje kredyt zaufania i nikt nie traktuje go jak frajera, a że biedy przy Bajbusie nie zaznał, wydawał się wierny jak pies. Ale śledztwo rządzi się swoimi prawami, więc starał się chronić wyłącznie siebie.

Podczas procesu był chwiejny jak chorągiewka. Na jednej z rozpraw oznajmił, że nie przyznaje się ani do udziału

w zabójstwie Dzika, ani do tego, że w ogóle był w grupie Bajbusa. Krótko potem znów uderzał się w pierś, lecz zmieniał szczegóły wydarzeń, utrudniając sądowi ustalenie prawdy. „Składając wyjaśnienia w toku postępowania przygotowawczego, oskarżony Robert P., ps. Bobek, nie przyznał się do udziału w zorganizowanej grupie przestępczej, kierowanej przez Krzysztofa M. Bajbusa – czytamy w aktach sprawy. – Następnie jednak przyznał się do tego czynu i opisał strukturę grupy, której – jak wyjaśnił – niekwestionowanym przywódcą był Bajbus. Wydawał on wszystkie polecenia i decydował, jakie «roboty» będą zrobione. W toku rozprawy oskarżony [Bobek] nie przyznał się do działania w grupie kierowanej przez Bajbusa i wyjaśnił, że «nie działał w grupie, ponieważ działał na równi z Bajbusem i tak też był postrzegany, jako współnik. Nie był od przynieść, zamieć, pozamiataj»”.

Sąd o roli Bobka w zabójstwie Dzika:

„Oskarżony Robert P., opisując po raz pierwszy okoliczności zabójstwa Łukasza W., ps. Dzik, wyjaśnił, że dzień bądź dwa przed zdarzeniem przyjechał do niego Bajbus i w trakcie rozmowy powiedział mu, że Dzik musi iść do piachu, ponieważ złamał zasady. Oskarżony zapytał, co Dzik takiego zrobił, na co Bajbus odpowiedział, że wyjechał jego Martę, tj. jego konkubinę, podczas dyskoteki w Opium. Dodał, że Dzik za dużo ćpa i z kimś jeszcze podczas wspomnianej dyskoteki się poszarpał. (...)

Opisując przebieg imprezy, Bobek wyjaśniał, że Dzik i Maniek – podczas zawodów – pili wódkę szklankami i po kilku takich kolejkach Dzik zerwał się od stołu, jednak Bajbus posadził go z powrotem i w tym momencie Dzik osunął się pod stół. W ten sposób impreza się zakończyła, a Bajbus poszedł zapłacić rachunek. Wtedy Bobek i Pulpet podeszli do niego i powiedzieli, żeby Dzikowi odpuścić, na co Bajbus zaczął na nich krzyżeć, żeby zamknęli mordy i że on już decyzję podjął. Jednocześnie pokazał im wetkniętą za pasek broń – pistolet marki CZ. (...)

Droga do lasu trwała około 10 minut. Gdy zatrzymali się, Bajbus kazał wyciągnąć Dzika z samochodu, co Bobek wraz z Kotem zrobili, i wtedy Bajbus uderzył Dzika pięścią w usta, aż ten upadł i trysnęła mu krew z ust i nosa. Do Dzika podeszli wtedy

Ernest z Bajbusem i założyli mu na szyję plecioną linkę. Wtedy Bobek z Leonem powiedzieli, żeby odpuścić Dzikowi, na co Bajbus odpowiedział, żeby się zamknęli, bo będą następni. (...)

Kiedy podeszli z Dzikim pod wykopany dół, Maniek zaczął wymiotować pod drzewem i Bajbus miał do niego pretensje, że zostawia ślady. Obok dołu były schowane dwa worki, jeden z cementem, drugi z wapnem, a także pięciolitrowy baniak z wodą. Ci, którzy przynieśli Dzika, rzucili go na ziemię, następnie Bajbus kazał Ernestowi zaciągnąć linkę na jego szyi, co ten wykonał. W tym czasie Kot przyniósł worki z wapnem i cementem. Bajbus zerwał Dzikowi ubranie, bo powiedział, że Dzik się zesrał. Ubranie zostało włożone do worka foliowego, zabrane do samochodu, a następnie spalone.

Ernest chciał wrzucić Dzika do dołu, jednak Bajbus zaczął na niego krzyczeć, żeby tego nie robił, ponieważ nie miał rękawiczek. Jako jedyny on miał rękawiczki. Bajbus podszedł do Dzika i z dużą siłą nadepnął mu nogą na krtań, aż Dzik dostał drgawek i zaczął charczeć. Bajbus miał trzymać nogę na jego krtani przez około 30 sekund, po czym wturlał go do dołu. Następnie Kot rozsypał na Dzika wapno oraz cement, a Bajbus rozlał wodę z baniaka, mówiąc jednocześnie, że tak trzeba, bo nie raz już to robił.

Po zasypaniu dołu wszyscy razem wrócili do samochodów i tam Bajbus zaczął na nich krzyczeć, ponieważ miał pretensje, że nikt inny nie miał przy sobie rękawiczek: Jesteście miękkie dupy, zachowaliście się jak baby! Miał również powiedzieć: Co to za organizacja, że sam musiałem wszystko robić!

Oskarżony Robert P., ps. Bobek, tłumaczył, że był za krótko w grupie, aby się sprzeciwić Bajbusowi, i nie miał siły przebicia. Darzył go dużym szacunkiem i byli współnikami. Do końca miał nadzieję, że Bajbus każe Dzika tylko połamać”.

Za udział w gangu i zabójstwo Łukasza W. Bobek dostał 15 lat. W uzasadnieniu wyroku sąd podkreślił, że wszystko, co mówił, było „nacechowane dużą dozą niechęci do Bajbusa” i było to widoczne zwłaszcza w wyjaśnieniach dotyczących motywów zabójstwa Dzika.

"Dony krzyknął: <<Mamy trupa!>>"

To nie było jedyne zabójstwo przypisane grupie Bajbusa. Do

drugiego doszło w sierpniu 2005 roku w Puławach, podczas napadu. Pojechali tam w dziesięciu.

„Pomysł na napad na dom Kazimierza B. w Puławach podsunął Bajbusowi Andrzej W., ps. Dony, który właśnie dołączył do grupy. Wskazał on na Kazimierza B. jako na handlarza walutą, który trzyma w domu dużo pieniędzy. Sprawcy spodziewali się uzyskać nawet 300 tys. zł. Bajbus zgodził się na ten napad i zorganizował grupę. Do Puław pojechali czterema samochodami. W lesie niedaleko domu Kazimierza B. czekali na zapadnięcie zmroku, a następnie odbyli ostateczną naradę, podczas której Bajbus wskazał, że do domu wejdą: Antek, Dzik, Dony, Kot i Maniek, a pozostali poczekają na nich w lesie. Wyżej wymieniona piątka miała na twarzach kominiarki, a na dłoniach rękawiczki. Dony miał przy sobie pistolet, Antek zaś na sobie kamizelkę kuloodporną.

Podeszli pod dom. Przez otwarte okno weszli do środka. Jako pierwszy wszedł Antek. Wskoczył na okno, poślizgnął się i zeskoczył do środka, prosto na śpiącego mężczyznę. Po kilku sekundach dołączyli do niego Dzik, Dony i Kot. Słyszeć było stłumione krzyki Kazimierza B. Mężczyzna leżał na brzuchu, z głową i częścią tułowia na kanapie, a dolną częścią ciała na podłodze. Na nim siedział Antek, wykręcając mu prawą rękę do tyłu, a Dzik przytrzymywał lewą rękę mężczyzny, jednocześnie przytrzymując swoimi nogami jego nogi. Następnie Dzik przyłożył mu do ust jakiś czarny materiał, po czym zakleił mu usta, przeciągając taśmę kilka razy naokoło głowy. Antek przyciskał twarz do koldry, co tłumilo krzyki mężczyzny. Kiedy Kazimierz B. był już skrupowany, Dzik jednym ruchem ściągnął go z tapczanu na podłogę.

Potem Kot pozostał przy skrupowanym, a pozostali rozbiegli się po domu w poszukiwaniu gotówki. Drzwi do jednego z pomieszczeń były zamknięte. Antek je wyważył i zobaczył leżącą na łóżku 93-letnią matkę Kazimierza. Jej również skrupowali taśmą ręce i nogi.

Przeszukując dom, Dzik znalazł kamizelkę, a w niej pieniądze. Wtedy Kot zauważył, że Kazimierz B., którego Dzik ściągnął z łóżka na podłogę, nie rusza się. Dony rozciął mu taśmę na ustach, Antek zaś zaczął sprawdzać jego puls i stwierdził, że on chyba nie żyje. Przekręcili mężczyznę na plecy, Dony przystawił mu do ust szklanekę, żeby sprawdzić, czy Kazimierz B. oddycha. Zaczęli robić mu masaż serca, lecz po chwili stwierdzili, że to nie ma sensu. Dony powiedział, żeby się zbierali, i wszyscy opuścili dom przez okno.

Gdy dobiegli do kompanów przy samochodach, Dony krzyknął: «Mamy trupa» i wszyscy stamtąd odjechali. Przed Warszawą zatrzymali się w lesie, gdzie spalili kamizelkę zabraną z domu Kazimierza B., kominiarki i rękawiczki, a Bajbus podzielił pieniądze. Było tam 17 tys. zł, które podzielił po równo, oraz drobne monety euro i dolary, które zabrał Antek.

Kazimierz B. na skutek napadu zmarł, a bezpośrednią przyczyną jego śmierci było złamanie lewego rożka kości gnykowej”.

(z akt sprawy przeciwko grupie Bajbusa)

**"Idiotą musiałbym być,
żeby tak chodzić i ludzi zabijać"**

Ciąg dalszy nieautoryzowanej rozmowy z Bajbusem:

– Sporo mówił o panu ten Bobek. I inni.

– Zaczniemy od tego, że ten konfident Bobek wystawił mnie psom. Skąd to wiem? Tamtego dnia, gdy mnie zatrzymywano, miałem wyłączony telefon. Bobek powiedział, żebym go włączył. Miał dzwonić mój brat, ale nie zadzwonił. Za to trzy razy z rzędu wyświetlił się prywatny numer, a następnie zadzwonił Bobek i zaraz potem wpadły psy. Nie zrobiliby takiego szturmu, gdyby nie mieli pewności, że jestem w domu. On im w tym pomógł. W śledztwie nie tylko Bobek mnie pomawiał. Inni też gadali, że brałem udział w jednym zabójstwie, drugim i trzecim... Przecież ja idiotą musiałbym być, żeby tak chodzić i ludzi zabijać. Ja tam pieniądze poszedłem zarabiać, a nie porządki robić z patologią. Nagadali na przykład, że Hindusa porwałem dla okupu i palce mu poobcinałem, i że on od tego umarł. Gdybym rzeczywiście go porwał, to wziąłbym okup i Hindusa wypuścił, a wcześniej przeprosił za niewygodę i podziękował za cierpliwość.

– Dlatego zaczął pan składać wyjaśnienia?

– Zanim zacząłem zeznawać, z prokuratury wypuszczono plotkę,

że mówię na kolegów, co było ewidentną nieprawdą. Działo się dokładnie odwrotnie: oni na mnie zeznawali, nie tylko Bobek, ale szczególnie Antoni Ch., ps. Antek.

– **Ten Antek to, zdaje się, jakiś znany sportowiec.**

– Zawodnik MMA, za tamto zabójstwo dostał pięć lat. W śledztwie i na sprawie mnie obciążał, zmyślał. W nagrodę wypuszczono go z aresztu. Ania, moja żona, spotkała go w pobliżu więzienia, jak na widzenie do mnie szła, i coś mu ostro nagadała. Prokurator ostrzegwał mnie potem: „Jak pańska żona się nie uspokoje, to nią też się zajmiemy”.

– **Co takiego mówił o panu?**

– Jakieś zabójstwo sobie wymyślił, za które ktoś inny siedział, a mi to przypisywał. Chodziło o sprawy mokotowskie, niektórzy sprawcy byli już za nie skazani. Albo nagadał prokuratorowi, że mu pistolet przystawiłem do głowy, zmuszając do zabójstwa Łukasza, to znaczy Dzika.

– **Przeciwko panu zeznawał także pański brat, Dariusz.**

– To nie mój brat. On tylko tak samo się nazywa.

– **No przecież to brat...**

– Co to za brat, który gada na brata? No, jaki z niego brat? Ja nie mam brata.

– **Wszyscy nagle się zmówili, żeby pana obciążyć?**

– Tacy jak Bobek i Antek siedzieli w tamtym czasie w celach przed telewizorem, oglądali reportaże, słuchali wiadomości i kombinowali, co by tu jeszcze prokuratorowi nagadać. Ustalali sobie linię obrony, uzgadniali między sobą szczegóły, że niby ja im o tym mówiłem, że się przechwalałem.

– Taktyka stara jak świat. W kryminale wielu tak kombinuje.

– I taki prokurator czy policjant powinni to wiedzieć, a nie łykać wszystko, co im mówią. „Czy uważasz mnie pan za idiotę? – spytałem prokuratora prowadzącego śledztwo. – Bo przecież tylko idiota mógłby opowiadać o napadach czy zabójstwach takim debilom jak Antek czy Bobek”. „To z debilami pan pracował? – nie mógł nadziwić się prokurator Szulepa. – Przecież z Bobkiem konsultował pan plany zabójstwa Łukasza”. Więc wyjaśniłem panu prokuratorowi, że chłopaki chcieli zarobić ze mną parę złotych, to zarobili, i na tym się skończyło. Była ekipa, była robota, ale już po sprawie. Żadnych zwierzeń nie było.

– Przekonał pan prokuratora?

– Nie od razu. „No tak – on na to – ale jak pan sobie wypił, to się im chwalił”.

To co mogłem odpowiedzieć panu prokuratorowi? Tylko jedno: „Panie, najgorsze dla pana jest to, że ja w ogóle nie piję. To ja już nie mam pojęcia, kto panu tych bajek naopowiadał! Przecież wszyscy, którzy mnie znają, wiedzą, że alkoholu nie tykam, bo mi nie służy”. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że to wszystko było prowokacją. Człowiek tak siedział w celi i myślał: „Przecież nie będę, kurwa, tego znosił, bo nie chodzi o to, żeby za kogoś kawał

życia spędzić w więzieniu”. Chodzi o to, by odsiedzieć za swoje, a nie za innych. No, ale oni się na mnie uparli.

– Kto się uparł na pana? I dlaczego?

– Policjanci i prokuratorzy się uparli. Bo nagle okazało się, że dorwali kogoś dużego, o kim wcześniej mało wiedzieli. Ja się nie rzucałem w oczy, po robocie grzecznie chodziłem do domu albo do kochanki. Miałem kochankę, bo tak trzeba. Ojciec mi kiedyś powiedział: „Synu, jak chcesz utrzymać małżeństwo, to kochankę musisz mieć”. No więc miałem i dbałem o nią. Nie szwendałem się po burdelach, nie urządzałem burd na osiedlu. Nie ćpałem na potęgę i głupot nie robiłem, więc mnie z ulicy do radiowożu nie mogli zgarnąć. No to jak się dowiedzieli, że kasę mam zarobioną i odłożoną, to się na mnie rzucili. Zaczęli nakręcać ludzi, żeby na mnie gadali. Bobek nagadał i Antek jeszcze gorzej nagadał. Tego już wytrzymać się nie dało.

– Pan wyszedł po sześciu latach. To niewiele za zabójstwo Dzika i śmierć tamtego napadniętego człowieka.

– Mogłem dostać 25 lat, ale nie dostałem.

– Dlaczego?

– Bo mi żonę zabili.

Prasa o wyroku dla Bajbusa:

„Skruszony gangster Krzysztof M., ps. Bajbus, któremu byli kompani za przerwanie zmowy milczenia zabili żonę, za udział

w zabójstwie, kierowanie gangiem i napady został skazany jedynie na sześć lat więzienia.

– Przepęstwa, jakich dopuścił się Bajbus, były bardzo poważne i wyrok, który wydał warszawski sąd, może wydawać się nadmiernie łagodny. Jednak Krzysztof M. wykazał autentyczną skruchę, a dzięki jego zeznaniom jest szansa na wyjaśnienie poważnych zbrodni popełnionych przez gang mokotowski, do którego należał – mówi jeden ze śledczych.

Dlatego właśnie wobec Krzysztofa M. sąd zastosował nadzwyczajne złagodzenie kary. (...) Gangster ma status tzw. małego świadka koronnego, dlatego w zamian za zeznania mógł liczyć na ochronę i mniejszy wyrok. Krzysztof M. od ponad roku współpracuje z organami ścigania. Dzięki zeznaniom Bajbusa udało się postawić zarzuty czołowym postaciom mafii mokotowskiej. Dlatego Krzysztof M. znalazł się na osławionej liście śmierci, na której są gangsterzy, prokuratorzy i policjanci rozpracowujący mafię mokotowską.

Prokuratura jest zadowolona z wyroku w sprawie Bajbusa i nie będzie apelować”.

(Rafał Pasztelański, Sąd nagrodził skruszonego gangstera,
TVP Info, 06.01.2009)

Jak Antek odmienił swoje życie

Antoni Ch., ps. Antek, to podziwiany dziś polski judoka, zawodnik mieszanych sztuk walki, wieloletni zawodnik Konfrontacji Sztuk Walki i wielokrotny mistrz Polski (juniorów, młodzieży, seniorów). Szkoli nowe kadry, pracuje z młodzieżą, pokazując, że sport jest

ciekawszym pomysłem na życie niż działalność w zorganizowanej grupie przestępczej. To rzadki przypadek, gdy były gangster „odpracowuje” zło, które wyrządzał.

– Proszę bez nazwiska – zastrzega już na wstępie – chociaż pewnie i tak wszyscy będą wiedzieli, o kogo chodzi.

– W jakich okolicznościach poznał pan Bajbusa?

– Pojawiał się na osiedlu u znajomych i przez nich go poznałem. Byłem młody, szukałem wzorca, imponowało mi miastowe życie. Bajbus był wesoły, biła od niego pewność siebie.

– Co pana zachęciło do pracy u niego?

– Prestiż bycia kolegą takiej osoby. To były inne czasy, imponowała władza i nietykalność. Pieniądze oczywiście też, niemałe wówczas. Dla dwudziestoparolatka to naprawdę było coś.

– Jak Bajbus traktował swoich ludzi?

– Był dobrym szefem. Traktował ich tak, jak na to zasługiwali. Jeśli było się okej, to on też był okej, ale jak ktoś mu podpadł – był stanowczy i bezwzględny.

– Bezwzględny, czyli lał po pysku?

– Nie lał, ale potrafił wzbudzić respekt, strach.

– A on sam przed kim czuł respekt? W ogóle bał się kogoś?

– On bał się tylko tych z góry „Mokotowa”. Byli bardzo bezwzględni, o czym świadczy przecież zabójstwo jego żony.

– Jak pan reagował na doniesienia o grupie mokotowskiej? Miał pan świadomość, że jesteście jej częścią?

– Tak, miałem taką świadomość i wtedy mi to bardzo imponowało, że jestem trochę z tym powiązany.

– Jak zachowywali się policjanci, którzy z wami pracowali?

– Policjanci byli traktowani jak swoi. Jak wchodziłem na napad, a obok mnie był kolega, który normalnie [zawodowo] był policjantem, to gdy wchodził ze mną, to był bandziorem takim jak ja. Po napadzie mógł być sobie muzykiem, ministrantem – nie interesowało mnie to. Tam nie ma, że policjant jest stróżem prawa, naprawdę to są mity. Teraz każdy z każdym robi interesy. Nawet ci, którzy zeznawali w sprawie naszej grupy, nadal robią w biznesie i to są właśnie ich zasady!

– Kiedy dotarło do pana, że czas wycofać się z tej historii?

– To dotarło do mnie pod koniec 2004 roku, kiedy sprawy posunęły się za daleko. Podczas jednego z napadów poszkodowany nie przeżył. Potem wymyślili, że pozbędą się Dzika, a podczas kolejnego napadu jeden ze współników tak przesłuchiwał młotkiem pracownika hurtowni, że młotek mu się rozleciał. I wtedy to już pękło coś we mnie, pomyślałem: „Co ja, kurwa, robię?”. Ale już było za późno. Dwa miesiące potem były zatrzymania.

– Co pan zrobił, żeby z tym definitywnie skończyć?

– Klamka zapadła, gdy współnicy zaczęli zeznawać jeden po drugim. Sam zorientowałem się, że Bajbus zaczyna zeznawać. Wtedy zrozumiałem, że prawa obowiązujące w grupie – żeby nie zeznawać i nie rozpruwać się [nie ujawniać szczegółów, nie obciążać kolegów – przyp. aut.] – w tym wypadku nie mają racji bytu. Po rozmowie z adwokatem podjąłem decyzję, że wybijam się z tego środowiska raz na zawsze.

– **Ktoś panu groził zemstą?**

– Nie, bo ja zeznawałem tylko na grupę, w której pracowałem, a tu prawie wszyscy zeznali. Nie zeznawałem na inne grupy i szefostwo „Mokotowa”, bo z nimi nic nie robiłem, więc nie miałem co zeznać. Powiedziałem jedynie, że wiem, kto to i czym się zajmowali, a to były zeznania ze słyszenia, czyli bez żadnej mocy procesowej.

– **Jak pan się dowiedział, że Annę zastrzelono?**

– Od policji, byłem już wtedy na wolności. Zabrali mnie na przesłuchanie, pytali, czy coś mi w tej sprawie wiadomo, i tak dalej... Widziałem ją tylko przelotem, kiedyś u Bajbusa. „Dzień dobry – dzień dobry”. Pamiętam jak dziś, że byłem w ciężkim szoku. Zresztą to był szok dla wszystkich, tak mi się wydaje.

– **Co pan wtedy myślał, bał się pan o swoich bliskich?**

– Obawy pojawiły się od razu, ale powiedziano mi, abym się nie zamartwiał za bardzo, bo Bajbus poszedł po wszystkich z samej góry i to się stało w odwecie za złożone przez niego wyjaśnienia.

– **Miał pan kontakt z Bajbusem już po wyroku?**

– Tak, dałem mu trochę ubrań. Ale to wszystko.

– **Miał żal?**

– Nie, dlaczego?

– **Za to, że obciążał go pan w śledztwie.**

– Przecież on pierwszy złożył zeznania! Pisze pani książkę i tego nie wie? Nie podoba mi się już ta rozmowa. To on rozpoznawał mnie, a nie ja jego [rozpoznanie – rutynowe czynności śledcze – przyp. aut.], więc za co ma mieć pretensje? Mnie zawinęli dwa tygodnie po nim lub tydzień. Tylko on dostał z nas wszystkich kategorię „N” [niebezpieczny – przyp. aut.]. Słyszałem łańcuchy, gdy szli na moje okazanie, i spytałem potem na areszcie, kto miał u nas enkę. Powiedzieli, że Bajbus, zatem wszystko było jasne: to on stał wtedy za lustrem weneckim. Ja się z tego cieszę, że wykonał pierwszy ruch. Mogłem wreszcie dać sobie z tym wszystkim spokój, na luzie podjąć decyzję, że zamykam tamten rozdział w życiu. Jestem mu nawet wdzięczny. I oczywiście współczuję mu równie mocno. Bogu ducha winna osoba oberwała za błędy życiowe innego człowieka. To bardzo niesprawiedliwe.

– **Wstydzi się pan tamtego epizodu w życiu?**

– To było i się nie odstanie, ja wyciągnąłem wnioski i potraktowałem jako naukę. Przez pryzmat mojej osoby staram się wpływać na młodych, by nie szli moją drogą. To zawsze źle się kończy.

– Jest pan bezpieczny?

– Tego nie wiem. Staram się żyć zgodnie z prawem, pracuję, normalnie uprawiam zawodowy sport i namawiam ludzi na sport. Tamto było 10 lat temu. Zniechęcam przez swoje historie innych, tzw. nowy narybek miastowy. W świecie przestępczym nie ma tak naprawdę żadnych zasad. Każdy każdego próbuje wypierdolić na kasę, a najlepiej innego miastowego lub byłego współnika, bo przecież on nie pójdzie na psy. Albo dobierają się do dziewczyn chłopaków już osadzonych, pocieszyciele... To są ludzie bez żadnych zasad moralnych, a chwalą się tym, jacy to oni są super. A przecież żyją z krzywdy innych ludzi i robią złe rzeczy. Za to są wielbieni, bo to niby ludzie z zasadami. Co za bzdura!

O Pitbullu, nowych porządkach i liście śmierci

„Niedługo na Mokotowie będą porządki. Będzie zabójstwo i ja w tym zabójstwie będę brał udział. Mówię ci to tylko dlatego, że mi tego nie udowodnisz”.

(z filmu Patryka Vegi Pitbull. Nowe porządki,
filmowy szef grupy mokotowskiej, ps. Babcia,
w rozmowie z policjantem)

– **Ile w tym filmie prawdy, a ile wyobraźni scenarzysty?** –
pytam byłego funkcjonariusza Jana Fabiańczyka, ps. Majami,
uchodzącego za pierwowzór filmowego policjanta Majamiego.

– Wszystko to prawda. Właśnie taka była grupa mokotowska.
Filmowych gangusów nie przypisano jednemu konkretnemu
przestępcy, postaci są wymieszane, na przykład na głównego
bohatera zagrane przez Bogusława Lindę „złożyły się” trzy osoby
ze ścisłego kierownictwa grupy mokotowskiej.

Jak Studenta spalono,
a Bartka w siatce zatopiono

– **Oglądał pan film o grupie mokotowskiej?** – podpytuję mojego przewodnika po „Mokotowie”, niegdyś budzącego strach człowieka z półświatka.

– Oglądałem.

– **Co tam jest prawdziwego?**

– Zabójstwa są prawdziwe.

– **Zwłoki bez palców?**

– Nie tylko, bez palców to ofiary uprowadzeń dla okupu, a tam było przecież wiele zabójstw, głównie w ramach grupy, porachunkowe. Nie wszystkie wyszły na jaw. Może z 80 procent wyszło. Taki Mariusz Student na przykład. Zginął, to też było na filmie pokazane.

– **Student, bo studiował?**

– Nie, zajmował się narkotykami i haraczami, miał po prostu taki pseudonim. Mariusz był z grupy ożarowskiej, w której po śmierci Klajniaka nastąpił podział. Część ludzi przeszła do Andrzeja H. Korka, czyli do grupy mokotowskiej. Pozostali działali na własną rękę. Wśród nich był Student, który związał się z „mutantami”, ze słynnym Szurygą z Nadarzyna. Ze starą ekipą nadal wiązały go interesy. Nie mogli się jednak dogadać, więc ktoś musiał zginąć, aby przejąć interes. Przecież cała grupa z tego żyła, trzeba było wprowadzić nowe porządki. To był rok 2003, może 2004, dokładnie nie pamiętam.

– **Ludzie Szurygi zasłynęli z tego, że strzelali do**

policjantów. W marcu 2002 roku w podwarszawskich Parolach zabili naczelnika sekcji kryminalnej z Piaseczna, Jarosława Żaka.

– Oni wtedy mocno ćpali. Znałem prawie wszystkich, widziałem, co wyprawiali. Spotkaliśmy się kiedyś w knajpie hotelowej i zaprosili mnie do siebie. Już po chwili na stole pojawiła się kupa białego proszku, pewnie amfa lub kokaina. Jakieś pół kilo tego było i oni to wszystko wciągnęli. Pikus, ten, który zginął później w strzelaninie z policją w Magdalence, był tak naćpany, że leżał na łóżku jak trup. Zwinąłem się stamtąd, bo psy mogły się zniecka pojawić i nie chciałem przez przypadek oberwać w łeb. Radziłem im, żeby zrobili to samo. Wtedy gdy w Parolach zginął policjant z Piaseczna, Szuryga pojechał z ekipą zajebać tira z telewizorami. Psy już tam były, przez przypadek się tam pojawili. Tamci pomyśleli, że to jakaś konkurencja. Zaczęli strzelać i wydzwaniać po pomoc. Prawdę mówiąc, za tamtego zastrzelonego policjanta ja też załapałem się na wpierdol. Jechałem wówczas do Żyrardowa. Psy mnie zatrzymali i rękę połamali... No, ale o Mariuszu Studencie rozmawialiśmy, że z grupą Szurygi się związał.

– Jak zginął Student?

– Został spalony. Bliski kolega go wystawił, tak zwany Gąsior. Pojechali razem na Zegrze do kogoś na spotkanie i jeden przeżył, a drugi nie przeżył. O zlikwidowaniu Mariusza zadecydowała ta połowa grupy ożarowskiej, która przeszła do „Mokotowa”. Wkrótce Gąsior poszedł siedzieć, ale na krótko, chyba tylko rok spędził w więzieniu. Wypuścili go, bo nie było dowodów. Po Studencie wiele osób poginęło.

– **Proszę opowiedzieć o tych, których pan znał.**

– Najgorsze jest to, że wszystkich znałem. No (*nerwowy śmiech*). Poginęli przez brak lojalności i przez własną głupotę, bo ufali jeden drugiemu. A tu nie wolno ufać, taka robota. Jak ktoś tego nie pojmuje – ginie na rogatkach.

– **To wielu nie pojmowało, skoro poginęli.**

– Masa złych rzeczy dzieje się przez narkotyki. Chłopaki razem ćpają, myśląc sobie, że są kolegami, ale nie są, bo za plecami robią co innego. Poza tym przekupni są. Weźmy takiego Gąsiora – przecież on ze Studentem blisko był, razem zarabiali, a to on dostarczył go w miejsce, gdzie Mariusz miał być spalony. Lubiłem tego Studenta, znałem go bardzo dobrze, na jednej dzielnicy mieszkaliśmy. Zarobiliśmy razem parę złotych. On miał zaufanie do mnie – ja do niego. Oczywiście zaufanie ograniczone, ale zdecydowanie większe niż do jakiegoś pierwszego lepszego. Ostrzegałem go osobiście, mówiłem, że ma być zlikwidowany, żeby uważał. Radziłem, żeby się gdzieś schował, wyjechał na jakiś czas, aż się to wszystko uspokoi. Ja mu mówiłem – on nie chciał słuchać. Gdyby wziął sobie moje słowa do serca, może by jeszcze żył.

– **Skąd pan wiedział, że Student ma być zlikwidowany?**

– Takie rzeczy się wie. Gdyby to jedna osoba mówiła, to może by nie było w tym prawdy, ale wiele osób mówiło. W świecie przestępczym nic się nie ukryje. Powiesz jednemu, to jakby dziesięciu wiedziało. Powiesz dziesięciu – jakby stu wiedziało.

– **W filmie Patryka Vegi jednego z przestępców owinięto**

metalową siatką i utopiono. W realu też tak było?

– Bartka przecież wyłowiono z Wisły, w metalowej siatce, owiniętego. On nie był tak do końca mokotowski. Urodził się w wykształconej, porządnej rodzinie. Ale nie chciał żyć jak ojciec i matka. Mokotowskim stał się przy Korcu, był jego – jak by to nazwać – negocjatorem.

– Co lub z kim negocjował?

– On po prostu znał się z pruszkowskimi, ludźmi od Rafała S. Szkatuły i Bandziorka. Jak trzeba było coś z nimi załatwić, to właśnie Bartek załatwiał. Tak naprawdę to nie był przestępca. Może i chciał zostać przestępcą, ale nie zdążył, bo wylądował w Wiśle [jego zwłoki wypłynęły 31 marca 2004 roku – przyp. aut.].

– Czym zasłużył sobie na taką śmierć?

– Bartek poszedł siedzieć na dwa lata i jak wyszedł, to myślał, że będzie rządzić na Mokotowie. Publicznie wykrzykiwał, że zajebie Korca. W głowie mu się w tym więzieniu przewracało po prostu! No to go zawinęli w siatkę i poszedł na dno. Jego żonę też spotkał przykry koniec.

– W *Magazynie Kryminalnym 997* usłyszałam, że kiedy Bartek był w więzieniu, jego żona wdała się w romans z przyszłym zabójcą męża.

– Żona Bartka puściła się z Oskarem, on zresztą większość żon obrabiał, kiedy mężowie trafiali za kraty. Ale za tamto zabójstwo – z tego, co wiem – nikomu nie postawiono zarzutów.

– **Co się stało z żoną Bartka?**

– Nie żyje.

Egzekucja w siłowni Paker

– **Wróćmy do *Pitbulla*. W filmie jeden z gangsterów ginie w siłowni. To prawda czy fikcja na potrzeby scenariusza?**

– Włodek Ch., pseudonim Buła, zginął na siłowni. Na Grochowie to było. Zanim do tego doszło, media pisały w gazetach o jego spotkaniu w Promenadzie, że dogadywał się z Korkiem. Dziennikarze robili wielkie show, a to był zwykły gość, który wyszedł z więzienia i chciał zarobić parę złotych. Jeździł sobie po Warszawie, dogadywał się z tym i z tamtym. Normalna rzecz. Zginął, bo poszła plotka, a konkretnie policja puściła plotkę, która dotarła do Andrzeja, że Buła planuje jego zlikwidowanie.

– **Jak pan myśli, dlaczego z policji wychodzą takie informacje jak ta, że Buła chciał zabić Korka?**

– Policji jest potrzebny w świecie przestępczym jeden człowiek, a nie kilku, bo jednego łatwiej opanować niż dziesięciu. Jeżeli policja ma z kogoś pożytek, a z Andrzeja miała, ponieważ on z nimi rozmawiał i mówił pewne rzeczy, to policja o niego dba. A jak z klienta nie ma pożytku, to takiego chcą się pozbyć. Po co z kimś takim się użerać? Zatem wezwali Andrzeja do pałacu Mostowskich [Komenda Stołeczna Policji – przyp. aut.] i tak mu powiedzieli, że Buła planuje go odpalić. On w to uwierzył, bo powiedzieli mu to

koledzy policjanci. I co? Za parę dni wielka – jak to się mówi – akcja była na siłowni. Wpadli, zaczęli strzelać... Włodek zginął, a razem z nim niejaki Konik. Nie znałem go. Obaj byli z grupy żoliborskiej.

– Dlaczego funkcjonariusze mieliby chronić Korka?

– Policja bardzo szanowała Andrzeja, o wszystkim go informowała. Wszyscy w policji wiedzieli, że na Mokotowie jest taki człowiek jak Korek, i nie chcieli go dotykać, bo po co? Sam go przecież woziłem na spotkania z funkcjonariuszami. Zrozumiałem, że nic mu nie zrobią, a wręcz przeciwnie – będą go chronić, ponieważ jest im potrzebny.

– Do czego był im potrzebny?

– Przekazywał informacje o konkurencji, bo przecież na swoich nie donosił. Uważam, że takie rozmowy nigdy nie szły na papier [nie było notatek służbowych – przyp. aut.]. Wszystko odbywało się mniej więcej tak jak tamta rozmowa, że Buła chce odpalić Andrzeja. Informacje szły w dwie strony, chociaż generalna zasada powinna być taka, że policji się nie wierzy. No, ale on wierzył. Informowali go, co się dzieje na jego terenie, ostrzegali przed zagrożeniem. Na przykład, że Szuryga też na niego poluje. Szuryga był cwańszy od innych, desperat. Policja go szukała, ale bała się podejść do niego i jego ludzi. „Mutanci” zawsze mieli przy sobie broń, wszędzie jeździli z bronią, spali z bronią. Nie dyskutowali, tylko od razu strzelali. Wszyscy się ich bali, grupa mokotowska też. Każdy miał świadomość, że w starciu nie będzie dobrych scenariuszy. Albo tamci zginą, albo oni sami zginą. W Panoramic, galerii handlowej na Czerniakowskiej, „mutanci” zaplanowali

dopaść Andrzeja.

– Zamach na szefa grupy mokotowskiej?

– Wiedzieli, że Korek jeździ kuloodporną beemką, od wojskowego ją kupił, i że tą beemką może im uciec. Chcieli go zatem dopaść w markecie. Zaczaili się przy tej Czerniakowskiej, lecz strzały ostatecznie nie padły. Korek niby też chciał dopaść „mutantów”, jednak tak ich szukał, żeby nie znaleźć. Nie chciał narażać swoich ludzi na śmierć. To była ta sama grupa, która strzelała się z policjantami w Magdalence. Desperaci, szli po trupach, niczym się nie przejmowali. Pochodzili z okolic Piaseczna, Nadarzyna, Marek. Generalnie wywodzą się od gangu Kikira [marecka grupa], zebrani do kupy, strzelali się i wystrzelali się. To była najmocniejsza grupa. Taki Buła, w porównaniu z „mutantami”, nie był problemem. Wyszedł z więzienia, pokręcił się na wolności może jakiś rok, nie zdążył jeszcze skrzydeł rozwinąć i już zginął.

– Po kilkunastu latach od strzelaniny w siłowni Paker prokuratura w Płocku już wie, kto wtedy strzelał i kto wysłał killerów.

– Czas najwyższy. Podobno mają do tej sprawy świadka koronnego. Wszystko jest ściśle tajne. Niech go tylko dobrze pilnują...

– Po co było wtedy zabijać tego Konika?

– Jak byli tam we dwóch, to do dwóch się strzelało. Buła i Konik byli przecież kolegami, a kolega za śmierć kolegi mógł się mścić... Normalna rzecz, no.

Prasa o strzelaninie w siłowni - dawno temu:

„Na oczach świadków trzech mafijni egzekutorzy urządzili krwawą jatkę w gościańskiej siłowni. Zginęli Maciej S. Konik i Włodzimierz Ch. Buła. Od roku ich nazwiska znajdowały się na gangsterskiej liście śmierci.

– Siedziałem przy sztandze, gdy wbiegli ci dwaj. Ubrani chyba na ciemno, z pistoletami w rękach. Zaczęli strzelać do kołesiów siedzących w rogu. Nie interesowali się nikim innym, tylko nimi. Postraszyli nas jeszcze bronią i wybiegli. Nikt się nawet nie ruszył – tak o strzelaninie w siłowni Paker opowiadał policjantom jeden ze świadków.

Ciałami podziurawionych kulami mężczyzn targały pośmiertne drgawki. Chwilę później dwa samochody odjechały sprzed lokalu z piskiem opon. Jeszcze kilka godzin po zabójstwie na asfalcie widniały ślady spalonej gumy.

Siłownia Paker przy ul. Brygady Pościgowej, gdzie doszło do egzekucji, od miesiąca cieszyła się dużym zainteresowaniem tzw. chłopców z miasta. Wczoraj przed godziną 10 na ćwiczenia przyjechali dwaj gangsterzy z grupy żoliborskiej: 30-letni Maciej S. Konik i 35-letni Włodzimierz Ch. Buła. Kilka dni temu wykupili miesięczny karnet na siłownię. Przed godz. 10.30 przed siłownię podjechały dwa auta. Wiadomo, że jednym z aut była srebrna nubira. Z samochodów wyskoczyli trzech rośli mężczyźni w kominiarkach. Wbiegli do lokalu. Jeden przystawił recepcjoniście pistolet do głowy. – Kładź się na ziemię, to nic ci się nie stanie – powiedział. Jego kompani wbiegli do salki z ćwiczącymi i wycelowali broń do Buły i Konika. Wykonali wyrok, po czym uciekli.

Kilka minut po strzelaninie zapadła decyzja o poderwaniu z ziemi śmigłowców. Dwa policyjne transportowce krążyły nad Gocławiem. W jednym grupa antyterrorystów wypatrywała morderców. Komandosi tylko czekali na sygnał od rozstawionych w okolicy posterunków. Na całej Pradze i drogach wylotowych z miasta stanęły blokady. Policjanci z kałasznikowami kontrolowali każde auto z podejrzanymi typami. Niestety, do wieczora nie udało się trafić na ślad zamachowców. Kilka godzin trwało zabezpieczanie śladów w siłowni. Technicy metr po metrze przeczesywali lokal, szukając najmniejszych nawet nitek czy włosów. Z pewnej odległości przyglądali im się młodzi mężczyźni w sportowych ubraniach. Usiłowali podsłuchiwać, o czym mówią policjanci, i nerwowo rozmawiali przez telefony komórkowe. Mieszkańcy okolicznych bloków byli przerażeni. – Można się tego było spodziewać, bo zawsze przed siłownią stały luksusowe samochody – audi, bmw i volvo. Gangsterzy zawsze oznaczają kłopoty – mówi mężczyzna, który kilka minut przed strzelaniną przyjechał do pobliskiego sklepu. Zatrudnione tam sprzedawczynie utrzymują, że nic nie widziały i nic nie słyszały. Były śmiertelnie przerażone. Wśród gapiów krążyła plotka, że właścicielka lokalu ma pecha, bo na Mokotowie zastrzelono jej sąsiada.

Dopiero po kilku godzinach udało się ustalić, kim były ofiary. – Od kilku miesięcy działali w gangu żoliborskim. Przeszli do niego po konflikcie z grupą mokotowską. Obydwaj mieli bogate życiorysy. O starszym mówiło się, że wynajmował się jako cyngiel dla «Pruszkowa». Odsiedział nawet dłuższy wyrok za udział w jakimś zabójstwie – opowiada jeden z policjantów. Zastrzeleni gangsterzy próbowali swoich sił w handlu bronią.

Jednak ich głównym źródłem zarobków były narkotyki, kradzieże samochodów i haracze. Świadczone, do których dotarliśmy, twierdzą, że Buła i Konik przyjeżdżali zawsze na siłownię z jeszcze jednym mężczyzną – prawdopodobnie Adamem K. Kamykiem. Cała trójka od blisko dwóch lat żyła z wyrokami śmierci wydanymi przez Andrzeja H. Korca, szefa gangu mokotowskiego. – Przez kilka miesięcy panował spokój, bo bossowie «Mokotowa», «Wołomina» i warszawskich gangów chcieli spokoju. W Pakerze zaczął się nowy sezon polowań. Będziemy znów mieli co sprzątać z ulic – mówią z przekąsem policjanci”.

(Egzekucja w siłowni Paker, "Życie Warszawy", 18.10.2003)

Prasa o strzelaninie w siłowni - całkiem niedawno:

„Prokurator przedstawił zarzuty współdziałania w tym zabójstwie pięciu osobom. Niestety, na tym etapie śledztwa nie możemy ujawniać nie tylko treści zarzutów, ale także inicjałów podejrzanych – mówi Iwona Śmigielska-Kowalska, rzecznik płockiej Prokuratury Okręgowej.

O tym, jak poważnie traktowana jest poufność w śledztwie dotyczącym «mokotowskich» zbrodni, świadczy fakt, że zarzuty w sprawie ataku w siłowni Paker przedstawiono latem ubiegłego roku! Skąd taka ostrożność? – Mamy do czynienia z bezwzględnymi bandytami, gotowymi na wszystko. W styczniu 2008 r. «Mokotowscy» zabili żonę Bajbusa, który przerwał zмовę milczenia. Teraz w grę wchodzi zarzuty dokonania najpoważniejszych przestępstw. Można się więc spodziewać, że

gangsterzy nie cofną się przed niczym, aby ochronić skórę – mówi oficer policji.

(...) Po egzekucji policjanci zdobyli informację, że Buła poczuł się na tyle pewny siebie, iż «ośmielił się grozić szefom «Mokotowa»: Andrzejowi H., ps. Korek, i Zbigniewowi C., ps. Daks. Krążyła plotka, że zlecieli zabójstwo obu donów dwóm kilerom zza wschodniej granicy. Ci zaś, wzięwszy zaliczkę, opowiedzieli o zleceniu niedoszłym celom”.

(Rafał Pasztelański, Mafia mokotowska w tarapatkach. Skruszeni mówią o egzekucjach, TVP Info, 16.04.2016)

Historia trupami pisana

Policjanci ścigający polską mafię wspominają, że początek nowego millenium w stolicy był „nafaszerowany kulami”.

– Uplęnięło sporo wody, zanim ogarnęliśmy temat i zaczęliśmy kojarzyć, kto do kogo strzela – przyznaje jeden z nich. – Połapać się w tym gąszczu nie było łatwo, choćby dlatego, że jedni do drugich przechodzili i próżno by stworzyć żelazny skład drużyn.

– No przecież mówiłem pani, że mokotowscy podczepiali się pod nas i zawyżali sobie skład osobowy – przypomina Adrian od Szkatuły, chrześniak słynnego Malizny z zarządu „Pruszkowa”. – My jeździliśmy na akcje, a o nich się mówiło. Nie powiem, wielu było mocnych ludzi. Jednemu przestrzeliliśmy kolana, a on nawet nie pisnął z bólu, chociaż cały się trząsał. Taki, kurwa, to był kozak.

– **Ale bywało odwrotnie, że to ekipa Rafała S. Szkatuły podczepiała się do mokotowskich. Bukaciak chociażby.**

– Wiem, do czego pani zmierza... Te dwa trupy w dole, Postka i Maksa. Po latach wyszło, że on tam był.

– **Kto to taki ten Bukaciak?**

– Rafał B., recydywista. Zabójca od „szkatułkowych”.

Prasówka:

„Dół nie był głęboki. Najwyżej na metr. Ci, którzy go wykopali, nie musieli się obawiać ciekawskich spojrzeń. Od drogi łączącej Konstancin-Jeziornę z Górą Kalwarią dzieliło ich kilkaset metrów. Jeszcze dalej było do najbliższych zabudowań wsi Parcela-Obory. Kopali więc spokojnie w cieniu drzew Chojnowskiego Parku Krajobrazowego. Najpierw wrzucili do dołu zwłoki Jacka P., ps. Postek. Po chwili dołączył do niego Tomasz M., ps. Maks.

Gdy 12 lat później policjanci ich odkopali, najpierw zobaczyli kości, potem metalowe kajdanki, którymi skuto nadgarstki ofiar. I resztki samoprzylepnej taśmy”.

(Piotr Machajski, Dilerzy wykopani z ziemi po latach, "Gazeta Wyborcza", "Kryminalna Warszawa", 23.09.2016)

Rafał B., ps. Bukaciak, pochodzi z Konstancina, wiele lat przesiedział za kratami. Po wyjściu na wolność chciał handlować narkotykami, ale bał się „mutantów”, bo ci strzelali bez ostrzeżenia. Poszedł więc po pomoc do Jacka K. – młodego Klepaka, syna zastrzelonego w Gammie Mańka. Młody Klepak nie miał takich wpływów jak ojciec, ale znał Korka i obiecał z nim pogadać w tej sprawie. Krótco potem do Bukaciaka zgłosił się jeden

z mocniejszych ludzi w ekipie Korka. Mowa o Wojciechu S., ps. Wojtas (poznamy go bliżej przy sprawie porwań dla okupu).

Bukaciak i Wojtas nie tracili czasu na gadanie. Od razu przystąpili do nowych porządków. Dla Postka i Maksa – dilerów starego układu – zabrakło miejsca w nowym rozdaniu. Przyjechali po nich ludzie w mundurach. To nie byli policjanci, lecz przebierańcy.

Prasówka:

„Postek i Maks nie wiedzą, że zostali wystawieni. Podchodzi do nich kilku mężczyzn z bronią. Podają się za policjantów. Zakuwają Postka i Maksa w kajdanki i pakują do swoich samochodów. Jadą do lasu nieopodal wsi Parcela-Obory. (...) Oprawianie, jak to się mówi w gangsterskim slangu, porwanych znów trwa godzinami. Obaj konają po długich torturach od ciosów zadanych najprawdopodobniej toporkiem.

Gdy w maju 2014 roku, czyli 12 lat później, policja odkopie szkielety zamordowanych dilerów, na czaszce Maksa znajdzie liczne ślady uderzeń. A czaszka Postka po prostu odpadnie od reszty szkieletu. Szczegółowe badanie wykaże, że brakuje kilku kręgów, kości gnykowej i chrząstek krtani. Tak jakby ktoś przed wrzuceniem go do dołu odrąbał mu głowę”.

(Piotr Machajski, Dilerzy wykopani z ziemi po latach, "Gazeta Wyborcza", "Kryminalna Warszawa", 23.09.2016)

Czy lista Daksa to lista śmierci

Krażyły o niej legendy. Nikt jej nie widział, za to wielu o niej słyszało. Znaleźć się na „liście” zawsze oznaczało problemy, w najlepszym wypadku szantaż, wymuszenie lub porwanie dla okupu. Ale też coś znacznie, znacznie gorszego. Początkowo nazywano ją listą Daksa, z czasem listą śmierci. Do dziś rozmowy na jej temat odbywają się ściszymi głosami.

Na listę trafiali skruszeni członkowie gangu oraz wrogowie „Mokotowa”. Krażyły wieści, że wśród tych drugich byli policjanci i prokuratorzy. W mediach pojawiały się zatrważające informacje, jakoby gangsterzy chcieli porwać, a następnie brutalnie zamordować jednego z oficerów CBŚ. Wcześniej mieli wymusić od niego torturami szczegóły śledztwa, a także nazwiska konfidentów. Pisano, że podobny los miał spotkać kilku prokuratorów zaangażowanych w mokotowskie śledztwa.

Trudno precyzyjnie określić, na ile prawdziwe były te doniesienia i czy sami członkowie „Mokotowa” nie szerzyli tego typu informacji. Dlaczego mieliby to robić? Aby budować legendę grupy, a także powszechny strach wokół niej (w tym celu na przykład świadomie zawyżali liczebność gangu). Ani policja, ani prokuratura nie wydawały komunikatów o zagrożeniu swoich ludzi. Nieoficjalnie jednak przyznawano, że mokotowską listę mogli współtworzyć powiązani z gangiem funkcjonariusze, którzy wiedzieli, kto w policji i prokuraturze najbardziej szkodzi gangsterom.

Informację o tajemniczej „liście” znalazłam w aktach jednej ze spraw z Prokuratury Okręgowej w Ostrołęce. Skruszony Mariusz S., ps. Marcel, w listopadzie 2007 roku (do sprawy V Ds. 97/07) powiedział przesłuchującemu go prokuratorowi Dariuszowi Żądle, że „podczas ogólnych spotkań członków grupy mokotowskiej pojawiały się pomysły, żeby podłożyć ładunek wybuchowy bądź

dokonać jakiegoś otrucia osób, które współpracują z organami ścigania przeciwko grupie mokotowskiej, ale bez podania konkretnych miejsc czy nazwisk. W toku przesłuchania nie potwierdził jednoznacznie, aby miała istnieć jakaś lista z konkretnymi nazwiskami osób, które miały być pozbawione życia. Stwierdził jedynie ogólnikowo, że na tych spotkaniach wymieniano nazwiska jakichś prokuratorów, natomiast nie potrafił podać konkretnych danych ani sprawy, z którą określony prokurator miał być związany”.

Zdecydowanie więcej konkretów skruszony Mariusz S. Marcel przekazał prokuratorowi o zamiarach wymordowania rodziny Bajbusa:

„Plany zabójstwa żony Krzysztofa M. zrodziły się wśród członków grupy mokotowskiej latem 2007 roku. Głównym pomysłodawcą «uciszenia» Bajbusa, składającego wyjaśnienia w ramach postępowania, w którym został aresztowany, był Zbigniew C., pseudonim Daks. Podczas dwóch spotkań w restauracjach na terenie Warszawy mężczyzna o pseudonimie Dony miał być nakłaniany albo przez Wojtasa, albo Daksą do zabójstwa matki lub żony Bajbusa”.

Ale wtedy nikt nie wierzył w istnienie listy śmierci. Uwierzono dopiero wtedy, gdy żonę Bajbusa podziurawiono kulami.

O Balbinie, który skończył w rowie...

Na temat listy śmierci rozmawiam z pionierem gangsterskiej Polski przełomu lat 80. i 90., który odsiedział kilkanaście lat za kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą (a także kilka innych wyroków). Zgadza się na spotkanie pod warunkiem całkowitej anonimowości.

– **Boi się pan Daksa?** – pytam.

– Nie o strach chodzi, ale o wygodę. Nie chcę mieć w życiu nowych problemów, bo naciągnie mnie pani na szczerość, a potem prokurator będzie mi wezwania przysyłał. Co pani chce wiedzieć?

– **Kto trafiał na listę?**

– Zależy na jaką, bo były różne listy. Ja wiem o takiej z nazwiskami osób do zawinięcia, czyli porwania dla okupu albo dla zasady, bo gość zarobił wiele, a dzielić się nie potrafił. Na listę do zawinięcia trafiali ludzie uczciwi i nieuczciwi, ale zawsze bogaci. Nazwiska typowali ludzie Daksa, a trzeba przyznać, że mieli świetne rozpoznanie terenu. Taki mokotowski wywiad środowiskowy. Z wiarygodnych źródeł wiem, że tego Hindusa, któremu trzy palce odcięli, podpowiedział Żyd, ten sam, który sprzedał Korka. Żyd bywał w biznesowych kręgach, prowadził rozległe interesy i znał języki. Śmiał się potem z mokotowskich, bo się pomylili i zawinęli nie tego Hindusa, co trzeba.

– **Tu nie ma co się śmiać, ten człowiek nie żyje...**

– Wielu nie żyje. „Mokotów” to była fabryka śmierci. Niektórych porywali od razu, z innymi się dogadywali, do innych strzelali za odmowę. Były tam różne nazwiska, to znaczy z przeróżnych branż, nie tylko uczciwie płacący podatki biznesmeni. Nie od dziś wiadomo, że najlepiej skubać szarą strefę.

– **Przestępca nie pójdzie na policję?**

– No właśnie, dlatego my, moje pokolenie, tak robiliśmy, że

zawijaliśmy złodziei, co Skarb Państwa okradali. Szliśmy też do konfidentów PRL-owskich służb, którzy dorobili się na przemytach, zanim jeszcze my weszliśmy na szlaki. Mówiliśmy, że z bliźnimi trzeba się dzielić i my też chcemy zarabiać worki pieniędzy. Stawialiśmy ultimatum: albo nas przyjmujecie do interesu i zarabiamy razem, albo płacicie janosikowe.

– Co wybierali?

– Drugą opcję, chociaż nie zawsze po dobroci. Czasami trzeba było klienta co nieco oklepać, coś spalić albo wrzucić granat hukowy do pokoju dziecka, żeby właściwie zrozumieli nasze argumenty. Czasami przemytników porywaliśmy, a od rodzin wołaliśmy po 100–200 tysięcy papieru okupu [dolarów – przyp. aut.]. Jeśli nikt się nie skarżył policji czy prywatnemu detektywowi, to wszystko szło gładko, klient wracał do żony w jednym kawałku. Takie są zasady. Mokotowscy poszli dużo dalej. Oni nie mieli zasad. Szkoda gadać.

– Skąd pan to wie?

– Wiosną 2006 roku zabili mi kolegę, Zbyszka K. Balbina. Lubilem go i szanowałem, był jednym z pierwszych pruszkowskich, fajny chłopak, rodzinny bardzo. Słowik jest ojcem chrzestnym jego córki Sary. W dobrych czasach spirytus woziliśmy. Potem Balbin związał się z Markiem Oczko ze Szczecina, o co wielu miało do niego pretensje, bo zarabiał z nim straszne pieniądze. Przeszedł na emeryturę, zdrowie mu szwankowało. Mokotowscy mieli go na tej swojej liście. Któregoś dnia przyszli i powiedzieli: „Ty, Balbin, masz kupę szmalu, zarobiłeś na przemytach i nastał czas się podzielić. My chcemy od ciebie 300 tysięcy papieru”.

– Zapłacił?

– Powiedział: „Chuj wam w dupy, kurwy jebane”, a oni na to: „Skończysz w rowie”. „No to skończę” – odszczeknął i kazał im wypierdalać. Krótco potem odwoził rano dziecko na zajęcia. W centrum miasta to było. Balbin miał taki zwyczaj, że zawsze w sklepie „Serek” kupował świeże bułeczki. Wtedy też poszedł do tego sklepu, a potem wracał na parking, gdzie zostawił samochód. Wyciągał kluczyki. Wtedy nadjechali ci w drelichach i kaskach.

– Na motorze?

– W samochodzie byli. Jeden wysiadł, wpakował w Balbina cały magazynek. W plecy strzelał, jak tchórz ostatni. I tak właśnie skończył mój kolega – kilka minut po ósmej rano, z bułeczkami w reklamówce i kwiatami, które kupił dla żony. Chyba miała tego dnia imieniny. Nawet nie wiem, czy ktoś odpowiedział za jego śmierć.

Zbigniew K. od lat cierpiał na parkinsona. Choroba była w zaawansowanym stadium. Mówiono, że Balbin miał przed sobą pół roku życia. Zginął na parkingu przy ul. Patriotów w Wawrze. Miał 50 lat.

Sprawcy mieli na sobie pomarańczowe kombinezony. I tyle o nich wiadomo.

...i żonie Słowika

Na mokotowskiej liście znalazła się także Monika, żona Andrzeja

Z. Słowika (od kilku lat są już po rozwodzie). Skazano go w maju 2004 roku na 6 lat więzienia za udział w gangu pruszkowskim. Wyrok nie należał do wysokich, ale przyszłość męża Moniki stała pod znakiem zapytania, ponieważ prokuratura wiązała go z podżeganiem do zabójstwa generała Marka Papały. W grę wchodzić mogło nawet dożywocie. W przestępczej Warszawie krążyły legendy o majątku, jaki Słowik rzekomo pozostawił żonie. „Mokotów” musiał być przekonany, że słynny gangster z „Pruszkowa” odda każde pieniądze za bezpieczeństwo rodziny.

Monikę podobno wytypował sam Zbigniew C., ps. Daks. „Chuj kładę na Słowika, bo Słowik siedzi” – miał powiedzieć, zlecając obserwację żony pruszkowskiego bossa. Wkrótce wiedział o niej wszystko: kiedy kobieta wychodzi z domu i do niego wraca, w jakich sklepach robi zakupy, gdzie bywa, parkuje i pod czyją opieką zostawia syna. Wystarczyło, żeby Daks powiedział swoim ludziom: „Róbcie to”.

Z Moniką Banasiak, była żoną Słowika i współautorką książki *Królowa mafii*, napisanej z Piotrem Pytlakowskim, spotkałam się na planie serialu dokumentalnego *Kobiety i mafia*. O grupie mokotowskiej rozmawiałyśmy poza kamerą.

– Wyczuwała pani zagrożenie?

– Bardzo wyraźnie. Miałam świadomość, że oboje z dzieckiem możemy być celem. Niemal czułam ich oddech na plecach. I to już w garażu, gdy wyjeżdżałam z domu, a potem przez cały dzień, aż do wieczora. Nie wiem, od jakiego czasu za mną jeździli, prawdopodobnie dość szybko się zorientowałam. Obserwowali moje zwyczaje, poznawali rozkład dnia.

– Wiedziała pani, kto panią śledzi?

– Początkowo myślałam, że to policja i obserwacja ma związek ze sprawą karną mojego męża. Zawsze wyczuwałam obecność funkcjonariuszy, chyba szóstym zmysłem. Kiedyś, gdy jeszcze bywałam ze Słowikiem w lokalach, podczas imprez potrafiłam – jako jedyna w towarzystwie – wypatrzeć w tłumie tajniaków. „Andrzej, tu jest policja” – mówiłam mężowi. Byłam wyczulona, chociaż niektórzy żartowali, że przeczulona. Wtedy też się zorientowałam. Jeździli za mną co najmniej dwoma samochodami.

– Jak się pani przekonała, że to nie policja?

– Spojrzałam na nich, to wystarczyło. Jestem niezłym kierowcą, więc wykonałam na drodze szybki manewr, wymijając kilka pojazdów. Podjechałam do nich, stanęłam równolegle na światłach, opuściłam szybę. Kiedy zobaczyłam ich twarze, nie miałam wątpliwości, że to nie są funkcjonariusze.

– Co pani wtedy zrobiła?

– Przecież nie mogłam zgłosić się na policję, więc musiałam pojechać do jednego z nich. Ale najpierw wywiozłam mojego syna w bezpieczne miejsce. Odwiedziłam pewnego człowieka. Ważnego człowieka.

– Kogo?

– Nie mogę tego powiedzieć. Stanęłam przed nim i powiedziałam: „Masz mnie, a nie mojego syna, zostaw dzieciaka w spokoju”. Był szczerze zaskoczony, że podejrzewam go o coś takiego. „Monika, no

co ty! Przecież ja Słowika szanuję, ja na ciebie i twoje dziecko nie poluję” – zarzekał się. Powiedział też, że zagrożenia mam szukać na Mokotowie.

– Jaki był finał?

– Tamci odpuścili. Jednak wkrótce pojawili się kolejni. To permanentne zagrożenie było jedną z przyczyn mojego odejścia od Słowika. Wadim, z którym się związałam, chronił mnie, tylko dlatego przestałam być celem. Pewnego dnia przy hotelu Mercure podszedł do ludzi, którzy chcieli mnie skrzywdzić. Chociaż był sam, a ich wielu, zapowiedział im prosto w oczy, że rozjedzie ich czołgami, jeśli tylko mnie tkną. „Pół specnazu ściągnę z Ukrainy do Polski. Teraz to moja kobieta i wara wam od niej” – wykrzyczał.

– Można powiedzieć, że zasłonił panią własną pierśią. Odwaga na pograniczu szaleństwa. Słowik to zrozumiał?

– Oczywiście, że nie. Ani on, ani nikt inny tego nie zrozumiał. Ludziom wciąż łatwo oceniać cudze życie, krytykować, obrzucać innych błotem. Proszę, spróbujcie żyć w mojej skórze, a dopiero potem krytykujcie.

– Jak wyglądały wcześniej relacje pruszkowskich z mokotowskimi?

– Nie lubili się, to oczywiste. Dewizą pruszkowskich było – jak mawia prokurator Jerzy Mierzewski – „grab zagrabione”, czyli okradaj złodziei, i chociaż to byli bandyci, to mieli zasady. Cenili więzy rodzinne. Każdy z nich był ojcem, mężem, synem. Żadnemu z nich nie przyszłoby do głowy, żeby porywać dzieci, krzywdzić

kobiety. Nawet w słynnej wojnie pomiędzy „Pruszkowem” a „Wołominem” nie zdarzały się takie rzeczy. To, co robili mokotowscy, było złem w najczystszej postaci.

Nieodłączną częścią tego zła byli skorumpowani funkcjonariusze policji.

Jak złe psy dorabiały do pensji

Mokotowska lista śmierci stała się pretekstem do dłuższej rozmowy z Janem Fabiańczykiem, ps. Majami – byłym funkcjonariuszem stołecznej policji. Kiedyś rozpracowywał gangi. Z czasem zaczął wyglądać i zachowywać się jak ci, których z ukrycia obserwował. Mówiono, że w starciach z gangsterami był bezkompromisowy, zdeterminowany. Zarzucono mu przekroczenie kompetencji, przeniesiono poza Warszawę i skierowano do zwykłej służby patrolowej.

Dzisiaj Jan Fabiańczyk już nie pracuje w policji. Jest aktorem. Jego losy (i fryzura) nieodparcie kojarzą się z filmowym policjantem Majamim, którego w gangsterskiej produkcji Patryka Vegi zagrał – świetny w tej roli – Piotr Stramowski. Janek Majami Fabiańczyk spotkał się z nim na planie filmu *Pitbull. Niebezpieczne kobiety*. Zagrał gangstera z gangu motocyklowego.

Janek Majami o kretach i gangusach

– Jak to się stało, że pan, były policjant, znalazł się na planie filmowym najsłynniejszej gangsterskiej trylogii w Polsce?

– Udział w filmie zaproponował mi reżyser Patryk Vega. Powiedział: „Ty, Janek, całe życie zadajesz się z gangsterami, więc zagraj u mnie gangstera, dasz radę”. I tak znalazłem się na planie *Pitbulla. Niebezpiecznych kobiet*. Wcześniej produkowaliśmy się razem w kilku stacjach telewizyjnych podczas różnych programów i Patryk zauważył, że kamera mnie nie blokuje, że przed kamerą dosyć dobrze sobie radzę. Dzięki pracy operacyjnej na ulicy, wykonywanej latami w policji, nabrałem trochę zachowań gangsterskich. Jak widać, przydało mi się to na planie filmowym.

– Fajniej być gangsterem czy policjantem?

– Policjantem.

– Słyszał pan o mokotowskiej „liście”? Nie tej filmowej, lecz prawdziwej.

– Wielu o niej słyszało. Były na niej nie tylko nazwiska osób do uprowadzenia, czyli takich, na których można było zarobić, ale także osób niewygodnych, szkodzących grupie mokotowskiej, do spacyfikowania. Ta lista była swoistym planem pracy. W przypadku porwań dla okupu ustalano drzewo powiązań, na przykład: „Ten producent od blach, wyrwiemy od niego miliard złotych. Jak wyrwiemy? Uprowadzimy mu syna”. Dramat ofiar oraz ich rodzin polegał na tym, że autorzy listy nigdy nie brali pod uwagę, że oddadzą zakładnika, dlatego popełniali wiele błędów, na przykład byli bez kominiarek. Chodziło wyłącznie o wyrwanie kasy,

czasami nawet kilka razy od tej samej osoby. Zdrowie i życie osoby uprowadzonej nie miało żadnego znaczenia.

– Z producentem od blach to tylko przykład?

– Owszem, z życia wzięty. Rzeczywiście chcieli uprowadzić syna producenta blach, ale noga im się powinęła. Chłopak wychodził właśnie ze strzeżonego osiedla, gdy nadjechali dwoma samochodami. Jedno z tych aut to biały ford transit, którym najczęściej się poruszali. Całe szczęście, że w służbówce pracował mądry ochroniarz i gdy coś wzbudziło jego podejrzenie, nacisnął alarm przeciwpożarowy. Zrobiło się zamieszanie, dzięki czemu chłopak uniknął porwania. Dwóch mokotowskich wpadło wtedy w ręce policji.

– Czy na listę trafiały nazwiska policjantów lub prokuratorów ścigających grupę mokotowską? Przestępcy byli na tyle silni, aby podnosić rękę na śledczych?

– Bardziej bezczelni niż silni, właśnie dlatego mogli mieć takie plany. Z tym że raczej nie było to w kategoriach zabijania, ale postraszenia, zastraszenia.

– Jak to możliwe, że po doświadczeniach z „Pruszkowem” i „Wołominem” warszawska policja dopuściła do powstania tak niebezpiecznej i bezczelnej – jak pan mówi – grupy?

– Pamiętajmy, że to były odłamy różnych grup, zbieranina. Połączyli się niemal niepostrzeżenie właśnie dlatego, że całe policyjne siły skierowano do walki z grupą pruszkowską i wołomińską. Dochodzili do władzy z boku, wykorzystując całe to

zamieszanie. Idealnie wpasowali się w miejsce zwolnione przez poprzedników. Proces wstrzeliwania się w ten rynek nastąpił w przypadku mokotowskich bardzo szybko, podczas gdy „Pruszków” budował swoją pozycję przez lata. Grupa mokotowska niemal natychmiast osiągnęła taką siłę i władzę jak „Pruszków”.

– A jak to się stało, że współtworzyli ją policjanci?

– Ech... Powodów zapewne było kilka, tak jak zawsze, gdy w grę wchodzi współpraca policji z bandytami. Jednym z nich był strach. Nie ukrywajmy: policjant też człowiek, boi się o rodzinę, o siebie. Boi się, żeby bandyci nie weszli mu do mieszkania, nie zastraszyli dzieci. Drugi powód to haki na funkcjonariuszy, a w tym „Mokotów” był niezwykle skuteczny. Materiały obciążające bywają przeróżne, pochodzą z agencji towarzyskich, popijawy... Scenariusz jest podobny: da się taki namówić na wspólną wódkę, a potem z pijaństwa wychodzą cuda wianki. Gangusy skrzętnie to gromadzą i wykorzystują – żeby trzymać człowieka w szachu lub go kompromitować. Kolejny powód to oczywiście pieniądze. Zawsze się znajdą tacy, którzy dadzą się złapać na lep kasy. Ale w problemy można popaść nieświadomie.

– Jak?

– Potrzebujesz gotówki, ktoś ci ją pożyczy, a potem nie chce zwrotu, tylko przysługę.

– Uczciwi policjanci nie czują, że mają kreta w szeregach?

– Oni to wiedzą. Jeżeli jedna, druga czy trzecia akcja nie wychodzi, bo ktoś na przykład ucieka, wciąż wyprzedza policję

o krok, to masz podejrzenie graniczące z pewnością. Raz może się nie udać, ale nie porażki całą serią, bo wtedy sprawa staje się oczywista, że masz kreta w wydziale. Wszyscy go wtedy szukają, bez względu na to, co robi Biuro Spraw Wewnętrznych [policja w policji – przyp. aut.]. Zresztą kret wcale nie musi być w wydziale. Policjanci mają dostęp do baz danych. Poza tym ze sobą rozmawiają, to normalna rzecz w miejscu pracy. I właśnie potem informacje przeciekają to tu, to tam. Postronne osoby dowiadują się o wielu sprawach niejako przy okazji, a nie pracując nad nimi.

– Niektórzy policjanci powołani do ścigania obcinaczy palców przychodzili do rodzin, oferując pomoc w negocjowaniu z porywaczami wysokości okupu, choć te rodziny nawet nie zgłosiły przestępstwa. To jakiś horror?

– Mogło tak być z tego względu, że policjanci posiadają rozległą wiedzę: gdzie kto mieszka, kto ma pieniądze i jak nimi dysponuje. Mało tego – mogą tak rozplanować swoją służbę, by obserwować typowaną ofiarę, a potem podpowiedzieć, gdzie ta osoba jest, co robi w danym momencie, czym i jaką trasą się porusza, no i jak do niej podejść. Przestępcy nie muszą wtedy obserwować ofiary, a to dla nich ogromne ułatwienie.

– Gdzie jest wtedy granica między stróżem prawa a bezprawiem?

– Nie ma już granicy, ona została definitywnie przekroczona. To już nie jest policjant, tylko przestępca. On tylko pracuje w policji. Jest taki sam jak ci, którym pomaga.

– Czy niechlubny przykład funkcjonariuszy w gangu

mokotowskim to była jakaś lekcja dla polskiej policji?

– Niewątpliwie, ponieważ po każdej takiej „wtopie” – a przecież wiemy, że grupę mokotowską wspierało co najmniej kilku policjantów, a nie jeden – w firmie podwyższają się standardy bezpieczeństwa. Nie chodzi o skuteczniejsze zabezpieczanie mundurów, przecież każdy je może mieć, jeśli zechce, ale już na przykład logowanie się do systemu nie może odbywać się anonimowo. Zawsze pozostaje ślad, że szukało się jakiegoś adresu, numerów rejestracyjnych pojazdu oraz wielu innych cennych dla przestępców informacji. Dochodzi też kwestia przestrzegania rejonizacji pracy – jeśli jesteś poza swoim terenem, musisz wytłumaczyć się z tego, co robisz poza właściwym miejscem służby.

– A ograniczone zaufanie do kolegów?

– Ta zasada powinna obowiązywać niezmiennie. Sprawdza się poprzez tworzenie bardziej hermetycznych wydziałów. W praktyce wygląda to tak, że skoro trzy, cztery osoby pracują w tym samym czasie nad jedną sprawą, to o szczegółach śledztwa wiedzą tylko one i nikt inny. Jeśli wypłynie jakakolwiek informacja, wówczas winnych szuka się wśród tych trzech, czterech osób, a nie w całym wydziale.

– **Niejaki Steryd, skorumpowany funkcjonariusz, zeznał w śledztwie, że policjant, na którego wołali Majami, z pionu dochodzeniowo-śledczego komendy na Grenadierów, załatwiał gangsterom umundurowanie i oprzyrządowanie policyjne na napady dokonywane metodą „na policjanta”.**

– Nigdy nie pracowałem w pionie dochodzeniowo-śledczym

w komendzie na Grenadierów.

Na gangsterskiej smyczy, czyli drugie życie Steryda

O powiązaniach „Mokotowa” z policją opowiedział – zaraz po aresztowaniu w styczniu 2006 roku – skorumpowany funkcjonariusz Dariusz Sz. Steryd. „Brałem udział w przestępstwach, o których chcę opowiedzieć – zadeklarował podczas przesłuchania. – Mam też sporą wiedzę na temat osób, które były w grupie, w tym również z policji, i na temat kontaktów z prokuraturą – dodał obiecująco. – Ale teraz chciałbym odpocząć, żeby sobie przypomnieć ludzi, fakty i zdarzenia. Byłem zatrzymany 11 godzin temu i przez cały czas wykonywano ze mną czynności. Jestem bardzo zmęczony”.

Steryd był posterunkowym w Komendzie Stołecznej Policji, przydzielonym do służby patrolowej. W chwili aresztowania miał 32 lata, z zawodu był technikiem elektrykiem. „Miałem problem z narkotykami, zażywałem je, kupowałem kokainę” – tłumaczył śledczym powody, dla których przeszedł na złą stronę mocy. Z policyjnej pensji nie starczyłoby mu na kosztowny nałóg, dlatego wszedł w układ z Bajbusem.

„Pamiętam, że kiedy latem 2005 roku Dony poszukiwał amunicji do pistoletu, powiedziałem mu, że Steryd jest policjantem, to niech z nim gada, może mu załatwi – mówił w śledztwie Bajbus. – Dony zwrócił się do niego. Chciał kupić kaliber 7,65 mm. Po jakimś czasie Steryd przyniósł szare pudełeczko, a w nim 25 sztuk. Powiedział, że musiał tę amunicję ukraść, bo inaczej się nie dało. Dony zapłacił mu za to 700 zł”.

Steryd dostarczał gangsterom policyjne kamizelki i legitymacje,

oprócz tego sam brał udział w bandyckich akcjach. Oto kilka z nich (opisy pochodzą z akt sprawy karnej XVIII K 54/08 Sądu Okręgowego w Warszawie).

„We wrześniu 2005 roku doszło do napadu na magazyn w Centrum Handlowym GD Poland w Wólce Kosowskiej. Mariusz F., który pracował kiedyś w tej firmie, zaproponował Bajbusowi, by zamówić w niej towar, a potem zabrać go, nie płacąc za niego. Krzysztof M. zgodził się na to. Do hurtowni pojechali upozorowani na biznesmenów: Bajbus, Bobek i Steryd. Zamówili po 100 000 staników i majtek. Przyjmująca zamówienie miała zadzwonić na podany przez Bajbusa numer telefonu, gdy towar będzie przygotowany. Gdy zadzwoniła, do hurtowni pojechali Bajbus ze Sterydem i Bobkiem. Przyjechała też ciężarówka zamówiona przez Nelsona oraz [tu wymieniono dziesięć osób – przyp. aut.] i zaczęli ładować towar.

W tym czasie Steryd wyjął policyjną odznakę i powiedział, że wszyscy oni są funkcjonariuszami z wydziału przestępczości gospodarczej i konfiskują wszelką dokumentację, faktury i pieniądze. Kazali też obecnej tam trójce Wietnamczyków udać się z nimi. Na ulicy przed magazynem żona właściciela hurtowni (...) zorientowała się, że to nie są policjanci, i zaczęła krzyczeć. Wtedy Bobek uderzył ją tak, że się przewróciła, a oni uciekli do samochodu. Oprócz bielizny wartej 48 720 zł sprawcy zabrali dokumenty w postaci umów, bankowych dowodów wpłat, pieniądze w kwocie 4760 zł i 1000 dolarów, telefon komórkowy, prawo jazdy i dowód rejestracyjny oraz pieczętki firmowe. Skradziony towar został przewieziony do dziupli, a następnie upłynniony przez Nelsona za 25 000 zł. Pieniądze pomiędzy uczestników podzielił Bajbus”.

Wkrótce według podobnego scenariusza zorganizowano napad na hurtownię z kurtkami puchowymi w Szamotach. Bandycką robotę zaproponowali Bajbusowi trzej naganiacze, zatrudnieni niegdyś w centrum chińskim. Wieczorem 5 października 2005 roku kilkunastu rośliwych mężczyzn zaparkowało samochody w pobliżu magazynów. „Steryd i Bobek, ubrani w kamizelki z napisem POLICJA, podeszli do budki ochroniarza i po wywołaniu go zapytali, czy na terenie magazynów nie ma jakichś kradzionych samochodów. W tym czasie Antek i Tomek, kolega Bobka, obeszli

ochroniarza od tyłu, przewrócili go na ziemię i obezwładnili. Skrepowanego zanieśli do budki, gdzie przez cały czas napadu był pilnowany przez Antka, który zmuszał go, by zgłaszał się przez radio do swojej centrali i meldował, że wszystko w porządku. Reszta tymczasem zerwała kłódki z drzwi magazynu, załadowali towar na tira. Pełny samochód zawiózł zabrane z magazynu kartony z kurtkami puchowymi i koszulami do Grójca, do magazynu Piotra W., ps. Pewex. Sprzedażą towaru zajął się Frycek. Sprzedał go swojemu koledze w Koszalinie za 45 000 zł. Pieniądze podzielił Bajbus, proporcjonalnie do włożonej pracy. Sam dostał 4000 zł, inni proporcjonalnie mniej. Najmniej zarobili ładowacze, po 500–600 złotych”.

Kolejny napad metodą na policjanta przeprowadzili trzy tygodnie później w miejscowości Żelechów. Obrabowali hurtownię odzieży prowadzoną przez Wietnamczyka. Pracowali tam na czarno robotnicy sezonowi z za wschodniej granicy. Bandydzi podzielili się na dwie grupy.

„Pierwsza miała wejść do środka metodą na policjanta i obezwładnić obecnych, a drugą stanowili ładowacze. Pod wieczór Bajbus, Steryd, Bobek i Nelson, którzy mieli na sobie kamizelki z napisem POLICJA, weszli do pomieszczeń biurowych i obezwładnili znajdujące się tam osoby. Było ich około 10, a mężczyznom znajdującym się w magazynie i mówiącym po rosyjsku kazali pomóc w ładowaniu towaru na tira, który w międzyczasie podjechał wraz z ładowaczami. Po załadowaniu samochodu butami sportowymi i jeansami samochód odjechał do Grójca do magazynu Pewexa. Pozostali sprawcy również się oddalili, zabierając dodatkowo pracownikom hurtowni dokumenty i pieniądze, przy czym jeszcze przed odjazdem Bobek uderzył młotkiem w nogę Wietnamczyka, by zmusić go do powiedzenia, czy został włączony alarm.

Podobnie jak poprzednio towar sprzedał Frycek za 48 000 zł, pieniądze podzielono pomiędzy uczestnikami napadu”.

Steryd był przydatny, ale Bajbus i Bobek mieli do niego ograniczone zaufanie. Podejrzewali, że policjant może działać na

dwa fronty. Często go dezinformowali, żeby go sprawdzić. Bobek mówił o Sterydzie, że „od brania sterydów pomieszało mu się w głowie”.

Bandyta czy przykrywkowiec?

Kiedy Wydział do Walki z Terrorem Kryminalnym Komendy Stołecznej Policji i Centralne Biuro Śledcze rozpoczęły masowe aresztowania, Dariusz Sz., ps. Steryd, trafił za kraty jako jeden z bandy Bajbusa. Na przesłuchaniu oznajmił, że jest policjantem ukrytym w groźnym gangu. „Przykrywkowcem” miał zostać po wcześniejszym zatrzymaniu za bandycką burdę w pubie. Wówczas, w komendzie przy Opaczewskiej, opowiedział o grupie Bajbusa, napadach i planowanych akcjach. Przesłuchujący go policjant, podający się za Jacka Borowca, miał powiedzieć, że wszystko, czego się dopuścił Steryd, będzie mu odpuszczone, ale nie za darmo. Dariusz Sz. miał zostać wtyką w grupie Bajbusa, ustalono zasady jego współpracy z policją. Od tamtej pory Steryd zbierał informacje o kolegach gangusach i przekazywał je funkcjonariuszowi „Jackowi Borowcowi”. „Gdy członkowie grupy odkryli prawdę, kilka razy straszili Steryda, że zabiją i jego, i jego dziecko” – napisano w aktach sprawy.

Procedury pracy „przykrywkowców” to jedna z najpilniej strzeżonych przez policję tajemnic. Procedury przydzielania do tej elitarnej i niebezpiecznej służby znane są nielicznym, ale z pewnością nie przebiegają w sposób, o jakim mówił Steryd. Jednak on uwierzył, że wykonuje dla policji zadania pod przykryciem. Po rozbiciu grupy Bajbusa tłumaczył śledczym, że

w przestępstwach uczestniczył wyłącznie w charakterze policyjnej wtyki. Nie był do końca szczery. Od pozostałych członków bandy różnił się tylko oficjalnym miejscem pracy i policyjną odznaką.

Ani w policji, ani w gangu Steryd nie zrobił specjalnej kariery, za to w sądzie wypadł dość dobrze. „Sąd Okręgowy w Warszawie uznał za w pełni wiarygodne zeznania świadka Dariusza Sz. złożone w toku postępowania przygotowawczego, a następnie konsekwentnie potwierdzone przed sądem – czytamy w aktach. – Świadek rzetelnie i szczerze podzielił się swoją wiedzą na temat działalności przestępczej grupy Bajbusa, nie ukrywając i nie pomniejszając przy tym swojej roli w popełnianiu przestępstw, a także na temat innych przestępstw, o których tylko słyszał. Współpraca Dariusza Sz. z organami ścigania i wymiaru sprawiedliwości była bardzo ważna w rozbiciu grupy Bajbusa i tzw. grupy mokotowskiej”.

Steryd nie tylko okazał pełną skruchę, ale też wskazał innych pracujących dla gangu funkcjonariuszy. Ciężar odpowiedzialności za przestępstwa popełniane przez grupę mokotowską metodą na policjanta rozłożył tym samym na liczne policyjne barki. Według Steryda skorumpowana była niejaka pani Ula – naczelnik dochodzeniówki jednej z komend rejonowych, a w napadach na tiry i przedsiębiorców ze Stadionu Dziesięciolecia brał udział oficer Wydziału do Walki z Przestępczością Gospodarczą komendy przy Grenadierów. Policjant przekazał swoją służbową legitymację Bajbusowi, a w komendzie zgłosił jej kradzież.

„Bajbus używał tej legitymacji podczas napadów na hurtownie odzieży – mówił przed sądem Steryd. – Kolejni policjanci to Rafał i Łukasz z Referatu Patrolowo-Interwencyjnego z komendy na Opaczewskiej. Obaj podczas napadów dokonywanych metodą na

policjanta używali swoich legitymacji służbowych. Zatrzymywali i okradali dilerów narkotykowych [!], po czym zdobyte w ten sposób narkotyki sprzedawali swoim handlarzom. Kolejny pracował w KRP III – Ochota, Ursus, Włochy, wynosił protokoły z przesłuchań osób, które zeznawały przeciwko grupie mokotowskiej”. Steryd powiedział prokuratorowi, że to właśnie za sprawą tego konkretnego policjanta z KRP III jego zeznania trafiły do Bajbusa: „Krzysztof M. uzyskał kopie protokołu mojego przesłuchania, gdzie mówiłem o przygotowywanym napadzie na Woli na Spółdzielnię Inwalidów. Pokazał mi kopię tego protokołu i straszył, że mnie zajebe albo moje dziecko, jeśli coś zrobię w kierunku ujawnienia jego grupy, ponieważ ma dostęp do moich akt. Karol (którego zadaniem w grupie było dogadywanie się z adwokatami, policjantami, prokuratorami i sędziami) mówił, że ten policjant z KRP III jest oficerem z wydziału kryminalnego w stopniu komisarza bądź nadkomisarza i że jest bardzo wysoki, bo trzeba zadzierać głowę podczas rozmowy”.

Cennym nabytkiem dla gangu miał być, według Dariusza Sz. Steryda, oficer z wydziału terroru Komendy Stołecznej Policji, bezpośrednio zaangażowany w działania operacyjne wymierzone w grupę mokotowską. Dzięki niemu przestępcy wiedzieli, kiedy mają wyjechać z miasta na długie wakacje, aby uniknąć policyjnych zasadzek i aresztowania.

„Jest to oficer, który poprzez Karola miał poinformować o poszukiwaniach Rokiego za narkotyki i Arcziego za porwania. Z tego, co się orientuję, to Karol dzwonił do niego z aparatu z miasta. Nie wiem, czy po tych telefonach się spotykali, czy rozmawiali o szczegółach z innego telefonu. Miało to miejsce wiele razy przed planowanymi zatrzymaniami niektórych osób przez

policję” – wyjaśniał Steryd.

– Kilku powiązanych z gangiem mokotowskim funkcjonariuszy policji miało sprawy karne i usłyszało wyroki – zapewnia prokurator, który oskarżał grupę Bajbusa.

– **Wszyscy wymienieni przez Steryda?**

– O ile dobrze pamiętam, to nie.

– **Dlaczego?**

– Jego wiarygodność była wątpliwa.

Bobek nie trzyma ciśnienia

O sprzedajnych policjantach opowiedział prokuratorowi także Bobek, zabójca Dzika. Jedną z powiązanych z gangiem osób miała być policjantka Dorota W. z Centralnego Biura Śledczego:

„Oskarżony Bobek stwierdził, że jak na policjantkę Dorota W. chodziła ekskluzywnie ubrana, a ponadto wynajmowała mieszkanie na Ursynowie przy Roentgena. Poznał ją przez Andrzeja Cz., ps. Kikir, który zmarł w 2000 roku (został zastrzelony), a któremu Dorota W. przekazywała informacje. Oskarżony Bobek wskazał, że zajmowała się ona w CBS przestępstwami bankowymi lub gospodarczymi i ustalała dla niego różne rzeczy. Nie płacił Dorocie W. za przekazywane mu informacje. Do domu zawsze przyjeżdżał po nią samochód służbowy marki Fiat Bravia w kolorze butelkowej zieleni, który także zawsze ją odwoził. Oskarżony Bobek wyjaśnił, że w kwietniu lub maju 2003 lub 2004 roku osobiście odwiózł Dorotę W. na lotnisko Okęcie, skąd odleciała ona do Stanów Zjednoczonych, do Nowego Jorku, do narzeczonego lub męża, który pracował w amerykańskiej policji”.

(ze sprawy karnej grupy Bajbusa)

Gangsterzy chronili swoje źródła w policji, a uczciwych, deptających im po piętach funkcjonariuszy zastraszali.

Prasówka:

„– Były takie sytuacje, że policjanci rezygnowali z pewnych czynności, bo się bali. Mokotowscy byli na tyle bezczelni, że potrafili na przykład policjantowi spalić samochód albo wsadzić do środka znak od przystanku autobusowego – oczywiście przez szybę, nie otwierając drzwi. Pamiętam, że jednemu wylali chyba z pięć puszek farby na nowe auto – opowiada jeden z funkcjonariuszy, który zajmował się rozpracowywaniem gangsterów z Mokotowa. – To był czas, kiedy musiałem brać pod uwagę najgorsze scenariusze. Nigdzie nie ruszałem się bez broni. Miałem przy sobie pistolet, nawet jak wyrzucałem śmieci – podkreśla”.

(Mateusz Baczyński, Władcy Mokotowa, portal Onet.pl)

„Pamiętam takie zdarzenie z 2003 roku, kiedy ja, Bobek oraz inni pobiliśmy pewnego faceta za to, że wystawił Rafała P. z Końskich – mojego kolegę policjanta, który sprzedawał narkotyki funkcjonariuszom – czytamy w jednym z protokołów przesłuchań Bajbusa. – Facet opowiedział o tym w momencie zatrzymania i Rafała wyrzucono z policji. Wtedy Rafał osobiście nam wskazał, gdzie ten facet mieszka. Było to w bloku na ostatnim piętrze. Facet leżał pijany na łóżku, więc wynieśliśmy go za ręce i nogi i pobiliśmy. Rafał postawił za to obiad i zapłacił tzw. koszta podróży w kwocie 1000 zł. Podzieliliśmy się pieniędzmi, wyszło po 200 złotych”.

Najlepsze biustonosze i stringi

– **Często przebieraliście się w policyjne mundury?** – pytam Bajbusa.

– Na policjanta wiele numerów się robiło. W mojej grupie nie musieliśmy załatwiać podróbek, bo pracowaliśmy z funkcjonariuszami, którzy przynosili nam mundury. Przebieraliśmy się i jechaliśmy na akcję. To nie byli emeryci, ale policjanci w służbie. Na komendzie przy Grenadierów pracowali.

– **Dawaliście łapówki za mundury?**

– Żadne łapówki! Oni normalnie z nami zarabiali. Dostawali dołę z podziału zysków. Jak było pół miliona utargu, czy 700 tysięcy na przykład, to taki policjant zarabiał 15–20 tysięcy, czasami więcej. Jechaliśmy wszyscy do centrum chińskiego w Wólce Kosowskiej w tych mundurach, czapkach i kamizelkach z napisem „Policja”. Wewnątrz mieliśmy dwóch informatorów, którzy wiedzieli, kto jest tam nowy, kto ma, a kto nie ma dokumentów na sprowadzony towar. No i wjeżdżaliśmy do tego, kto dokumentów nie miał. Można powiedzieć, że dzięki mundurom robiliśmy to na legalu.

– **Tak na bezczelnego, w biały dzień?**

– No w biały dzień! Ładowaliśmy towar do tira i odjeżdżaliśmy. Musieliśmy się spieszyć, żeby prawdziwe psy się nie pojawiły, dlatego brałem do pakowania trzech, czterech osiłeków. Płaciłem im po 500 zł i zasuwali, nie wiedząc, o co naprawdę chodzi. Jak się szybko uwijali z załadunkiem, to i po tysiąc im płaciłem. Nieźle, prawda? Robota na 20 minut, a tu tysiączek wpadał do kieszeni. Życ nie umierać! Dziś już nie pamiętam wszystkich kwot, ale mieliśmy z Nelsonem niezły utarg z tych Chińczyków. Nelson to

człowiek z Wólki Kosowskiej, który nagrywał nam robotę. Kiedyś pracował w centrum chińskim, potem pracował dla nas. Znał tam wszystkich od podszewki, bo stamtąd pochodził i centrum budowało się na jego oczach. Wszystko wiedział, nawet to, gdzie pancerna kasa stała. Miał kilku swoich chłopaków, którzy byli na miejscu i wciąż węszyli. Ostatnim razem za dwa tiry z towarem za 900 tysięcy zł zarobiliśmy z Nelsonem po jakieś 150 tysięcy.

– Co się działo dalej ze zrabowanym towarem?

– Mieliśmy swoich paserów, dlatego od razu wieźliśmy wszystko w Polskę. Wszystko legalnie. Tira braliśmy z ogłoszenia, najczęściej od takiego gościa, do którego regularnie dzwoniliśmy. Przyjeżdżał, czasami podstawiał dwa lub trzy tiry, ładowaliśmy i w Polskę jedziemy, panowie! Mieliśmy też swoich hurtowników. Przyjeżdżali do Wólki Kosowskiej i na placu kupowali większą partię towaru.

– Ciuchy?

– Tak, bielizna i buty też. Najlepiej schodziły biustonosze i majtki stringi (*śmiech*). Schodziły hurtowo, setki tysięcy sztuk tego było, sprasowane w paczkach po kilkadziesiąt sztuk, a tych paczek było kilkaset, może i tysiąc.

– Jak często robiliście takie akcje?

– Raz w miesiącu. Starłem się, żeby nie robić kichy [zbytniego szumu, rozgłosu – przyp. aut.], ale niestety inni robili. Zaczęli się obnosić z pieniędzmi, zwracać na siebie uwagę. Do tej pory żyli sobie w Wólce, nie rzucając się w oczy, skromnie, z wypłaty, za dwa tysiące. Nagle w jeden dzień zaczęli zarabiać tyle, co wcześniej

przez cały miesiąc. A jak wpadły im pieniądze, to zaczęli sobie auta kupować i inne cuda. Ludzie to widzieli, policja to widziała... Policja rozpoczęła obserwację, namierzali nas, w szczególności mnie. No i któregoś dnia przyjechali po mnie.

– **Tylko po pana?**

– Po policjantów, którzy mi pomagali – też. Zamknęli nas trzech. Siedzimy tak sobie w celach, stawiają nam zarzuty. Jeżdżę do prokuratury miesiąc, dwa... stawiają mi kolejne zarzuty i kolejne... Nie tylko o Wólkę Kosowską chodziło, ale też o narkotyki, broń.

Z tej sprawy już się nie wywinąłem.

– **Sporo było tych zdarzeń z policyjnymi odznakami. Mieliście poniekąd ułatwione zadanie.**

– A to prawda. Mówi się, że gang mokotowski to zorganizowana grupa przestępcza, a tu gangiem kierowała policja.

– **Mocne słowa, są na to dowody?**

– Dowodów jest całe mnóstwo! W swojej grupie miałem kilku policjantów, o układach Korcka nie wspomnę, jednak żaden z nich nie siedział ze mną na ławie oskarżonych. Powyłączali ich z głównej sprawy karnej i jakoś cicho o tym, czy pozapadały wyroki. To dzięki skorumpowanym funkcjonariuszom zdobywaliśmy informacje niezbędne przy planowaniu napadów i mundury, w których szliśmy na akcje. Przed sądem kłamali, że ja ich do wszystkiego zmuszałem, że broń przystawiałem do głowy, dlatego działali w gangu. Prawda jest taka, że sami robotę nam nagrywali.

– Jak pan nawiązywał znajomości w policji?

– Na przykład tego Dariusza Sz. Steryda, tego, co mi mundury policyjne na akcje załatwiał, to poznałem przez znajomego, który z nim na siłownię chodził. Zresztą ten znajomy to też konfident. Przedstawił mi tego psa i od tej pory pies przyłaził do mnie, jak miał problem. Już po pierwszej rozmowie zorientowałem się, że Steryd to totalny idiota.

– To po co pan się z nim zadawał?

– Pomyślałem, że mogę go wykorzystać do swoich celów, chociaż wiedziałem, że jak go policja na czymś złapie, to on wszystko im powie, co robił, i jeszcze doda, jak to wszyscy robią... z igły robią widły.

– Steryd przedstawił panu jakichś swoich kolegów z komendy?

– Jednego mi przedstawił. Ten kolega Steryda kupił sto gramów kokainy, później już go nie widziałem. Ale miałem innych znajomych policjantów, na przykład takiego Rafała P. z komendy przy Żytniej, na Woli, on też się przewija w naszej sprawie karnej. Pracował w prewencji.

– Skąd ta znajomość?

– Rafał miał maszyny do gier i ja mu pomagałem. Potrafił się odwdziaczyć. Co chciałem, to miałem: kogoś sprawdzić, namierzyć po telefonie, gdzie co jest albo gdzie ktoś mieszka. Dzwoniłem i nie było problemów z uzyskaniem danych. Rafał przynosił mi cały

wydruk z informacjami o gościu. W zamian za to, jeśli ktoś przyczepiał się do jego maszyn, to interweniowałem.

– **Jak?**

– Jechałem i rozmawiałem, a jak gość nie rozumiał, to brałem chłopaków, jechaliśmy na miejsce i malutki wpierdol dostał. Wtedy już rozumiał.

– **Imprezował pan z policjantami?**

– Czasami razem zabalowaliśmy... to znaczy głównie oni, policjanci, bo przecież ja wódki nie tykam. Ale bywałem z nimi, widziałem to i owo. Pamiętam, jak pokupowali sobie mercedesy i jeździli pijani po Warszawie. Nikt ich nie ruszał, dlatego że wszyscy ich znali i wiadomo było, że to policjanci.

– **Zdarzało się panu załatwiać dzięki tym znajomościom coś poważniejszego niż ustalenie adresu zamieszkania? Na przykład dowiedzieć się, co słyhać w śledztwie, albo skrócić jakąś sprawę?**

– Co do mojej osoby, to nie przypominam sobie, ale Andrzejowi [Korkowi – przyp. aut.] – tak, gdy chodziło o porwanie. Psy z Grójca ukręciły łeb sprawie, postępowanie umorzono. On miał na usługach wielu skorumpowanych policjantów, zresztą ma do tej pory.

– **Mieliście jeszcze innych wpływowych przyjaciół?**

– Pomagał nam pewien BOR-owiec z Mokotowa, funkcjonariusz. Przynosił różne informacje. Chyba chciał się ze mną zaprzyjaźnić, przychodził często i rozmawialiśmy wieczorami.

– O czym?

– Mówił na przykład, że różni tacy przeciwko mnie zeznają, i radził, żeby zrobić z tym porządek. Ostrzegł mnie też, że psy niedługo mnie zamkną. Ja mu na to, że jak zamkną, to człowiek odpocznie sobie od tej ganianiny, bo już na pysk padam. Uważam, że to podchody pode mnie były, żeby im coś powiedzieć... znaczy psom, żeby z nimi – jak to się mówi – współpracować. Jak inaczej to tłumaczyć, że ktoś taki sam do mnie przychodzi z informacjami? Jak mnie tylko widzi, to zatrzymuje się i zagaduje. Konfidenta chciał ze mnie zrobić: on mi coś powie – ja mu coś powiem.

– Innym grupom z gangu mokotowskiego też pomagali?

– Wojtasom na przykład, to znaczy przy porwaniach organizowanych przez Wojciecha S., ps. Wojtas, i jego ekipę. Warszawscy policjanci byli zamieszani w kilka porwań z udziałem grupy mokotowskiej. Ich udział polegał na wskazywaniu, kogo mamy porwać, potem zacieraniu śladów i wyciszaniu sprawy.

– Podczas procesu gangu obcinaczy palców okazało się, że przesłuchiwany przez sąd w charakterze świadka policjant ze specjalnej grupy powołanej do ścigania porywaczy zgłosił się do rodziny jednej z ofiar, oferując pomoc w pertraktacjach z porywaczami, zanim ta rodzina zgłosiła policji porwanie...

– No więc sama pani widzi, co się działo. I sędzia Piwnik to odkryła, dlatego uniewinniła oskarżonych. Nie chodzi o to, że oni byli święci, ale że policja i prokuratura nierzetelnie zebrały dowody. I sędzia Piwnik nie bała się wydać takiego wyroku, chociaż

wiedziała, że będzie za to krytykowana. Wielki szacunek dla niej, to jedyna sprawiedliwa sędzia od takich spraw. Jak są mocne dowody – posyła ludzi do więzienia na długie lata, a jak śledztwo zostało spartaczone – wypuszcza na wolność. Tak się stało z obcinaczami palców. Na ławie oskarżonych zabrakło w tamtym procesie policjantów. Taka prawda...

– ...że do potęgi grupy mokotowskiej rękę przyłożyła policja?

– Dokładnie, na tym się to wszystko opierało. W taki sposób można budować wszystko. Robić wszystko i nie odpowiadać za nic.

"Wojtasy" na fali, czyli porwania 2003-2005

„Słuchaj huju jebany kłamczuchu przestań mi pierdolić że nie było psuw bo mnie wkurwisz bardziej i ujebie jej tego palucha dla samego przykładu dla nas nie ma problemu”.

(jedna z wiadomości wysłana rodzinie kobiety uprowadzonej przez "Mokotów", pisownia oryginalna)

Działali jak fabryka, jak kombinat zbrodni, w poczuciu całkowitej bezkarności. Stawiali się ponad prawem i ponad życiem, jakby ich rządy miały trwać wiecznie. Nie bali się ani konkurencji, ani policji. W strukturach mokotowskich tworzyli najbrutalniejszą i najbardziej hermetyczną grupę. Właśnie dlatego wciąż tak trudno udowodnić im popełnione zbrodnie. Kiedy w 2006 roku oficjalnie mówiono o 21 porwaniach i co najmniej 7 mln zł wypłaconych okupów, nieoficjalnie szacowano czarną liczbę. W rzeczywistości uprowadzeń mogło być dwa lub nawet trzy razy tyle.

Nie zapłacisz, to go zabijemy

– Stoję pod Piasecznem, silnik nie zapala, chyba trzeba odholować. Może pan szybko przyjechać? – Męski głos w słuchawce wydawał się podenerwowany.

– To chwilę potrwa, widzi pan te korki, ale damy radę, zaraz ktoś po pana wyjedzie – uspokajał kierowcę właściciel serwisu. – Proszę w miarę dokładnie opisać swoje położenie.

Rozmawiali krótko. Mechanik uruchomił lawetę i wyruszył w stronę Piaseczna. Pod lasem na parkingu dostrzegł młodego mężczyznę stojącego obok mercedesa z otwartą maską. Wymachiwał rękami, sygnalizując, że to on potrzebuje pomocy. Mechanik zjechał z trasy, zaparkował lawetę, nie wyjmując kluczyków ze stacyjki. Podeszedł do mercedesa, przywitał się z klientem i zajrzał do środka auta.

Silny cios w tył głowy ściał go z nóg. Musiał na moment stracić przytomność, bo kiedy się ocknął, czuł na sobie wiele rąk. Te ręce przerzucały go do innego samochodu i owijały głowę taśmą. Z trudem chwycił powietrze, paraliżował go strach. Nic nie widział, bo oczy już miał szczelnie zaklejone.

Jechali w kompletnej ciszy, więc nie mógł się zorientować, ile osób jest w środku. Ale starał się liczyć czas. Podróż trwała jakąś godzinę, może trochę dłużej. Kiedy silnik zgasł, ręce wyciągnęły go z auta i pchały przed siebie. Mężczyznę wprowadzono do jakiegoś budynku i przykuto do metalowej rurki. Wtedy zrozumiał, że został porwany.

Sygnal SMS-a zabrzmiał w środku nocy. Brat mechanika odczytał wiadomość: „Mamy Wojtka. Chcemy 150 tys. euro. Jak nie zapłacisz, to go zabijemy”.

Brat nie miał takich pieniędzy. W ogóle nie miał pieniędzy! Chciał błagać o uwolnienie Wojtka, ale skontaktowanie się

z porywaczami nie było możliwe. Korzystali z komórek tylko raz, nie można było do nich oddzwonić.

Odezwali się po tygodniu. Nie chcieli zejść z ceny. Sytuacja stawała się beznadziejna, ponieważ rodzina nie była w stanie zgromadzić żądanej kwoty.

Po dziesięciu dniach porywacze nieoczekiwanie uwolnili mechanika, nie biorąc za niego żadnego okupu. Wywieźli go do lasu koło Wyszkowa i tam porzucili. Zakrwawionego, pobitego, ale żywego.

Inne ofiary gangu nie miały tyle szczęścia – co najmniej dwóch zakładników nie żyje, los trzeciej osoby wciąż jest nieznan.

Prasa o porwaniach dla okupu:

„Wśród wszystkich gangów uprowadzających ludzi najgroźniejsza, najbardziej bezwzględna jest bodaj grupa mokotowska.

– Świetnie zorganizowana, każdy w niej wiedział, co ma robić – opowiada jeden z oficerów wydziału do walki z terrorem. W tej grupie jedne osoby były odpowiedzialne za samo porwanie, inne za przetrzymywanie ofiary, kolejne za prowadzenie negocjacji.

Gangsterzy porywali dzieci polskich bogaczy, przedstawicieli klasy średniej i obcokrajowców niemal hurtowo. Jedna z porwanych kobiet, przetrzymywana w opustoszałym domu pod Warszawą, zeznała, że słyszała, jak jej oprawcy wprowadzali do pozostałych pomieszczeń inne ofiary, jak wyprowadzali z domu tych, za których zapłacono już okup. – To przypominało linię produkcyjną – opowiadała. W ciągu trzech lat grupa zarobiła na uprowadzeniach ponad 9 milionów złotych. Najmniejszy okup,

jakiego zażądali bandyci, wyniósł 100 tys. złotych, największy – milion euro.

Schemat porwań dokonywanych przez «Mokotów» był zawsze podobny: gangsterzy przebrani za policjantów zatrzymywali upatrzoną ofiarę do kontroli drogowej, kazali wysiąść z wozu, obezwładniali i wrzucali do furgonetki. Mieli kurtki z nadrukiem «Policja», na dachu nieoznakowanego wozu policyjnego koguta. Świadkowie porwania i sama ofiara byli przekonani, że mają do czynienia z autentyczną akcją oficerów operacyjnych.

Policjanci opowiadają, że z żądaniem okupu bandyci zgłaszają się najczęściej dwa–trzy dni po porwaniu. Czekają, aż rodzina ofiary skruszeje. – Nie dzwonią, wiedzą, że wtedy możemy nagrać ich głos, najczęściej wysyłają informację za pomocą SMS-a – mówi nam jeden z warszawskich policjantów, wyszkolony do negocjacji z porywaczami. Żądają zawsze więcej, niż w rzeczywistości spodziewają się wziąć. Czasem podczas negocjacji udaje się zbić cenę okupu nawet o połowę. Nie zawsze jednak bandyci (z obawy przed wpadką) decydują się odebrać pieniądze. I nie zawsze podjęcie przez nich okupu jest gwarancją, że porwany wróci do domu.

– Porwani byli traktowani wyjątkowo brutalnie. Bandyci owijali im głowy workiem i drutem kolczastym. Na rękach wypalali wulgarne wyrazy, skórę pod oczami smarowali kwasem solnym – opowiada oficer policji.

Oficer z wydziału terroru przyznaje, że z takim okrucieństwem nie spotkał się nigdy. Porywaczom było wszystko jedno, czy zakładnik przeżyje. Wielu z nich miało już na koncie zabójstwa, więc pozbawienie kogoś życia nie stanowiło dla nich problemu. Zabijali zresztą wspólnie – bo ten, kto zamorduje, nie może

zostać świadkiem koronnym. Wspólnie torturowali. – Czasem mam wrażenie, że świat zwariował, że ludzie staczają się coraz niżej – mówi z obrzydzeniem policjant”.

(Violetta Krasnowska, Okup albo śmierć, "Newsweek", 12.02.2006)

Dwóch cholernie mocnych ludzi

Wielu członków gangu jest dziś za kratami, kilku – wciąż na wolności. Prokuratorzy nie odpuszczają starych spraw z ich udziałem, sukcesywnie stawiając nowe zarzuty. Ci, którzy w hierarchii gangu stali najwyżej, przez lata śledztw i procesów konsekwentnie do niczego się nie przyznają. Jednym z nich jest Wojciech S., ps. Wojtas, z zawodu mechanik silników spalinowych, urodzony w 1974 roku. Za kratami jest żywą legendą. Więźniowie mówią, że z jego bandycką odwagą i przebojowością można by z gangsterskiej Polski uczynić drugą Sycylię.

– Typ mafiosa, nieprzewidywalny w brutalności, szedł do przodu jak burza – opisuje Wojtasa człowiek z półświatka. – Jednej rzeczy mu zabrakło – ostrożności procesowej. Nie przewidział, że zbrodnie wychodzą nawet po latach, a strach przed dożywociem kruszy największe przyjaźnie. Prawdopodobnie nigdy już nie wyjdzie na wolność, bo to Wojtasowi przypisywane są ostatnio policyjne „wykopki” [wykopywanie po latach ofiar gangsterskich egzekucji – przyp. aut.].

Żona mokotowskiego bossa, Andrzeja H. Korka, zapamiętała Wojtasa inaczej niż jego koledzy po fachu. „Miły, spokojny chłopak, bardzo grzeczny, ale może przez cały czas przede mną się kamuflował” – zastanawia się, gdy wspominam w rozmowie

o przypisywanej Wojciechowi S. brutalności.

Za równie ważnego w hierarchii uchodził Grzegorz K., ps. Ojciec (w grupie nazywano go Kiełas), znacznie starszy od Wojtasa i jego żołnierzy. Wybił się na lidera po aresztowaniu Wojciecha S. To były sołtys z Brzózek w gminie Stoczek Węgrowski, który wiejskie życie zamienił na karierę w gangu porywającym dla okupu. W półświatku zyskał sławę brawurową kradzieżą broni z jednostki wojskowej na Bemowie. Sprawa ta była aż trzykrotnie kierowana do sądu. Za każdym razem akta wracały do prokuratury z całą listą do uzupełnienia. Po siedmiu latach ostatecznie sprawę umorzono.

Oficjalnie do dziś nie wiadomo, kto miał tyle tupetu, by okraść 42. pułk lotniczy z 75 pistoletów, 828 sztuk amunicji i 148 magazynków. Kradzież była wręcz filmowa: kiedy trzech wartowników bawiło się na dyskotecę, a oficer dyżurny uciał sobie drzemkę, nieznani sprawcy dostali się na teren jednostki przez dziurę w płocie, a do magazynu z uzbrojeniem – przez okno w szatni. Nieoficjalnie przyznawano, że mózgiem operacji był rolnik z Siedleckiego – jak przedstawiano wówczas Grzegorza K. – ale „z uwagi na brak podstaw do oskarżenia” i umorzenie śledztwa nie będziemy zajmować się plotkami.

„Grzegorz K. nawet spod ziemi potrafił załatwić broń. Budził respekt. Cwany jak lis, ze wszystkiego wyciśnie pieniądze, nawet z umarłego” – usłyszeliśmy w półświatku. Mokotowiakiem stał się dzięki starej znajomości z Korkiem. Przed laty obaj siedzieli razem na Białolece. Grzegorz K. miał za sobą udział w głośnej strzelaninie pod hurtownią Makro Cash, o której starzy policjanci mawiają, że zapoczątkowała erę bandyckich porachunków w Polsce. Był rok 1996. Grupa pruszkowska porwała dwóch żołnierzy Dziada i postawiła twarde warunki za ich uwolnienie. Chcieli dolarów

i narkotyków. Grzegorz K. pojechał na spotkanie z pruszkowskimi, aby się z nimi dogadać. Tak się dogadywali, że zaczęli do siebie strzelać. Grzegorz K., ps. Ojciec, został ranny i trafił za kraty. Prokuratura uznała, że pojechał pod Makro Cash, aby porwać pruszkowskich i wymienić ich na ludzi Dziada.

Grzegorz K. podsuwał Korkowi nazwiska przedsiębiorców, na których można było zarobić (w bandycki sposób). Najpierw sięgnęli po klasę średnią, towarzysko powiązaną z półświatkiem, czym tylko zaostrzyli sobie apetyt. Zaraz potem zaczęli nękać biznesmenów prowadzących całkiem legalne interesy.

Syn Dziada płaci okup

Do biura przedsiębiorcy z Ząbek wpadli jak burza. Było ich czterech, może pięciu. Wszyscy w kominiarkach, czarnych kombinezonach i kamizelkach z napisem „Policja”. Silnym ciosem w głowę powalili na ziemię klienta biura. Mężczyzna stracił przytomność, a kiedy się ocknął – nikogo nie było.

Chrysler voyager, do którego wrzucono przedsiębiorcę, mknął w tym czasie do jednej z kryjówek. Po 80 minutach wszyscy przesiedli się do innego auta. Przejechali kilka kilometrów.

Po 10 minutach zatrzymali się i zaprowadzili go do jakiegoś budynku – ustalono kilka lat później w śledztwie prowadzonym przez Wydział ds. Przeszłości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Apelacyjnej w Warszawie. Tam został dotkliwie pobity, a jeden z porywaczy zażądał od niego dwóch milionów dolarów. Powiedział, że nie ma takich pieniędzy i że może je ewentualnie zdobyć jego znajomy Paweł.

Trzymali go kilka dni – w łazience, z zaklejonymi ustami, zasłoniętymi oczami, przykutego do haka wbitego w ścianę. Kiedy stracił nadzieję, że wyjdzie stamtąd żywy, porywacze zerwali mu taśmę z ust i podsunęli dyktafon, a następnie nagrali wiadomość adresowaną do bliskich. Błagał żonę i Pawła, by im zapłacili.

Z żądaniem okupu zadzwonili dopiero po kilku dniach. Oznajmili, że chcą zapłaty w dolarach. Dostali 138 tysięcy. Torbę z pieniędzmi przejęli w lesie, przy drodze z Zielonki do Warszawy. Żona przedsiębiorcy nie zgłosiła porwania. Bała się, że jeśli się nie podporządkuje narzuconym regułom, męża może spotkać coś znacznie gorszego.

„Po pięciu dniach zarzucili mi worek na głowę, zaprowadzili do jakiegoś budynku, a potem do samochodu – mówił prokuratorowi przedsiębiorca. – Wieźli mnie jakieś pół godziny, a potem zostawili w lesie. Tam przyjechała moja żona i Paweł N.”

Przyjaciel, który wyłożył pieniądze na okup, był znanym w okolicy deweloperem, a prywatnie – synem Henryka N. z Ząbek, słynnego Dziada. Jego ojciec siedział wtedy w więzieniu, a on sam borykał się z własną kryminalną przeszłością. Z czasem Paweł N., ps. Mrówa, ożenił się i starał żyć spokojnie, nie rzucając się w oczy ani policji, ani ludziom z półświatka, unikając jak ognia konfliktów z prawem.

Dziad był dumny z syna. Mówił mi to podczas spotkania w sali widzeń Zakładu Karnego w Czarnem, kilka miesięcy przed swoją śmiercią. Po latach odtwarzam taśmę z wywiadem, jakiego mi wtedy udzielił (zapis całej rozmowy znalazł się w książce *Nowy alfabet mafii*, wydanej w 2013 roku). Henryk N. opowiadał, że Paweł to dobry chłopak i że zależy mu na rodzinie: „W młodości trochę rozrabiał, ale ustatkował się i zaczął pieniądze zarabiać.

Dałem mu milion złotych, żeby od czegoś zaczął. Moje pieniądze – moje prawo mu dać, nieważne, czy ukradłem, czy zarobiłem. On kraść nie musi, miliony same mu wchodzą do kieszeni za te domy, co je buduje. W gazetach wypisują, że to wszystko lewizna, że dzieci mafii przejmują interesy ojców, ale szkoda mi język strzępić, bo to wszystko nieprawda jest” – mówił Dziad w swoim ostatnim w życiu wywiadzie.

W sierpniu 2007 roku Paweł N. zginął od kul na warszawskim Targówku, przed placem budowy. Miał 33 lata i żonę w zaawansowanej ciąży. Nieoficjalnie jego śmierć wiązana jest z gangiem mokotowskim, do dziś jednak nikomu nie postawiono zarzutów.

Grupa planowała uprowadzenie drugiego z synów Dziada – Roberta. Nad szczegółami porwania pracowali Wojtas i Grzegorz K. Ojciec. Opowiedział o tym śledczym Robert B., ps. Koziół, który jako jeden z pierwszych – w zamian za obietnicę niższego wyroku – poszedł na współpracę z organami ścigania i wymiarem sprawiedliwości.

Nie wiadomo, dlaczego nie doszło do tamtego porwania.

– **Dlaczego nęcano rodzinę Dziada? Za przeszłość ojca?** – pytam człowieka z sąsiedztwa.

– O pieniądze chodziło, o nic więcej. Synowie Dziada handlowali kokainą i nie dzielili się zyskami, a nie byli na tyle silni, żeby mogli sobie pozwolić na niezależność. Nie mieli w świecie przestępczym takiej pozycji jak ich ojciec.

– **Kiedy to Dziad rządził w Ząbkach, nikt mu nie podskoczył...**

– No tak, ale Dziad poszedł do więzienia i nie pozostawił synom praktycznie żadnej ochrony. Wtedy zleciały się sępy. Chłopaki nie mogli zapobiec zagrożeniu, zasłaniając się sławą ojca. Owszem, Dziad dał do ręki broń kilku robotnikom, ale ci nie wiedzieli, jak jej używać.

– **Do porwania Roberta jednak nie doszło.**

– No, nie doszło, ale po latach Robert i tak zaginął.

– **Może wyjechał, schował się gdzieś po śmierci brata, wiedząc, że jego życie może być zagrożone.**

– Może tak było, ja tego nie wiem... Wiem tylko, że chłopak zaginął. Taka to smutna historia rodziny Dziada z Ząbek.

Podwójne cięcie, czyli opatrunek na świeżą ranę

Zaledwie dwa dni przed porwaniem przedsiębiorcy z Ząbek uprowadzono biznesmena z Anina. Przestępcy osaczyli go na ulicy Rzeźbiarskiej. Właśnie odprowadził dziecko do przedszkola, wracał do samochodu. Dochodziła dziewiąta. Z volkswagena sharana wybiegło kilku przebierańców w mundurach. Krzyczeli: „Policja!”, powalili mężczyznę na ziemię, skuli kajdankami, zabrali do auta i odjechali w stronę Głębozcycy. Świadkowie zdarzenia byli przekonani, że na ich oczach rozgrywała się policyjna akcja i właśnie złapano groźnego przestępcę.

Od rodziny zażądali miliona euro. Po raz drugi odezwali się

dopiero po kilku dniach. W aktach sprawy znajduje się lakoniczna informacja, że „żona zaprzestała współpracy z policją”. Ostatecznie za uwolnienie męża zapłaciła 300 tysięcy euro. Wrócił do domu po dwóch tygodniach. Nie chciał rozmawiać ani z policją, ani z prokuratorem. Skruszony członek gangu opowiedział, jak wywiózł ofiarę do kryjówki i pilnował wraz z innymi „Wojtasami”. Przy podziale okupu dostał 10 tysięcy euro w banknotach po 500 euro. Z jego relacji wynika, że wytypował biznesmena i go śledził sam Grzegorz K., ps. Ojciec. Obserwację prowadził z niepozornego fiata seicento, w którym zainstalował profesjonalną radiostację.

Policjny nasłuch Grzegorza K. przydał się porywaczom jeszcze nie raz. Rodziny ofiar, przekonane o powiązaniach przestępców z funkcjonariuszami, wolały milczeć, niż narażać siebie i bliskich na zemstę.

O strachu, jaki latami towarzyszył ofiarom, opowiedział w programie *Uwaga!* porwany i katowany przedsiębiorca spod Warszawy. Wystąpił anonimowo, nie ujawniając szczegółów, które mogły go identyfikować. W chwili, gdy stanął przed kamerą, od dramatycznych wydarzeń dzieliły go dwa lata. Wspomnienia sprawiały jednak, że łamał mu się głos.

Rozmawiam z autorem reportażu, doświadczonym dziennikarzem śledczym Krzysztofem Spiechowiczem, współautorem m.in. cyklu dokumentalnego *Alfabet mafii*, emitowanego w TVN.

– W zeznaniach wielu ofiar, z którymi zapoznawałam się w sądzie, powtarza się element bicia i okrucieństwa. Czytając akta, można odnieść wrażenie, że pokrzywdzeni nie chcieli opisywać szczegółów. Jakby wypierali wspomnienia.

– Spośród siedemnastu pokrzywdzonych, którzy złożyli zeznania, tylko dwie ofiary zdecydowały się na rozmowę przed kamerą. Mężczyzna, który pierwszy zdecydował się na udział w programie, robił za żywy worek treningowy. Porywacze trenowali na nim boks i karate. „Ludzie, zadzwóńcie do mojej żony! Przecież dostaniecie pieniądze, nie musicie bić!” – błagał swoich oprawców, ale oni katowali go dalej, chyba z nudów.

– **Albo dla przyjemności.**

– Trudno wytłumaczyć takie okrucieństwo. Ale w sumie on i tak miał wiele szczęścia, ponieważ stracił trzy zęby, a nie palce, no i wyszedł z tego żywy.

– **Kto podpowiedział porywaczom, że można na nim zarobić?**

– W tym przypadku to byli sąsiedzi. Zazwyczaj tak się dzieje, że do porwania przyczynia się ktoś z bliskiego otoczenia ofiary. Ten mężczyzna prowadził firmę budowlaną, rzeczywiście był zamożny i okup mógł być wypłacony niemal od ręki. Ale przestępcy trzymali go jeszcze tydzień od czasu, gdy rodzina przyjęła ich żądania.

– **W jakich warunkach był przetrzymywany?**

– W wannie, w jakimś małym pomieszczeniu, prawdopodobnie w łazience. Cały czas miał zasłonięte oczy, ale udało mu się ustalić, w jakiej może być miejscowości.

– **Usłyszał rozmowę porywaczy?**

– Usłyszał lokalną stację radiową o małym zasięgu, która nadawała tylko w kilku miejscowościach. To mu dało bezcenne wskazówki. Kiedy odzyskał wolność, zatrudnił ludzi, którzy odnaleźli tamten dom.

– Jak to możliwe? Przecież miał zasłonięte oczy.

– Przez chwilę widział element dachu i jako budowlaniec zwrócił uwagę na coś, co laikowi nic by nie mówiło. Prawdopodobnie w tym samym miejscu przetrzymywano drugiego mężczyznę, z którym rozmawiałem [we Władysławowie pod Grodziskiem Mazowieckim, jak ustaliła prokuratura – przyp. aut.]. To był biznesmen z Piaseczna, zarabiał na wypożyczaniu samochodów do filmów. Bili go młotkiem po głowie, śmiejąc się przy tym do rozpuku. Pewnego dnia narzucili mu worek na głowę i podeszli z włączoną piłą mechaniczną, symulując egzekucję. Straszili, że już po nim, bo żona płaci w kawałkach, więc męża też dostanie w kawałkach.

– A ona była wtedy w ciąży, musiała zorganizować 300 tysięcy dolarów na okup.

– Temu mężczyźnie dwukrotnie obcinano ten sam palec. Najpierw sekatorem odcięli kawałek, a ponieważ rana się babrała, zastosowali środek odkażający, który – jak głosiła instrukcja – miał być zaaplikowany na świeżą ranę. No więc podcięli palec drugi raz, żeby rana była świeża.

– Czy rodziny twoich rozmówców zgłosiły się po pomoc do policji?

– Tak, korzystały z pomocy negocjatorów, ale przynajmniej

w przypadku tego pierwszego mężczyzny miały zastrzeżenia co do kompetencji zaangażowanych w negocjacje funkcjonariuszy.

Fragment relacji uprowadzonego biznesmena (z reportażu Krzysztofa Spiechowicza):

„Bicie, zrywanie paznokci, próby wyrywania zębów czy przypalanie – to było na porządku dziennym. Podczas każdej rozmowy z rodziną w celu wymuszenia okupu byłem bity. Chodziło im o to, aby rodzina to słyszała i sytuacja wyglądała bardziej dramatycznie.

Kompetencje policji przy tej sprawie były zastanawiające, a właściwie żenujące, poniżej wszelkiej krytyki. Przy pierwszej próbie przekazania pieniędzy – co miało się odbyć pod kontrolą pracowników policji – funkcjonariusze potrafili zapomnieć o uzupełnieniu baterii urządzenia, przez które mieli utrzymywać kontakt z osobą przekazującą okup. Byli zupełnie dezorientowani. Pierwsze przekazanie okupu się nie powiodło, ponieważ porywacze się zorientowali. Z relacji mojej rodziny wynikało, że byli zorientowani już w momencie, kiedy to wszystko się zaczynało.

Drugie podejście do przekazania okupu odbyło się bez udziału policji. W momencie przekazania pieniędzy oni ewidentnie wiedzieli, że tym razem nie ma policji, czuli się swobodnie. Ogólne wrażenie jest takie, że niekompetencja policji jest przeolbrzymia, za to porywacze wiedzieli, co się dzieje u mnie w domu.

W aktach sprawy nie było nawet zapisu negocjacji. Policjanci po prostu tego nie spisywali, taka jest prawda. Nie wpisali SMS-ów, które były wysyłane, nagrań telefonów do domu. Po sprawie

nikogo nie interesowało, co się dzieje z kasetą w magnetofonie podpiętym pod linie telefoniczne. Widać treści rozmów nie były potrzebne. Także opieka ze strony policji była zerowa: żadnych psychologów, a negocjatorów najpierw było trzech, potem wszyscy porozjeżdżali się do domów. Totalne braki sprzętowe i brak kompetencji. Zbiegów okoliczności była – moim zdaniem – olbrzymia ilość”.

Trzy palce Hitange

Kiedy bogaty Hindus, prezes firmy tekstylnej spod Raszyna, usłyszał zniekształcony głos w słuchawce: „Mamy twojego brata, dwa miliony euro za jego życie”, pomyślał, że to niedorzeczny żart. Jego brat stał obok. Właśnie omawiali w gabinecie strategię firmy. Obaj przyjechali do Polski z Indii. Interesy szły nieźle, z roku na rok bracia pomnażali zainwestowany kapitał.

Był 20 kwietnia 2004 roku. Tybetańczyk Harish Hitange, współpracownik Hindusów, wyjątkowo skorzystał tamtego dnia ze służbowego auta prezesa. Wyjechał pozałatwiać sprawy biznesowe, miał wrócić niebawem, ale już nigdy nie dotarł do firmy. Porywacze dość szybko zorientowali się, że „zawinęli nie tego Hindusa co trzeba”.

Pomysł, żeby porwać prezesa zakładów tekstylnych spod Raszyna, podobno podsunął Andrzejowi H. Korkowi sam Marek M. Żyd, którego poznaliśmy przy sprawie przemytu kokainy. Żyd bywał w domu Hindusów, generalnie utrzymywał kontakty z obcokrajowcami prowadzącymi firmy w stolicy. Uchodził za poważnego biznesmena, chwalił się szerokimi kontaktami, znał

kilka języków. Kiedy dowiedział się o pomyłce, podobno kpił z ludzi Korka, jakie to z nich patałachy, a nie gangsterzy. Ostatecznie wszyscy machnęli ręką na błąd w sztuce. „Hindus to Hindus czy inny Tybetańczyk. Nieważne jaki – ważne, aby dostać za niego pieniądze” – skwitowali pomyłkę porywacze i zadzwonili z żądaniem okupu.

Ani rodzina, ani ambasada Indii w Warszawie nie były w stanie spełnić ich żądań. Żona Tybetańczyka za pośrednictwem polskiej telewizji apelowała do porywaczy, aby dali jej trzy tygodnie na zebranie pieniędzy. „Mój mąż jest człowiekiem pełnym radości, pełnym życia, radosnym i serdecznie nastawionym do ludzi – mówiła przed kamerami *Magazynu Kryminalnego 997*. – Ma wielu przyjaciół, łatwo też nawiązuje kontakty. Dlatego przyjechał do Warszawy i spotkał tu wielu przyjaciół”.

Porywacze nie byli zainteresowani, jakim Hitange jest człowiekiem i czy ma wielu przyjaciół. Interesowali się wyłącznie pieniędzmi, jakie mogli za niego dostać. W odpowiedzi na apel żony przesłali jej palec męża. Policyjny negocjator Dariusz Loranty z Komendy Stołecznej Policji, który zawoził kobiecie makabryczną przesyłkę, obawiał się o życie zakładnika. „Zauważyłem, że palec odcięty był nieprofesjonalnie, bo fachowcy tną w przegubach – tłumaczył w jednym z programów telewizyjnych. – Przecinanie kości powoduje silne krwawienie i ciężko przeżyć nawet po jednym cięciu”.

– Niszczyli skutecznie opór rodzin – ocenia ich działania po latach były policjant. – Okaleczanie ofiar było elementem pseudowięzi łączących sprawców. Jeden obcinał, drugi docinał, taka braterska odpowiedzialność grupowa. Popisywali się, na co ich stać, nawet we własnym gronie.

Hindusi w Polsce byli solidarni z bliskimi Hitange, wspólnymi siłami zbierali 800 tysięcy dolarów. Ale kwota, jakiej zażądali porywacze, była znacznie wyższa. „Okup w kawałku, człowiek też w kawałku” – odpowiedzieli rodzinie.

Ostatni SMS od porywaczy nadszedł po trzech miesiącach od porwania. Hindusi mieli nadzieję, że to tylko kolejna przerwa w negocjacjach. Wcześniej też były ciche tygodnie. Do przekazania pieniędzy nie doszło. Policyjny negocjator, podszywający się pod pracownika firmy tekstylnej Hindusa, odebrał wkrótce następną przesyłkę. Były w niej kolejne dwa palce Tybetańczyka. Prawdopodobnie zostały mu odcięte już po śmierci. Harish Hitange chorował na hemofilię, zapewne wykrwawił się na śmierć. Jego los do dziś oficjalnie pozostaje nieznany (choć niedawno, za sprawą śledztwa Prokuratury Okręgowej w Płocku, pojawiła się nadzieja na rozwikłanie i tej zbrodni).

Prokurator też ma listę, czyli polowanie na mokotowskich

Kilka miesięcy po porwaniu Hitange...

Ciężka noc starszego aspiranta

Policyjna akcja pod kryptonimem „Benek”, realizowana 20 października 2004 roku przez Wydział do Walki z Terrorem Kryminalnym KSP, mogła wyglądać jak przypadkowy pościg za pijanym kierowcą (z radiowozami na kogutach i blokadami na drogach), ale była skrupulatnie zaplanowana i stanowiła operację najwyższego ryzyka. Wszyscy jej uczestnicy wiedzieli, że przeciwnik nie rozstaje się z bronią i nie będzie miał oporów, aby strzelać do funkcjonariuszy.

Niezbędne procedury „papierkowe” ograniczono do minimum. Nawet stosowna notatka służbowa sporządzona na potrzeby śledztwa trafiła do akt dopiero wtedy, gdy ryzyko przecieku już nie istniało, zagrożony człowiek był bezpieczny, a przestępcy znaleźli się pod kluczem. „W wyniku czynności operacyjnych ustalono

członków grupy przestępczej, która zajmuje się uprowadzeniami dla okupu. W dniu 20 października 2004 roku sprawcy planowali dokonanie kolejnego uprowadzenia nieznanej osoby. Z ustaleń wynikało, że mają się spotkać o godz. 19 w miejscu zamieszkania jednego z członków grupy przestępczej [tu adres]. W związku z powyższym zaplanowano zatrzymanie sprawców po uprzedniej ich obserwacji oraz ustalonych pojazdów”.

Tamtego dnia grupa mokotowska zaplanowała porwanie najemcy sklepu całodobowego przy Stalowej. Paweł Sz., znany jako Siwy, bo o nim mowa, nie był szczególnie zamożny. Celem stał się z innego powodu. Niedawno zwolnił z pracy personel odpowiedzialny za manko w sklepie, a o wynoszenie towaru oskarżył ekspedientkę, której syn miał znajomości w półświatku. W rozmowie z Siwym oburzona oskarżeniami kobieta oznajmiła, że numer telefonu do sklepu przekaze synowi przebywającemu w więzieniu. „Od tego momentu – zapowiedziała – syn będzie reprezentować moje interesy w sporze z pracodawcą”.

Na efekty tej reprezentacji nie trzeba było długo czekać. Nieznani sprawcy spalili Siwemu samochód. Zaczęły się też telefony z pogroźkami. „Puszczę z dymem twój sklep, skurwysynu, a potem ciebie przewiozę” – zapowiedział głos w słuchawce.

„Zrozumiałem to tak, że wywiozą mnie do lasu i będą ciągnąć za samochodem – powiedział policji przerażony sklepikarz. – Domyślałem się, że dzwoni do mnie syn tej pani”.

Od tamtej pory Siwego nie opuszczało przeświadczenie, że jest obserwowany. Krótco po groźbach przydarzyło mu się – jak to później określił w rozmowie z policjantami – coś dziwnego. Pewna kobieta, którą znał z widzenia, siedziała w pobliskim pubie z kilkoma umięśnionymi mężczyznami. Zajmowali stolik pod

parasolem, a gdy sklepikarz przechodził tamtędy, ukłonił się kobiecie, jak to miał w zwyczaju. Zamiast mu odpowiedzieć, szepnęła coś kompanom, wyraźnie wskazując głową na Siwego. Przyglądali mu się w milczeniu, jakby chcieli zapamiętać każdy szczegół jego wyglądu.

Tydzień później rozegrały się wydarzenia opisane w śledztwie jako policyjna akcja pod kryptonimem „Benek”. Tuż przed dziewiętnastą pod blokiem jednego z członków grupy Wojtasa pojawił się samochód Grzegorza K. Ojca. W mieszkaniu na piętrze miało dojść do spotkania porywaczy, ale Ojciec nie wszedł na górę, jak spodziewali się tego policyjni wywiadowcy. Wyłączył silnik i czekał na kogoś w samochodzie.

Po kilku minutach z bramy wyszedł Artur K. – jeden z mokotowskich żołnierzy. Wsiadł do samochodu Ojca i obaj pojechali do Ząbek na spotkanie z Wojtasem. W Ząbkach nie zabawili długo, niebawem wszyscy wyruszyli dwoma autami w stronę Warszawy. W McDonalddie przy Radzymińskiej czekał na nich czwarty z bandy – Tomasz R. W takim składzie wyruszyli na obserwację najemcy sklepu. Jechali za Siwym, gdy wybrał się na zakupy do Selgrosa na Modlińskiej. Siedzieli mu na ogonie w drodze powrotnej do jego sklepu. Ten sam scenariusz powtórzyli późnym wieczorem, kiedy Siwy wyjechał do matki na Nowolipki.

Zaplanowali, że tam go porwą.

„Pod blokiem, gdy wysiadałem z samochodu, usłyszałem, jak ktoś biegnie w moim kierunku – powie kilka godzin później podczas nocnego przesłuchania w komendzie policji. – Instynktownie odwróciłem się w tę stronę, skąd dobiegały odgłosy. Zobaczyłem czterech mężczyzn. Jeden z nich krzyknął: «Policja! Idziesz z nami». Zapytałem: «Za co?», usłyszałem, że dowiem się na miejscu. W tym samym czasie dwóch mężczyzn wzięło mnie pod pachy. Zaczęli mnie prowadzić do stojącego samochodu. Czwarty mężczyzna szedł z tyłu, zabrał z ziemi upuszczoną przeze mnie

siatkę. Pierwszy poganiał: «Dawaj go, szybko! Dawaj do samochodu». Spytałem, o co chodzi, na co ten pierwszy: «Kurwa, nie wiesz, o co chodzi?!», i uderzył mnie pięścią w twarz. Wtedy nabrałem pewności, że oni nie są policjantami”.

Prawdziwi policjanci byli w pobliżu, jednak wstrzymywali się z interwencją.

– Gdyby nie wytrzymali ciśnienia i zbyt szybko włączyli się w wir wydarzeń, adwokaci bez trudu obaliliby zarzut usiłowania porwania, a sąd nie miałby podstaw do zastosowania aresztu. Dlatego w takich sytuacjach wywiadowcy czekają na sygnał dowódcy – tłumaczył mi pracownik operacyjny policji, gdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego funkcjonariusze narażają obiekt obserwacji na stres i poturbowanie.

Z notatki służbowej starszego aspiranta z Wydziału do Walki z Terrorem Kryminalnym KSP o przebiegu akcji „Benek”:

„Polecenia były wydawane telefonicznie. Każdorazowo musiałem je przedstawiać – przez telefon lub osobiście – towarzyszącej nam załodze Zarządu Operacji Antyterrorystycznych Komendy Głównej Policji. To sprawiło, że nie byłem w stanie rejestrować upływającego czasu i notować wydawanych poleceń. Około godz. 23.20 otrzymaliśmy polecenie udania się w kierunku mostu Śląsko-Dąbrowskiego w celu odnalezienia samochodu Dodge, którym poruszają się sprawcy. W środku miał się znajdować uprowadzony mężczyzna. W przypadku zauważenia go mieliśmy dokonać zatrzymania samochodu i wszystkich poruszających się nim osób”.

Siwy przeżywał wtedy najgorsze chwile w życiu:

„Ci dwaj, trzymając mnie pod pachy, siłą pochyłili moją głowę i zaczęli mnie wpychać do środka – relacjonował podczas przesłuchania. – Nogi mi się zaplątały i przekręciłem ciało. Zobaczyłem twarz jednego z nich. Kiedy mu się przyglądałem, to zostałem bardzo mocno uderzony w klatkę piersiową. Wtedy usłyszałem dobiegające z oddali krzyki: «Policja!», potem głośny huk. W pierwszej chwili sądziłem, że to są ich koledzy. Byłem na wpół w samochodzie, gdy ten pierwszy powiedział: «Spierdalamy, policja. Jedź prosto, może tam będzie wyjazd». Samochód ruszył. Moje nogi były jeszcze na zewnątrz”.

Na spotkanie z porywaczami wyruszył starszy aspirant z Wydziału do Walki z Terrorem Kryminalnym KSP, którego relacja z akcji „Benek” znalazła się w pierwszym tomie obszernego śledztwa przeciwko bandzie Wojtasa. Zerknijmy do akt, aby sprawdzić, czy policyjne zasadzki i pościgi wyglądają równie efektownie jak w filmach.

Policyjnej notatki ciąg dalszy:

„Na moście Śląsko-Dąbrowskim otrzymałem polecenie udania się w okolice tunelu Trasy W-Z w celu urządzenia zasadzki na samochód Dodge. Po dotarciu na miejsce i kilku minutach oczekiwania otrzymałem polecenie udania się w kierunku skrzyżowania Targowa–Solidarności. Kiedy dotarłem na miejsce, otrzymałem polecenie urządzenia zasadzki na placu Bankowym. Zanim tam dotarłem, otrzymałem polecenie penetracji okolic Komendy Stołecznej Policji do linii ulicy Smoczej. W trakcie penetracji otrzymałem polecenie dokonania sprawdzenia zarośli przy cmentarzu Żydowskim, gdzie prawdopodobnie ukrywa się jeden ze sprawców. Zanim dotarłem na miejsce, otrzymałem polecenie dokonania penetracji parku Moczydłowskiego”.

Rozpędzony dodge zabrął w ślepią uliczkę. Porywacze wyskoczyli z auta i rzucili się do ucieczki. Najemca sklepu kulił się z bólu po uderzeniu w brzuch. Wydostał się na zewnątrz na gumowych nogach, oszołomiony i przerażony. Zobaczył nadjeżdżający radiowóz na sygnale. Porywacze znikali z pola widzenia. Pędził za nimi jakiś jeden funkcjonariusz. Pokrzywdzony mężczyzna wreszcie zaczął rozróżniać, kto w tej historii był policjantem, a kto przestępcą. „Jestem ofiarą, a oni chcieli mnie porwać” – powiedział ekipie z radiowozu.

Wojtasa nie było w dodge’u. Uciekał z zasadzki swoim passatem. Zapewne wiedział, że mieszkanie przy Polinezyjskiej, gdzie był zameldowany, jest spalone i psy pojedą tam w pierwszej kolejności. Omijał tamte rejony szerokim łukiem. Policja szukała go u rodziców na Ursynowie, potem u teściów w Płońsku. Na ulicach

rozstawiono blokady. W jednej z nich uczestniczył starszy aspirant, autor – pełnej zwrotów akcji – notatki służbowej.

Oto ciąg dalszy jego relacji:

„W trakcie penetracji parku otrzymałem polecenie dokonania zatrzymania samochodu VW Passat o numerach rejestracyjnych [...], który jedzie od strony ul. Obozowej i w każdej chwili może wjechać na mnie. W trakcie tej rozmowy, zanim zdążyłem sprawdzić pełne numery rejestracyjne z wykazu samochodów, towarzyszący mi policjanci krzyknęli, że w naszym kierunku jedzie ten samochód. Ruszyliśmy za nim w pościg. To był vw passat koloru niebieskiego, o początkowych numerach WY [...]. W okolicy ronda Zesłańców Syberyjskich zatrzymaliśmy go do kontroli. Okazało się, że posiada on zbieżne numery rejestracyjne, różniące się tylko dwiema cyframi, a osoby znajdujące się w samochodzie nie są interesującymi nas osobami. Równocześnie otrzymaliśmy polecenie pilnego udania się na ul. Orlich Gniazd, gdzie widziany był poszukiwany passat. Z uwagi na to polecenie odstąpiłem – z braku czasu – od udokumentowania dokonanej kontroli, przepraszając jedynie osoby za zaistniałą sytuację.

Po dotarciu na ul. Orlich Gniazd otrzymałem polecenie natychmiastowego udania się w okolice Centrum Handlowego Klif i dokonania penetracji okolicznych terenów zielonych, a następnie polecono mi spenetrowanie parku przy ul. Dzielnej po obu stronach alei Jana Pawła II. Czynność tę wykonywałem do godz. 2.30, kiedy otrzymałem polecenie powrotu do Komendy Głównej Policji”.

Aspirant się najeździł, naszukał, napenetrował, a ściganego po ulicach Warszawy passata z Wojtasem zatrzymała inna załoga. Tej samej nocy Wojciech S. i cała reszta trafili za kraty. Prokuratura rozpoczęła zmudne, trwające latami śledztwo. Wielu porywaczy wciąż było na wolności. Czas pokazał, że stanowili śmiertelne zagrożenie.

Kartka z zajęczkiem

„Spokojnych i pogodnych Świąt Wielkanocnych, pełnych miłości

i rodzinnego ciepła” – kartkę tej treści przechwycili funkcjonariusze służby więziennej Aresztu Śledczego na Mokotowie kilka miesięcy po akcji „Benek”. Napisał ją Wojtas, przebywający na oddziale dla niebezpiecznych. Chciał wysłać życzenia do kumpla z celi na Rakowieckiej. Funkcjonariuszy można by posądzić o nadgorliwość, a może nawet złośliwość – bo co komu szkodziło przepuścić świąteczną korespondencję? – gdyby nie dopisek: „Witam! Dalej ten sam skład. Jak w sprawach, coś się zmieniło? Napiszcie, jakie były zmiany. Trzymajcie się!”.

Kartka z zajęczkiem nigdy nie dotarła do adresata.

Siwy, na którym Wojtasowi powinęła się noga, nie był zwykłym sklepikarzem, lecz tzw. małym świadkiem koronnym. Zeznawał w kilku procesach narkotykowych. Obciążał szefa grupy mokotowskiej Andrzeja H. Korka oraz jego następcę Zbigniewa C. Daksa.

Pic na wodę, fotomontaż

Śledztwo przeciwko „Wojtasom” zapoczątkowała Katarzyna Krysiak z Prokuratury Rejonowej Warszawa-Mokotów. Niemal natychmiast w jej gabinecie pojawił się adwokat jednego z zatrzymanych za próbę porwania Siwego. Przyniósł obszerną dokumentację medyczną o fatalnym stanie zdrowia swojego klienta. Przekonywał, że Andrzej K., ps. Koniu, powinien jak najszybciej opuścić celę, gdyż jego nerwy dłużej tego nie zniosą. Z zaświadczeń lekarskich wynikało bowiem, że klient pana mecenasa „już od dzieciństwa był leczony neurologicznie i psychiatrycznie w Poradni Zdrowia Psychicznego dla Dzieci

i Młodzieży Polikliniki MSWiA w Warszawie”, a orzeczenie Rejonowej Komisji Lekarskiej potwierdzało u niego „nerwicę znacznie upośledzającą sprawność ustroju”. Nadto „badaniem neurologicznym stwierdzono u niego nowotwór zlokalizowany w linii pośrodkowej mózgu w okolicy nasiodłowej”, natomiast komisja wojskowa przyznała mu kategorię E, uznając tym samym Andrzeja K. za „stale niezdolnego do służby ze względu na zaburzenia psychiczne”.

Może poborowy Andrzej K. nie nadawał się do wojska, ale w gangu porywaczy odgrywał ważną rolę i z przydzielonych zadań wywiązywał się bez zarzutu. Dlatego pani prokurator nie uwzględniła wniosku adwokata o uchylenie aresztu podejrzanemu, oznajmiając obrońcy rzecz oczywistą, a mianowicie, że o stanie zdrowia jego klienta wypowiedzą się biegli.

Andrzej K. Koniu – wbrew całej dokumentacji skompletowanej przez adwokata – okazał się poczytalny i świadomy swoich czynów. Dwa lata później do sądu trafił akt oskarżenia przeciwko niemu i kilku innym członkom grupy mokotowskiej. Sprawa dotyczyła trzech zabójstw (jedną z ofiar wcześniej porwano). W Prokuraturze Okręgowej w Płocku, która do dziś zajmuje się bogatą działalnością przestępczą Andrzeja K., zapewniono mnie, że specjaliści nie stwierdzili u niego żadnej choroby wykluczającej odpowiedzialność karną. „W toku śledztwa prowadzonego przez Prokuraturę Okręgową w Płocku nie ustalono, aby Andrzej K. był niepoczytalny. W dniu 14 listopada 2016 roku prokurator skierował akt oskarżenia do Sądu Okręgowego w Warszawie, XVIII Wydziału Karnego, przeciwko trzem oskarżonym o czyny dotyczące zabójstwa osoby uprowadzonej oraz dwóch innych osób. Jednym z oskarżonych jest wyżej wymieniony. Żaden z zarzutów jego

dotyczących nie został zakwalifikowany jako popełniony w warunkach art. 31 kk [niepoczytalności lub ograniczonej poczytalności]” – napisała w mailu prokurator Iwona Śmigielska-Kowalska, rzecznik prasowy tamtejszej prokuratury.

Człowiek z twarzą Chrystusa

Śledztwo przeciwko „Wojtasom” objął wkrótce prokurator Krzysztof Kuciński z Wydziału V ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Apelacyjnej w Warszawie. To on ustalił skład gangu odpowiedzialnego za porwania, zdekonspirował kryjówki, w których więziono ofiary, opisał uzbrojenie grupy i – co najważniejsze – wyłonił liderów oraz siatkę powiązań z „cywilami” w terenie.

Nie od razu udało mu się złamać bandycką solidarność. Protokoły z przesłuchań większości zatrzymanych przez długie miesiące pozostawały czystym drukiem. Z czasem kilku twardzieli w obliczu wieloletnich wyroków poszło na współpracę. Oferta prokuratora – niższy wyrok w zamian za istotne informacje w śledztwie o popełnionych przestępstwach – skusiła Michała K., ślusarza z Wołomina z tatuażem twarzy Chrystusa na przedramieniu. Miał wtedy 23 lata. W domu pozostawił żonę z małym dzieckiem. W więziennej celi skrupulatnie policzył czas, jaki pozostałby mu na rodzinne życie po długim wyroku. Ślusarz z tatuażem doszedł do wniosku, że cena za bandycką lojalność, jaką przyjdzie mu zapłacić, może się okazać zbyt wysoka. Kiedy Michał K. przewartościował swoje życie, w protokole z jego przesłuchania pojawił się zapis: „Przyznaję się do zarzucanych mi czynów i chcę złożyć obszernie

wyjaśnienia”. W nagrodę sąd uchylił mu areszt.

Wkrótce policja zrobiła nalot na warsztat samochodowy, gdzie fałszowano tablice rejestracyjne do samochodów wykorzystywanych podczas porwań. Antyterrorysty weszli do mieszkania w Ząbkach, służącego za magazyn broni i mundurów policyjnych. Eksperci godzinami zabezpieczali ślady w „dziuplach”, w których hurtowo przetrzymywano zakładników: w Głębozycy – posesja nr 13, w Jasienicy przy Centralnej 68 i w domu w Halinowie (więziono w nim m.in. kolegę Pawła N., syna Dziada). Na współpracę z prokuraturą, poza człowiekiem z tatuażem twarzy Chrystusa, poszło dwóch kolejnych członków grupy Wojtasa. Wskazali ludzi spoza gangu, bez których trudno byłoby typować „obiekty” do uprowadzenia, zacierać ślady przestępstw i gubić policyjny pościg. Ujawnili, że pomagały im dwie kobiety: 70-letnia Alicja S., z zawodu kosmetyczka, oraz Ewelina B. (załatwiała fałszywe tablice rejestracyjne).

Z perspektywy czasu można pokusić się o tezę, że aresztowania po historii z Siwym były początkiem końca grupy mokotowskiej.

Pięcioletnie śledztwo

Mokotowscy mieli swoją listę, ale prokurator Krzysztof Kuciński też. Ci, którzy się na niej znaleźli, do dziś mają kłopoty. Nawet jeśli wyrozumiałe sądy uchylały sankcje, wypuszczając ich na wolność, to prokuratura nie odpuszczała. Tak długo grzebała w ich bandyckich życiorysach, aż znajdowała powód, by ponownie wnioskować o areszty.

Z akt sprawy:

„Prokuratura Apelacyjna w Warszawie pod sygnaturą Ap. Ds. 118/09 nadzoruje śledztwo w sprawie zorganizowanej grupy przestępczej powiązanej z gangiem mokotowskim, dokonującej m.in. uprowadzeń dla okupu. Zdarzenia dotyczą:

- uprowadzenia i zabójstwa Mariusza M.
- uprowadzenia Harisha Hitange,
- a także:
- Eweliny B. [zaginionej studentki, o której już wkrótce]
- Sławomira D. [przyjaciela syna Dziada – przyp. aut.]
- Włodzimierza W.
- Ryszarda D.
- Wojciecha D.
- Stanisława G.
- Łukasza K.
- Roberta L.
- Sebastiana Świerzyńskiego [syna lidera zespołu Bayer Full – przyp. aut.]
- pozbawienia wolności Pawła Sz. [Siwego]

oraz

- przygotowania do uprowadzenia Roberta N. [syna Dziada – przyp. aut.]

W toku śledztwa, głównie w oparciu o wyjaśnienia Krzysztofa B., ps. Koziół, Michała K. i Stanisława M., ustalono zasady funkcjonowania, struktury i skład grupy, do której – prócz wymienionych – należeli m.in.

- Robert B.
- Artur K., ps. Baron
- Andrzej K.
- Tomasz D.
- Sebastian L., ps. Lepa
- Krzysztof W.
- Tomasz R., ps. Edi
- Oskar Z., ps. Oskar
- Marcin S., ps. Mołek
- Grzegorz K., ps. Ojciec
- Wojciech S., ps. Wojtas”.

Po pierwszych aresztowaniach „Mokotów” błyskawicznie zregenerował siły. Gdy zabrakło Wojtasa, na czele gangu porywaczy stanął Grzegorz K., ps. Ojciec. Obcięte palce stały się znakiem firmowym jego bandy.

Wielowątkowość sprawy, coraz szerszy krąg podejrzanych i coraz dłuższa lista ofiar sprawiły, że prokurator wielokrotnie występował z wnioskami o przedłużenie śledztwa. „Efektem dotychczas prowadzonego postępowania było skierowanie czterech aktów oskarżenia wobec dwunastu członków grupy, dotyczących udziału w zorganizowanej grupie przestępczej i uprowadzeń” – pisał do sądu prokurator Krzysztof Kuciński, tłumacząc długotrwałość procedur.

Akt oskarżenia trafił do sądu dopiero w grudniu 2009 roku, czyli po pięciu latach śledztwa. Zarzuty obejmowały jedynie trzech członków grupy: Wojciecha S., ps. Wojtas, Marcina S., ps. Mołek, oraz Artura N. Arczego (to ten, którego postrzelono w warszawskim Klifie).

O tym, jak Kozła zjadał strach

Przez kolejne sześć lat toczył się proces. Wojtas, Mołek i Arczi do niczego się nie przyznali i nie chcieli składać wyjaśnień, dlatego protokoły przesłuchań z ich udziałem pozostały puste. Obszerne były za to protokoły z przesłuchań trzech skruszonych porywaczy, którym uchylono areszty, a ich sprawy wyłączono do odrębnego postępowania. Jednym z nich był ślusarz z tatuażem twarzy Chrystusa.

– **Znał pan tego gościa z religijnym tatuażem?** – pytam Bajbusa.

– To był zwykły pętaś i ćpun. Nie ta liga, żebym się z nim zadawał. Słyszałem, że zaginął. Wyszedł wieczorem do sklepu

i przepadł bez śladu. Wcześniej napisał list do sądu, że wszystko, co powiedział w śledztwie, to nieprawda i że to wymysły prokuratora. Twierdził, że podpisał się pod protokołami tylko dlatego, że chciał wyjść z aresztu. Myślał sobie, że można tak wszystko odwołać, co się wcześniej powiedziało.

– **Co się z nim stało?**

– Nie ma go i tyle. Pewnie teraz drzewo na nim rośnie, albo i cały las. Zresztą nie on jeden zaginął.

– **Kto jeszcze?**

– A jeden taki, co też dużo mówił. Wybrał się na ryby i nie wrócił.

Czy skruszeni przestępcy w tej sprawie rzeczywiście przepadają bez śladu? O potwierdzenie tych niepokojących informacji (lub ich zdementowanie) zwróciłam się do autora aktu oskarżenia, prokuratora Krzysztofa Kucińskiego, pracującego obecnie w Prokuraturze Okręgowej w Płocku, gdzie kontynuuje śledztwo przeciwko członkom grupy mokotowskiej. W jego imieniu wypowiedziała się prokurator Iwona Śmigielska-Kowalska, rzecznik prasowy:

– W połowie stycznia 2006 roku Michał K. wyszedł z domu i ślad po nim zaginął. Jego zaginięcie zostało zgłoszone na policję w Ząbkach, jednak sprawa poszukiwawcza nie przyniosła efektów do dzisiaj. W sprawie prowadzonej przez prokuratora Krzysztofa Kucińskiego nie ujawniono innych tego typu przypadków.

Zatem jeden, nie dwa przypadki zaginięcia, ale strach skruszonych ten sam. Krzysztof B., ps. Koziół, który jako jeden

z pierwszych złamał znowę milczenia, próbował wycofać się ze złożonych wyjaśnień. Na niewiele się to zdało. Po sześćdziesięciu rozprawach, którym przewodniczył sędzia Marek Dobrosiewicz, w Sądzie Okręgowym Warszawa-Praga ogłoszono wyrok. Wojciech S. Wojtas za „kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą, mającą na celu dokonywanie przestępstw polegających na pozbawianiu osób wolności, przetrzymywaniu ich i osiągnięciu korzyści majątkowych przez zmuszanie rodzin do zapłacenia żądanego okupu za uwolnienie bliskich osób”, dostał wyrok łączny 8 lat. Artur N., ps. Arczi, został skazany na 7 lat więzienia, a Marcin S., ps. Mołek – na 6.

Wyrok jest już prawomocny – w lutym 2017 roku Sąd Apelacyjny w Warszawie utrzymał go w mocy, odrzucając apelacje obrońców. Adwokaci – co łatwo było przewidzieć – próbowali przekonać sąd wyższej instancji, że kary orzeczono na podstawie niewiarygodnych wyjaśnień jednego z porywaczy. Podnosili argument, że Krzysztof B., ps. Koziół, najpierw obciążył swoich byłych współników, a później ze wszystkiego się wycofał, oświadczając na piśmie, że do mówienia nieprawdy zmusili go policjanci. Ale inni świadkowie potwierdzali fakty, o których opowiadał, zanim zaczął się bać. Wtedy Koziół zmienił front, przyznając, że oświadczenie napisał w obawie o własne życie. Na koniec znów sobie zaprzeczył, usiłując wszystko odwołać. Na lawirowanie było już za późno. Sędzia Marek Czecharowski z Sądu Apelacyjnego w Warszawie utrzymał wyroki skazujące, doceniając wagę zeznań innych świadków i rozumiejąc, czym jest ludzki strach.

Nie nazywajcie ich obcinaczami palców

Za sprawą porwania i zaginięcia Tybetańczyka o grupie mokotowskiej zrobiło się głośno nie tylko w kraju, ale i za granicą. Z dziennikarskich relacji wyłaniał się obraz przestępczej organizacji, jakiej wcześniej u nas nie było.

Milion za głowy porywaczy

Tytuły z pierwszych stron gazet były po oczach: „Bestie!”, „Milion za wskazanie porywaczy!”. To rodziny osób uprowadzonych dla okupu złożyły się na najwyższą w historii Polski nagrodę za wskazanie kryjówki ściganych przestępców. W prasie i telewizji publikowano nie tylko listy gończe. Także plakaty z informacjami o nagrodzie i twarzami siedmiu poszukiwanych gangsterów. „Na milionie może się nie skończyć, ponieważ fundatorzy są zdesperowani, stawka może być podwyższona” – mówił dziennikarzom Mariusz Sokołowski, rzecznik prasowy Komendy Stołecznej Policji w Warszawie.

Redaktor Michał Fajbusiewicz poświęcił obcinaczom palców kilka wydań *Magazynu Kryminalnego 997*, emitowanego w TVP 1. „To ludzie potwory – pojawiał się komentarz, gdy na ekranach ukazywały się twarze porywaczy. – Mają związek z co najmniej dwudziestoma porwaniami dla okupu i zabójstwem czterech uprowadzonych osób. Tomasz R., ps. Edi, Piotr Z., ps. Skoti, Piotr M., ps. Osama, Marcin S., ps. Mołek, oraz Artur N. to członkowie jednej z najbardziej bestialskich grup przestępczych w historii polskiej kryminalistyki”. Publikowano pełne dane ściganych przestępców (które na obecnym etapie postępowania sądowego nie mogą być w tej książce ujawnione).

Policjanci byli przekonani, że ci sami ludzie, którzy uprowadzili i zabili Harisha Hitange, stali też za porwaniem Eweliny B., córki przedsiębiorcy, który za odzyskanie dziecka zapłacił najwyższy w historii grupy mokotowskiej okup – 567 tysięcy euro. Ona też nie wróciła do domu. Nikt wprawdzie nie mówi tego oficjalnie, ale śledczy nie mają złudzeń – Ewelina B. nie żyje.

Był koniec maja 2005 roku. Po zajęciach na uczelni córka przedsiębiorcy szła na parking do swojego samochodu. Obok stała biała furgonetka. Aby wsiąść do auta, studentka musiała się znaleźć pomiędzy samochodami. Pochyliła się, a wtedy rozsunęły się drzwi forda transita. Wysoki mężczyzna chwycił ją nelsonem za krtań i wciągnął do środka. Wszystko trwało jakieś trzy sekundy. Moment porwania zarejestrowały kamery przemysłowe. Spaloną furgonetkę znaleziono kilka godzin później nad Wisłą.

Rodzina podjęła negocjacje z porywaczami, a ci poinstruowali, gdzie i w jaki sposób pieniądze mają być przekazane. Wybrali most Grota-Roweckiego. Niemal miesiąc od porwania torba z pieniędzmi została zrzucona za ekran dźwiękochłonny. Ewelina nawet nie

zatelefonowała do bliskich, pozostał po niej jedynie przesłany rodzinie kosmyk jasnych włosów. Za to zatelefonowali porywacze, 14 lipca znów zażądali wysokiego okupu. Potem już zaprzestali kontaktu, zresztą ojciec nie miał takich pieniędzy, jakich chcieli.

Ojciec wszystkich obcinaczy

„Związek z jej uprowadzeniem ma mieć Grzegorz K., ps. Ojciec, vel Sołtys (uniewinniony nieprawomocnie w innym procesie o porwania). Gangster przyznał się nawet do udziału w tym zdarzeniu, po tym, jak został zatrzymany przez łódzkich śledczych w sprawie handlu i produkcji narkotyków. Liczył na nadzwyczajne złagodzenie kary.

O losie Eweliny B. sami przestępcy mówili, że to „było piekło na ziemi” – napisał Rafał Pasztelański na portalu TVP Info (27.01.2017).

Grzegorz K., ps. Ojciec, został zatrzymany w styczniu 2006 roku. Usłyszał szereg zarzutów związanych z porwaniami w latach 2003–2005, ale już w grudniu 2007 roku sąd uchylił mu areszt. Stało się tak za sprawą decyzji Sądu Najwyższego, który uwzględnił kasację poprzedniego wyroku Ojca za haracze i działalność w gangu. Grzegorz K. wychodził na wolność z legendą człowieka honoru, który z prokuraturą i policją się nie układa. W tym samym czasie wypuszczono z za krat sześciu innych „Wojtasów”. Nieoficjalnie mówiono, że śledczym opadły ręce, chociaż więcej powodów do obaw mogli mieć świadkowie, którzy zeznawali w procesie o porwania.

Ale prokuratura nie odpuszczała. Ojciec znów trafił za kraty, tym razem za narkotyki, w ramach śledztwa prowadzonego przez Prokuraturę Apelacyjną w Łodzi. Przedstawiono mu zarzut współdziałania w produkcji 30 kg amfetaminy, wprowadzenia w obieg hurtowych ilości środków odurzających (ponad 40 kg amfetaminy), a także kierowania zorganizowaną grupą przestępczą o charakterze zbrojnym. W komunikatach policyjnych podawano, że podczas przeszukania jego domu znaleziono urządzenia do podsłuchów telefonicznych i zagłuszania sygnału telefonii komórkowej.

Dlaczego trzeba dołować zwyrodnialców

Mój rozmówca musi pozostać anonimowy. Długo zastanawiałam się, czy rozmowę z nim w ogóle mogę zamieścić w tej książce. Nieoficjalne informacje, że sprawa porwania Eweliny jest obecnie w rękach najlepszych śledczych, dodały mi odwagi.

– **Pracował pan z nimi?**

– To moi koledzy, a właściwie znajomi, bo takich kolegów to nie uznaję. Znałem ich wszystkich, chociaż działaliśmy w różnych odłamach grupy mokotowskiej. Na porwaniach można się było nachapać i chuj za to mieć.

– **To znaczy...?**

– Ryzyko prawie żadne. Porwania były wtedy zagrożone karą do ośmiu lat, a trzy dni w rękach porywaczy to jedynie przetrzymanie.

Zrobił się z tego dochodowy interes także dlatego, że te przestępstwa nie były tak ganiane, czyli policja niezbyt ochoczo zabierała się do ścigania. Pewnie nikogo nawet by nie zamknęli, gdyby ludzie, którzy się tym zajmowali, nie zaczęli ćpać garściami i zabijać. Po tych wszystkich narkotykach, które zażywali w ilościach hurtowych, nie panowali nad sobą. Chodzili pobudzeni, roznosiło ich, stali się agresywni. Zaczęli robić takie rzeczy, że szkoda gadać: obcinali palce, torturowali, gwałcili, wysyłali rodzinom taśmy.

– Co było na tych taśmach?

– Jak dzieci płaczą, proszą, żeby rodzice zapłacili porywaczom. Jeden stał z pałą i napierdalał mu po łbie: „Mów, żeby płacili, bo jak nie, to cię zabijemy!”. Bronią straszili, więc dzieciak płakał. Jak matka z ojcem oglądają taki film, to wiadomo, że od razu wyjmą pieniądze i zapłacą jakieś 300–400 tysięcy, czasami pół miliona. W euro i dolarach. Zależy, ile kto mógł dać.

– Skąd porywacze wiedzieli, kto ma takie pieniądze?

– Informacje dostarczają ludzie, którzy znają rodzinę. Wiedzą, czym się matka i ojciec zajmują, o której godzinie i gdzie wychodzą z domu, gdzie bywają i jakie mają dochody.

– Takie informacje przekazuje ktoś z dalszej rodziny?

– Raczej ze znajomych. Jeśli zastanawia panią, dlaczego ludzie tak robią, to wyjaśnię powody: pierwszym z nich jest zazdrość, a to silne uczucie. Po drugie – chęć zysku. Za trafne wytypowanie ofiary przysługują przecież pieniądze. Żadna z tych osób pośredniczących

zapewne nie wiedziała, że zaczną się zabójstwa. Tamta dziewczyna... tamten chłopak zabity pod krzyżem w Piasecznie...

– **Syn biznesmena z Piaseczna, o którym mówiono, że śpi na pieniądzach, bo sprzedał ziemię pod budowę hipermarketu? Chcieli za niego 100 tysięcy euro, a jak – za radą słynnego detektywa – rodzice zapłacili 100 tysięcy złotych, to wysłali im palec syna i SMS: „Okup w kawałkach, chłopak w kawałkach”.**

– Nie wiem, ile za niego dostali, ale wzięli okup i zabili dzieciaka. Tak go bili, że skończył w dole na polu.

– **Podobno jeszcze żył, gdy wrzucono go do dołu i dobijano ciosami w potylicę.**

– Ja nie mam słów na to, co oni robili. Nie ma się czym szczyścić, obwieszczając, jacy to oni wszyscy brutalni byli. Tu płakać trzeba! Jaki normalny mężczyzna dziecko porywa? Krzywdzenie kobiet i dzieci to nie brutalność, lecz zbrodnia, a obcinanie palców ofiarom, aby rodziny szybciej okup zapłaciły, to nic innego jak hitlerowskie metody. Takie to męstwo, czym się tu chwalić, za co podziwiać? Wziąć dzieciaka pod pachę i zamordować? Albo kobietę, która ledwie co dwadzieścia lat pożyła? Całe życie miała przed sobą, a oni ćpunom dali ją do pilnowania. Zamęczyli ją gwałtami, skurwysyny. Tak ją dręczyli, że umarła.

– **Kto ją tak dręczył?**

– [Podaje dwa nazwiska oskarżonych o porwania w procesie prowadzonym przez sędziego Piwnik – przyp. aut.]. Potem ją

rozpuścili. Mieli jej pilnować, ćpuny jedne, a zaczęli gwałcić. Mówię pani, gorzej niż zwierzęta, bo pies wyrucha i puści sukę, a tu nie było litości. Przecież Wojtas to jest ćpun, dno i wodorosty. Tak samo jak ci, którzy z nim pracowali. Mówiłem, że, kurwa, źle robią, bo ofiar nie wypuszczają, mordują. Tego, co pani teraz usłyszała, nie ma w akcie oskarżenia, bo sprawy o śmierć tej dziewczyny nie ma, ale jak się, kurwa, w tym parszywym towarzystwie siedzi, to takie rzeczy się wie.

– Jeśli „sprawy nie ma”, to pewnie rodzina wciąż ma nadzieję.

– Tu nie ma żadnej nadziei. Tu była zbrodnia, a jest cholerny wstyd, że takie rzeczy na „Mokotowie” wyprawiali. Spod szkoły ją porwali, ona studiowała, bardzo piękna była. Trzymali ją w jakiejś piwnicy i zamęczyli... Ojciec zapłacił okup, a oni co, martwą mieli mu oddać? To wzięli ją gdzieś tam i rozpuścili, a to, co z niej zostało, w lesie zakopali. Ja się pytam: Co to, kurwa, jest? Niech porwą się, skurwysyny, na sędziego albo na prokuratora czy bogatego adwokata. Tacy też mają kupę pieniędzy. Ale oni nie. Za duże ryzyko, nie odważą się, na łatwiznę pójdą. Naprawdę trzeba nad nimi zapłakać. Dołować zwyrodnialców, potępiać, a nie za przestępców uważać. To jakby do staruszki pójść i ją okraść. Szkoda gadać.

– Porywali dla okupu także ludzi z półświatka?

– Bajbus mi opowiadał, że kolegę mu uprowadzili i przetrzymywali. Takiego Krzyśka, lichwą się zajmował. Krzysiek był wyszczekany, ale żaden z niego zawodnik, taki z metra cięty, niewysoki. Wiedziałem, czym to się dla niego może skończyć, takie

pyskowanie. Chłopaki upomnieli się o pieniądze, bo się nie rozliczył, a on kazał im wypierdalać. W sumie o jakieś grosze poszło. Wojtas przyjechał do Bajbusa, w mieście się spotkali i mówi do niego: „Słuchaj, znasz takiego Krzyśka K.?”. „No znam” – on na to, a tamten, że K. jest winien 5–6 tysięcy jego koledze. „Jak jest winien, to niech oddaje” – mówi Bajbus i dzwoni do Krzyśka, ale Krzysiek pyskuje do słuchawki: „Co on pierdoli?” i tak dalej. Bajbus przekazał Wojtasowi, że Krzysiek każe mu wypierdalać.

– **I za to go uprowadzili?**

– No za pyskowanie i za pieniądze, których nie zwrócił. „Wojtasy” namówili jego sąsiada, żeby się z nim umówił. Krzysiek przyszedł na spotkanie, oni już byli na miejscu i czekali. Jak mu zajebali bejsbolem, to głowa mu pękła. „Kurwa, mogłeś go wziąć pod pachę, widzisz, że chłop z metra cięty, po co mu było łeb rozwalać” – opierdalał Wojtasa Bajbus. Tak obili tego lichwiarza, że on do dziś cierpi, błędnik mu uszkodzili – gdzie idzie, to się przewróci, traci pamięć. Od tamtej pory musi mieć stałą opiekę. Wywieźli go do jakiegoś pegeeru. Wie pani, jakie kiedyś były pegeery, co krowy w nich stały?

– **Wiem.**

– No to tam go wywieźli i przywiązali do kojca. Siedział kilka dni w tym gnoju, w tym wszystkim. Do żony zadzwonili po okup, jego córka latała i płakała: „Tatę mi porwali!”. Strasznie mi szkoda było tej córki. Zadzwoniłem do rodziny Krzyśka, nie przyznając się, że wiem, o co w tej sprawie chodzi. „Posłuchaj, Karolina, dobrze będzie, postaram się to wam załatwić” – uspokajałem dziecko. Oni chcieli 20 tysięcy za niego. Jego żona nie miała pieniędzy, bo kasę

on trzymał i gdzieś lokował, kobiecina nie miała pojęcia gdzie. Bajbus też był zdenerwowany, zadzwonił w tej sprawie do Wojtasa: „Wypuście go, co wy, kurwa, robicie! Ona nie ma pieniędzy! I dlaczego chcecie 20, a nie 5 tysięcy?”. Wojtas na to: „Dobra, ale on jest nieprzytomny. Wiesz, chłopaki się naćpały, to poniosło ich nieco. Jeden kijem mu zajebał i coś się facetowi stało”. Wypuścili w końcu Krzyśka, ale do życia to on się nie nadaje.

Później taki Lewy się w to wtrącił – koleś, który chodził z mieczem – to go zastrzelili w biały dzień, przed sklepem, gdzie Lewy robił zakupy. Wykorzystali do tego idiotę, którego mieli w grupie.

– Umysłowo chorego?

– Totalnego debila. Dali mu broń naładowaną i mówią tak, ten Wojtas: „Jak tamten (czyli Lewy) będzie do ciebie podskakiwał, to strzelaj, nawet się nie wahaj, bo on coś do ciebie ma”. Nakręcił debila po prostu, debil się nakręcił... Wysłano z nim kolesia, który sprowokował awanturę. Lewy się uniósł: „Zaraz wam, kurwa, napierdole, wy frajery!”. Wychodzi ze sklepu, bierze miecz i chce ich lać. Debil stoi roztrzęsiony, wyjmuje broń i bach, bach, bach. Strzela do niego, a Lewy wciąż idzie z tym mieczem, wie pani – nerwy mu jeszcze działały... W końcu upadł i już nie wstał.

– Lewy był z Mokotowa, z grupy Wojtasa?

– Nie, to jego przeciwnik. Nikogo się nie bał, a tu proszę, debil go zastrzelił... Uciekł po oddaniu strzałów, ale go złapali. Posiedział rok czy dwa i wyszedł, dostał żółte papiery.

– Sprytnie wymyślone.

– W sumie tak.

– **A ten drugi, który sprowokował awanturę z Lewym?**

– Przyznał się do zabójstwa. Dostał 15 lat. Debil zabił, a za śmierć Lewego tamten poszedł siedzieć.

– **Kto w grupie mokotowskiej wymyślił porwania dla okupu?**

– Wojtas i Grzegorz K. Ojciec i razem to robili. Zbieranina ludzi przy tym była, kupa ćpunów i zwykłych pętaków. Wszystko nadzorował Korek, chociaż sam nie uczestniczył w porwaniach. Ale wiedział i aprobował, dlatego on też ma krew na rękach. Potem poszedł siedzieć za narkotyki i nigdy nie dostał zarzutów za porwania. Porwaniami rządził Wojtas. To właśnie Wojtas stworzył grupę, która uprowadzała dzieci i małolaty.

– **Od fali porwań minęło już kilkanaście lat, a prawomocnych wyroków wciąż nie ma.**

– Nie wie pani dlaczego? To ja pani powiem. Tam policjanci mają krew na rękach, bo byli zamieszani w porwania, pomagali grupie. Kryli to wszystko, chachmęcili z dowodami albo dowody ginęły. Tuszowali jednym słowem. Nie można powiedzieć, że cała policja jest zła, bo przecież byli tacy, co im zależało, no, ale tu trzeba szczerze powiedzieć, że byli tacy, co przeszkadzali. Dlatego śledztwa trwały latami, uchylano areszty, a przed sądem zabrakło dowodów do skazania.

Niewinni po latach

Polska Agencja Prasowa o wyroku w sprawie gangu obcinaczy palców:

„Dwóch skazanych na 3 i 2 lata więzienia. Ośmiu uniewinnionych, głównie z powodu błędów w śledztwie – tak skończył się proces dziesięciu oskarżonych o kilka głośnych porwań z lat 2004–2005 w stolicy. Prokuratura zapowiada apelację, a obrona mówi, że wyrok nie mógł być inny.

Media i policja niesłusznie nazwały tę sprawę procesem «gangu obcinaczy palców», bo żaden z sądzonych nie miał takiego zarzutu – mówiła w uzasadnieniu nieprawomocnego wyroku przewodnicząca trzyosobowego składu Sądu Okręgowego Warszawa-Praga sędzia Barbara Piwnik (były minister sprawiedliwości w rządzie SLD).

Jej uzasadnienie trwało ponad 5 godzin. (...) Proces trwał od 2006 roku. Był jednym z kilku postępowań wyłączonych z obszernego śledztwa w sprawie porwań w stolicy w tamtym czasie. – Proces trwał długo, bo sąd sam szukał dowodów – mówiła sędzia Piwnik. – To, że główne śledztwo w sprawie gangu wciąż trwa, jest też odpowiedzią na pytanie, czemu tyle trwał i ten proces – wyjaśniła.

Oskarżonym Prokuratura Okręgowa w Warszawie zarzuciła udział w kilku porwaniach dla okupu, połączonych ze «szczególnym udręczeniem», dokonanych w ramach gangu. Porwani odzyskali wolność po wpłaceniu okupu. Za jednego zapłacono np. równowartość 138 tysięcy dolarów, a za innego – ponad 300 tysięcy euro. Jednego porwanego zwolniono bez

okupu.

– Organa prowadzące śledztwo mają obowiązek stosować zasady: bezstronności, prawdy materialnej i domniemania niewinności – mówiła sędzia Piwnik. Jej zdaniem tu tak nie było. Powołała się na słowa młodego adwokata, że ta sprawa to «zaprzeczenie zasad prawa, których uczył się przez 8 lat». Według sędzi taka sytuacja to «zagrożenie dla bezpieczeństwa obywatela i jego szacunku dla państwa i prawa».

Sędzia długo wyliczała błędy w śledztwie, które spowodowały konieczność uniewinnień. Wśród nich było m.in. niedokumentowanie wielu czynności, np. nie nagrywano rozmów telefonicznych porywaczy z rodzinami porwanych ani nie udokumentowano przekazywania okupu.

Nieprawidłowo dokonywano także tzw. okazań porywaczy ofiarom. Jeden z nich, który po «dynamicznym zatrzymaniu» przez policję miał m.in. złamany nos, został rozpoznany, choć – jak mówiła sędzia – «miał całą twarz w plastrach», co wykazało policyjne zdjęcie.

Niektórzy oskarżeni zgłaszali, że byli bici i podtapiani przez policjantów – mówiła sędzia. Wobec innego, dopiero co zatrzymanego przez policję, lekarz więzienny zawiadomił prokuraturę o jego pobiciu. – Zeznania złożone w warunkach braku swobody wypowiedzi nie mogą być dowodem dla sądu – zaznaczyła sędzia. Dodała, że «przyznanie się podejrzanego do winy nie jest koroną dowodów».

Piwnik podkreśliła, że do dziś nie wyjaśniono wszystkich porwań, m.in. uprowadzonej w 2005 r. z centrum Warszawy Eweliny B., której nigdy nie odnaleziono. Dodała, że gdy sąd wystąpił o prokuratorskie akta w jej sprawie, dostał odpowiedź,

że «sąd tego nie rozstrzyga i materiały mu się nie należą». Według Piwnik te akta «należały się sądowi», który chciał zbadać, na ile błędy w tym śledztwie sprawiły, że «inne zdarzenia albo zeszły z pola widzenia śledczych, albo były badane tak, że trwa to od 10 lat».

Sędzia ujawniła też, że sąd nie uzyskał informacji, jaką wiedzę operacyjną miała w całej sprawie policja. Według sędzi ta wiedza miała być podstawą działań policji w tej sprawie oraz «typowania podejrzanych». – Być może są i inne dowody, które się przed sądem ukryło – powiedziała sędzia.

Mówiła, że jeden z policjantów, przechodząc do CBA, wyniósł z komendy policji dowody w sprawie Eweliny, m.in. jej włosy. – Śledztwo w jego sprawie umorzono, bo uznano, że chciał je uchronić – ujawniła. Według sądu za pomocą tych dowodów chciano skłonić podejrzanych do obciążających zeznań.

Piwnik dodała, że jeden z porwanych nie chciał po uwolnieniu składać zeznań – choć miał taki obowiązek. W sądzie ten porwany tłumaczył odmowę tym, że w jego uprowadzenie zaangażowani mieli być sami policjanci. – On mógł mieć interes, by tak mówić – podsumowała sędzia. Dodała, że nie udało się wyjaśnić, czemu jednego z porwanych zwolniono bez okupu.

Według sędzi niektórzy przestępcy, którzy współpracowali z policją i obciążali dawnych kompanów, mówili, że «jest to dla nich interes życia» – bo np. zamiast wyroku 15 lat więzienia dostawali rok. – Nie można bezkrytycznie uznawać wszystkiego, co tacy świadkowie powiedzieli – dodała Piwnik.

Krytykowała też postawę prokuratora, który wnosząc o skazanie oskarżonych, użył argumentu: – Możliwe, że tak było. – Ustalenia w procesie karnym nie mogą się odbywać na tej

zasadzie – oświadczyła (...)

(PAP, 17.08.2016)

Dla uporządkowania faktów należy przypomnieć, że akt oskarżenia przeciwko obcinaczom palców nie obejmował zabójstw lub uszkodzeń ciała. Sprawa zamordowanego Mariusza M., a także porwania Hitange i zaginięcia Eweliny nie były przedmiotem sprawy karnej rozpatrywanej przez Sąd Okręgowy w Warszawie, pod przewodnictwem sędzi Barbary Piwnik.

Prokurator, czując na barkach ciężar odpowiedzialności za tak spektakularną klęskę, szczerze mówił dziennikarzom o „pewnych błędach na etapie śledztwa”. Niektóre wynikały ze zmiany przepisów, np. dotyczących podsłuchów. Zapowiadając apelację, podkreślał, że w jego ocenie błędy te nie powinny skutkować uniewinnieniem. „Inne sądy w Polsce wydawały wyroki skazujące innych gangsterów z tej grupy co do innych porwań” – argumentował.

– Mowa pani sędzi była połajanką wygłoszoną pod adresem policjantów i prokuratorów. Sąd w mojej ocenie skoncentrował się na procedurach, żądając książkowych dowodów, a nie na ludzkiej krzywdzie – komentuje doświadczony dziennikarz sądowy, który nie chce ujawniać swoich danych.

W chwili, gdy kończyłam pracę nad książką, od ogłoszenia wyroku minęło pół roku. Zapowiadanej przez oskarżyciela apelacji jeszcze nie było.

– Prokurator będzie ją pisał dopiero po otrzymaniu pisemnego uzasadnienia wyroku, na który wciąż czekamy – tłumaczy Michał Dziekański, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Warszawie.

– Kiedy sędzia Barbara Piwnik przedstawi pisemne

uzasadnienie wyroku w sprawie tzw. gangu obcinaczy palców? – zapytałam w Sądzie Okręgowym Warszawa-Praga.

– Termin na sporządzenie pisemnego uzasadnienia został pani sędzi przedłużony do 9 czerwca 2017 roku – otrzymałam odpowiedź z Sekcji Prasowej sądu.

W oczekiwaniu na finał sprawy – odległy, jeśli sąd wyższej instancji zwróci akta do ponownego rozpatrzenia – posłuchajmy opowieści człowieka, który na własnej skórze przeżył nie tylko koszmar porwania dla okupu, ale także chwile upokorzenia i bezradności, zaserwowane mu przez policję oraz wymiar sprawiedliwości.

Trzydzieści jeden dni w piekle

Mój rozmówca ma na imię Michał, jest po pięćdziesiątce. Zajmuje się legalnym biznesem, o którym opowiada w oszczędnych słowach. Ale to zrozumiałe w jego sytuacji: ma rodzinę, która przeżyła koszmar, a on sam był już w piekle. Spotkał w nim ludzi, o których jest ta książka.

Najgorszy spacer z psem

– **Kiedy pana porwano?**

– Dokładnie teraz nie powiem, ale mam to w aktach, jakieś dwa lata przed wejściem Polski do Unii Europejskiej.

– **Czyli 2002 rok. To był pan chyba jedną z pierwszych ofiar gangu obcinaczy palców. Może dlatego wyszedł pan z tego ze wszystkimi palcami, bo dopiero się uczyli, rozkręcali.**

– Miałem naprawdę wielkie szczęście, że wyszedłem stamtąd nie tylko ze wszystkimi palcami, ale i z głową. Przez cały czas

towarzyszyła mi świadomość, że dopóki mam na oczach opaskę i nie widzę ich twarzy, to mam szansę przeżyć. Nie musieli mnie wypuszczać. Mogli zabić i zakopać. Oczywiście grozi za to inny paragraf, znacznie surowszy. Pod warunkiem że by ich złapali.

– Wyrzucił pan z pamięci złe wspomnienia? Psychologowie nazywają to wyparciem, mechanizmem obronnym.

– Pamiętam wszystko dobrze, nie wyrzucam wspomnień z pamięci. Mam inną filozofię życia: uważam, że jeśli tamto [przeszłość, trauma – przyp. aut.] będzie mną rządziło, to daleko w życiu nie dojadę. Ludzie mają różne przeżycia, niektórzy byli w obozach koncentracyjnych, ich koszmar trwał latami. Mój trwał 31 dni i tamten miesiąc nie może zaważyć na całym moim życiu.

– Gdzie to się stało?

– Zawinęli mnie spod domu, musieli na mnie długo czekać. Wieczorem wyszedłem na spacer z psem. Spotkałem sąsiada, rozmawialiśmy. Podjechali na sygnale pod dom, było ich trzech. Podeszli, wyciągnęli legitymacje policyjne i pod pretekstem kradzieży jakiegoś samochodu nałożyli mi kajdanki. Bzdura. Totalna bzdura oczywiście. Oddałem smycz sąsiadowi, żeby odprowadził psa, i wsiałem do ich bordowego vento.

– Kiedy pan się zorientował, że to przebierańcy?

– Praktycznie od razu, po sposobie zachowania. W samochodzie, już po samych ich rozmowach, wiedziałem, że coś jest nie tak. Zresztą cała ta niedorzeczna sytuacja z rzekomą kradzieżą

wzbudziła moje podejrzenia. Po przejechaniu 200 metrów, kiedy mnie przerzucili do białego busa, nabrałem pewności, że mnie porwano.

– Jak się zachowywali?

– Po detalach było widać, że to przestępcy z kategorii myślących. Byli na wszystko przygotowani. Cały ich sposób postępowania, to, jak negocjowali i przejmowali okup, znajomość procedur związanych z likwidowaniem śladów zapachowych – to wszystko sprawiało wrażenie, jakby przeszli specjalistyczne przeszkolenie. Widać było, że się znają na tym, z czego żyli. Byli sprytniejsi od policyjnych zawodowców, ponieważ funkcjonariusze powołani do ścigania terroru kryminalnego nie byli w stanie zlokalizować telefonu, z którego porywacze dzwonili z żądaniem. Najprawdopodobniej zrobili telefony na tzw. przekładkę – rozmawiali raz z jednego, raz z drugiego, cały czas poruszając się samochodem po Warszawie. Byli naprawdę dobrze zorganizowani.

– Gdzie pana przetrzymywali?

– W mieszkaniu koło Wyszkowa, na jakiejś działce w odludnym miejscu. Właścicielem posesji był Wojciech M., to ten, który mnie pilnował i którego w mojej sprawie skazano.

– Tylko jednego? I to z samego końca „łańcucha pokarmowego”?

– Pozostałych nie wydał.

– Ale przecież on działał w grupie, prokuratura tego nie

ustaliła?

– Mam swoje zdanie na temat prokuratury i pracy policji w tej sprawie. Zresztą sam proces trwał 7 lat, kiedy wszystko było ewidentne. Wojciecha M. reprezentował jeden z najlepszych adwokatów w Warszawie, mecenas Dubois, który był na każdej rozprawie. To oczywiste, że za darmo do sądu nie przychodził, więc ile musieli mu zapłacić, ja się pytam? Ciągnąłem ten proces przy pełnej świadomości, że muszą za to słono płacić, że przynajmniej finansowo ich „pociągnę”. Co za mnie dostali, to w sądzie na adwokata wydali.

Podwieszony pod sufitem

– Miał pan orientację, jak długo pana tam trzymają?

– Tak, chociaż przez cały czas miałem zasłonięte oczy. Cały czas byłem też związany, na dłoniach miałem kajdanki. Ucisk spowodował, że zaczynała mi się robić martwica. Oprócz tego babrały mi się rany po przypalaniu. Do dziś mam ślady na nogach. Straszili mnie wyrywaniem paznokci, jakiś baran wpadł na pomysł, żeby mi zęby powyrywać. Kombinerkami ciągnęli, pacany. Nie przypuszczali tylko, że wyrwanie zębów nie jest taką prostą sprawą i że na tym też trzeba się znać. Złą metodę obmyślili z tymi kombinerkami, głupota tych ludzi nie ma granic.

– Bili pana?

– Tak. Za każdym razem, gdy rezydenci przyjeżdżali, czyli

szefowie tych dwóch, którzy mnie pilnowali przez całą dobę. Trenowali sobie na mnie uderzenia, kiedy wisiałem z nogami w powietrzu, podwieszony pod sufitem jak worek treningowy. Już trzeciego dnia obłożyli mi poduszkami głowę i okleili taśmą. Tak przygotowanego powiesili na haku, podciągnęli do góry i tłukli tak długo, aż straciłem przytomność. Nazywali to zmiękczeniem. Fajne sformułowanie, prawda? Naprawdę miałem miękko w głowie. Wyobraża pani to sobie? Takie zmiękczenie! (*nerwowy śmiech*) Potem nieprzytomnego ściągali z haka, doprowadzali do stanu używalności i znów na mnie trenowali. W pierwszych dniach naprawdę solidnie mnie potłukli. Wtedy złapałem wysoką temperaturę. Poprosiłem jednego ze strażników, żeby mi dał jakieś tabletki, żeby to ze mnie zeszło. Już tak mną trzęsło, że... ech, nie ma co mówić, dobrze nie wyglądałem.

– Groźbami też pana zmiękczyli?

– Jakie to ma dziś znaczenie? To były tylko słowa. Miałem świadomość, że oni wykonują konkretne zadanie i chodzi im o to, żeby mnie zastraszyć, spowodować, by moje zachowania były irracjonalne, żebym im powiedział, ile mam pieniędzy, ile mogę im dać. I żebym zadzwonił do żony, błagał ją i ponaglał: „Oddaj im wszystko, co masz”, żebym zadzwonił do znajomego, do współnika, żebym płakał, by mnie stamtąd jak najszybciej wyciągnęli. Miałem świadomość tego wszystkiego.

– Zamiast ulegać emocjom, analizował pan sytuację?

– Wnioski, do których wtedy doszedłem, były oczywiste jak dwa razy dwa: znęcają się nade mną i straszą tylko w jednym celu.

W sytuacjach tego typu podejmowane działania zależą tylko od bezwzględności tych, którzy wykonują zadanie. Jeśli będę robił to, czego oczekują, to oni wygrywają. A jeżeli będę postępował inaczej, to oni mają dwa rozwiązania: albo się pogodzą z kwotą, którą dostaną, i zamkną temat, albo mnie zatłuką. To drugie rozwiązanie jest dla nich niewygodne, bo nic nie będą z tego mieli, no i mogą przecież dostać po 25 lat w wyroku. Patrzą na to w kategoriach biznesu – albo zarobią, albo nie. Zwykła arytmetyka.

– **Kto negocjował z nimi wysokość okupu?**

– Moja żona, która zresztą bardzo szybko zebrała pieniądze. Mówiłem im od razu, że żona zapłaci od ręki.

– **W takim razie dlaczego był pan w rękach porywaczy tak długo?**

– Wzięli okup, ale dalej mnie trzymali. Trudno mi powiedzieć, czym się kierowali, nie wypuszczając mnie, gdy osiągnęli już cel. Pierwsza próba przekazania okupu nie powiodła się. Porywacze stwierdzili, że jedzie za nimi policja, co było prawdą.

– **Skąd wiedzieli?**

– Nie wiem, czy mieli podsłuch policyjnych częstotliwości. Nie wiem też, czy mieli kogoś w Komendzie Stołecznej, co moim zdaniem jest wielce prawdopodobne. Albo mieli pewnie kogoś w biurze detektywistycznym, bo... Zresztą nie chcę się zagłębiać. W każdym razie informacje o tym, co się dzieje w domu, wyraźnie mieli. Rutkowski był w naszym domu, totalne nieporozumienie, żenada. Nie wiem, kto się na tego człowieka decyduje. Chyba tylko

ludzie tak zdesperowani jak moja żona. Ale dobra, było, minęło. Druga próba przekazania okupu się powiodła. Próbowali potem wyciągnąć jeszcze więcej, ale żona powiedziała im kategorycznie, że nic już nie ma.

– Ile za pana dostali?

– Dokładnie już nie powiem, to żona im płaciła, ale jakieś 200 tysięcy euro.

Policja gubi obiekt obserwacji

– Kto przekazywał okup? Podstawiony policjant, detektyw?

– Szwagier pojechał z pieniędzmi. Też się biedak zestresował... Miał przy sobie telefon komórkowy, na który dzwonili z instrukcjami, jak ma to wszystko przebiegać. Kazali mu wsiąść do taksówki przy hotelu Marriott i jechać w stronę mostu Poniatowskiego. Tam wysiadł, położył torbę z pieniędzmi na hałdzie piachu, następnie wsiadł do taksówki i odjechał. Proszę sobie wyobrazić, że policja nie była w stanie go namierzyć, chociaż wiedziała, że będzie przekazywany okup. Ręce mi opadają!

Jak mogli dopuścić do przekazania okupu? Przecież to nie odbyło się drugiego czy trzeciego dnia, ale po dwóch tygodniach od porwania. Mój przypadek nie był odosobniony, za Krzysztofa Olewnika też przekazano okup i policja straciła pieniądze z oczu. Na miejscu wydziału wewnętrznego ja bym wszystkich tych funkcjonariuszy posadził, zwolnił. Oni się nawet nie starali, tylko ręce rozkładali. No jak tak można?

– Jak to się mogło stać?

– To jest nieprawdopodobne, sam nie mogłem uwierzyć, kiedy mi to opowiadano. W momencie przekazania okupu padły baterie do urządzeń podsłuchowych i lokalizacji, dlatego szwagier zniknął im z pola widzenia. Sprzęt się zepsuł, może sobie pani to wyobrazić? Jeżeli policja sama nie potrafi zlokalizować obiektu, to niech zatrudnią firmę z zewnątrz, która się na tym zna. Dyskretny lokalizator, przekazanie pieniędzy, namierzenie odbiorcy. I po sprawie. To najpierw spisują numery banknotów na okup, potem je fotografują, bo jest tego tak dużo, a następnie tracą kontrolę nad walizką z pieniędzmi. Nie mogę tego pojąć.

– Ma pan żal do policji?

– Mój stosunek do policji i prokuratury jest zdefiniowany. Cały ten system nie działa. Ja przecież nie mówię, że wszyscy policjanci źle wykonują swoje obowiązki i są nieuczciwi, ale oni po prostu mają to gdzieś. Większość nieudolnych przypadków bierze się z głupich błędów. Żenada, żeby ludzie ginęli, a oni – chociaż rzekomo wiedzą, kto za tym stoi – udowodnić nie potrafią udziału w porwaniu. Skoro nie potraficie tego udowodnić, to chociaż złapcie ich na podejmowaniu okupu!

Niedawno oglądałem w telewizji reportaż, w którym wypowiadała się emerytowana naczelnik wydziału terroru kryminalnego stołecznej komendy. Powiedziała, że całe życie oddała służbie. No, ręce mi opadają. Nie pokażę palcem konkretnych ludzi, bo to nie o pojedynczych funkcjonariuszy chodzi, lecz właśnie o system. Dla policji byłoby najlepiej, gdyby przestępcę złapano za rękę i przyprowadzono na komendę. Jeśli policja nie

była w stanie namierzyć – w sercu wielkiego miasta – dzwoniących z żądaniem okupu porywaczy, to co ja mam powiedzieć? Nie potrafiła ustalić, kim byli porywacze, podczas gdy ja już po trzech tygodniach znałem tożsamość i pseudonimy większości „udziałowców” tego bandyckiego przedsięwzięcia! Wiem, kto organizował, kto brał udział w porwaniu, ile było osób. Policję niezbyt interesuje ta wiedza. Nie będę się na nich obrażał z tego powodu. Nawet to rozumiem. Policjant zarabia 2–3 tysiące, czasem 4. Czy on będzie ryzykował karierę za taką kasę? Będzie ryzykował życie?

– Kto stał za porwaniem, niejaki Wojtas? Grzegorz K., ps. Ojciec?

– Może i tak. Nie chcę o tym rozmawiać, teraz nawet nie pamiętam i nie jest to kwestia wyparcia. Gdzieś tam sobie zapisałem ich pseudonimy. Ile można siedzieć w tym i rozpatrywać? Zresztą te grupy nie są sztywne, skład się zmienia, mają swoje podgrupy i wzajemnie się przeplatają. Z dokładnością 80–90 procent wiem, jakie są ich losy, ale to nie znaczy, że będę się zajmował głupotami.

– Głupotami?

– W stylu płacenia komuś, żeby wyrównać z nimi rachunki, na przykład zabić. Pewnie domyśla się pani, że wiele osób mi doradzało: „Zrób coś z tym, zabij go”, ale przecież każde postępowanie ma swoje konsekwencje. Każde! Jeżeli będę się zajmował takimi głupotami, wróci to do mnie za sprawą więzienia. Owszem, można kierować się w życiu emocjami, ale na nich daleko się nie zajedzie. Dlatego trzeba się pogodzić z przeszłością.

Droga liczona piosenkami

– Jak wyglądało uwolnienie pana?

– Wsadzili mnie nocą związanego do bagażnika samochodu, do jakiegoś pick-upa, i wywieźli do lasu, gdzieś pod Wyszkowem. Tam mnie zostawili. W sumie dobrze się stało, że wypuścili mnie w nocy, bo mogłem mieć kłopoty z oczami, praktycznie spędziłem miesiąc w ciemnościach. Przez pół godziny po zdjęciu opaski czułem ból, nic nie widziałem. Dopiero po takim czasie wzrok zaczął się przyzwyczajać. Doszedłem o własnych siłach do automatu, zadzwoniłem na policję. Powiedziałem, kim jestem i co mi się przydarzyło. Oddzwonili do mnie za jakiś czas, najpierw mnie weryfikowali, to znaczy informacje, jakie im podałem. Przyjechali radiowozem i zawieźli na policję, do Wyszkowa. Potem przyjechała moja żona i zabrała mnie do domu.

– Miał pan profesjonalną opiekę? Ktoś panu pomagał poza rodziną, może policja przysłała psychologa?

– Powiem pani, jak się mną zajęła policja. Otóż następnego dnia przyszło do mnie dwóch funkcjonariuszy ze stołecznej, z wydziału terroru kryminalnego, i zaczęli mi opowiadać, że od razu muszę złożyć zeznania. Ja im na to: „Panowie, dopiero do domu przyjechałem, muszę odpocząć, otrząsnę się, to będziemy rozmawiać dalej”. Wtedy jeden z tych policjantów oznajmił, że muszę już, teraz, natychmiast. „Nad pana sprawą ciężko pracowało 50 ludzi, a pan nie chce zeznawać?” Wtedy piana mi poszła. „Panie!

Trzeba było dać zamiast tych 50 jednego, ale sensownego!” – krzyknąłem. Tak mnie zdenerwował ten gość, że mnie pouczał, co ja muszę. Ja już nic nie muszę. Gdzie oni byli, jak ja tam siedziałem?

– **Policja odnalazła miejsce, w którym był pan przetrzymywany?**

– Sam im dałem konkretne wskazówki.

– **Jak to możliwe, skoro miał pan zasłonięte oczy?**

– Któregoś dnia zostawili uchylone okno, a przepaska na oczach była specyficznym przewiązana, tak że zobaczyłem fragment krat. Kiedy mnie stamtąd wywozili, kierowca włączył radio i słuchał piosenek. Przez całą drogę naliczyłem ich 12 czy 15, dziś już dokładnie nie pamiętam. Każda piosenka trwała średnio 2,5 minuty, więc bez trudu można było obliczyć, jak długo trwała podróż. Uwzględniłem prędkość, z jaką jechaliśmy – na pewno poruszali się zgodnie z przepisami, aby nie prowokować kontroli drogowej. No bo po co byłyby im takie problemy.

– **To fakt.**

– Z prostego wyliczenia wychodziła odległość od kryjówki do lasu pod Wyszkowem. Do tego doszedł fakt, że trzeciego lub czwartego dnia po porwaniu miała miejsce awaria prądu. Potem światło wyłączane było systematycznie. Zorientowałem się, że tak jest, ponieważ w pomieszczeniu, gdzie przebywałem, pozostawili włączone radio, aby nie było słychać mojego krzyku. I to radio wyłączało się koło 8 nad ranem, a potem włączało o 17 czy 18.

Pomyślałem, że w okolicy musiała być przeprowadzana konserwacja sieci, wystarczyło ustalić położenie transformatora. Jak się skojarzy te trzy fakty i weźmie pod uwagę, że okolica była słabo zaludniona, bo to były ogródki działkowe, to na mapie należało zakreślić cyrklem koło, a następnie szukać tamtego domu w promieniu 30 km. Określiłem to miejsce z dokładnością do czterech domów o tej samej zabudowie i kratkach. Proste.

– **Kiedy policja tam trafiła?**

– Tydzień po moim uwolnieniu. Mając informacje tego typu, trudno byłoby nie trafić.

Ofiara czy oszust?

– **Jak przebiegało przesłuchanie?**

– Odnosiłem wrażenie, że policję interesowało przede wszystkim to, skąd żona wzięła pieniądze na okup. Sprawdzali, czy nie jestem oszustem, jak zarabiam na życie, czy nie prowadzę ciemnych interesów i czy nie mam kontaktów z mafią. No tak się zajmowali ściganiem sprawców, że za mną chodzili. To gdzie oni lokują siły i środki na walkę z przestępczością? Pomylenie pojęć! Oni podejrzewali, że sam się pobiliem, przypalałem i uprowadziłem (*nerwowy śmiech*).

– **Jak rzekomo Krzysztof Olewnik.**

– No właśnie. I jeszcze do tego sam pieniądze sobie ukradłem.

Żenada. Zresztą to była czołowa teoria ekipy Rutkowskiego, że ja się sam uprowadziłem. Po tym wszystkim, co przeżyliśmy i ja, i moja rodzina, jeden z pracowników tego biura przyjechał do naszego domu. Miał czelność powiedzieć mi w oczy, że to ja z bratem wszystko zorganizowaliśmy. Miał czelność tak się zachować w moim domu! Nawet jeśli taką teorię wydedukował, to mógł się wstrzymać ze względu na szacunek do moich bliskich. Powiedziałem, żeby wynosił się z mojego domu, bo wezwę policję i go wywalą.

– Policja też zakładała wersję samouprowadzenia?

– Po moim powrocie chodzili za mną dwa lub trzy tygodnie. W ciągu dnia spotykałem ich w różnych miejscach. Znałem już twarze policjantów ze stołecznej, z wydziału terroru kryminalnego, przecież stawiałem się na przesłuchania. Rozpoznawałem ich na ulicy. Człowiek po takich przeżyciach jest przeczulony, zwraca uwagę na wszystko. To nie mógł być przypadek, że w krótkim czasie natykałem się w wielkim mieście na te same osoby. Warszawa to nie jest miasteczko trzydziestotysięczne, tu mieszkają blisko dwa miliony ludzi. Po prostu chodzili za mną. Jednego z nich spytałem wprost, dlaczego mnie obserwuje. Oczywiście zaprzeczył, twierdząc, że to przypadek, obrażając tym samym moją inteligencję. Sam się uprowadziłem (*nerwowy śmiech*) – bzdura kompletna!

– Przecież miał pan zrobioną obdukcję. Jaki człowiek zrobiłby to sobie sam?

– Też się pytam: Kto i po co miałby to sobie zrobić. Dla

pieniędzy? Że swoje pieniądze chciałem z firmy wziąć? Żonę oszukać? Moja żona nie miała nic wspólnego z interesami, które prowadziłem. Nie miała wpływu na firmę, na pieniądze, nie wiedziała, gdzie co jest. W tragicznej dla niej i całej rodziny sytuacji zachowała się godnie, wykazała ogromną klasę. Pokazała, jakim jest człowiekiem. I ja kogoś takiego miałbym oszukiwać? Okradać?

99 procent pewności

– Zastanawiał się pan, dlaczego właśnie pana to spotkało? Miał pan kiedykolwiek styczność z przestępczością zorganizowaną?

– Być może miałem, ale o tym nie wiedziałem. Zresztą co to znaczy „mieć kontakt”? Wpuszczać do domu takich ludzi, robić z nimi interesy?

– Chociażby.

– W tamtym czasie prowadziłem aktywną działalność zawodową. Hurtowo handlowałem ze Wschodem, w różnych branżach – od spożywczej do budowlanej. Studiowałem w Sankt Petersburgu, moje interesy opierały się głównie na relacjach osobistych. Miałem tam wielu przyjaciół, bogatych i wpływowych. Spotykałem setki ludzi, jeżeli nie tysiące. Przecież ja nie wiem, kto jest takim [powiązany z przestępczością zorganizowaną – przyp. aut.] klientem. Nie kontroluję tego, ponieważ nie mam nawet takiej możliwości. Nie tylko zawodowo, ale też prywatnie trudno to kontrolować. Jeśli spotykam się w pewnym gronie, to ci ludzie nie

wiedzą, kogo ja znam, a ja nie wiem, kogo oni znają.

– Domyśla się pan, kto pana wystawił?

– Ja pani powiem, kto mnie wytypował... Taki luźny znajomy z Legionowa, którego widziałem ze trzy razy w życiu. Zajmował się transportem. Nawet nie pamiętam, jak ten człowiek ma na imię. Poznał mnie z nim mój kolega, Litwin. Ten człowiek ma długi język, pewnie o mnie rozmawiali, więc się chwalił, że ma bogatych kolegów. To jest megalomania, więcej powiedział, niż to wszystko było warte. Mówił, że jakby co, to ten gość z Legionowa mógłby świadczyć mi usługi transportowe.

– Ma pan pewność, że to on?

– Na 99 procent. Szczerze mówiąc, to zorientowałem się już tam na miejscu, z rozmów prowadzonych przez ludzi, którzy mnie porwali. Po prostu skojarzyłem pewne fakty. Doszedłem do wniosku, że taką konkretną wiedzę posiadał tylko tamten. Pewnie sam popadł w jakieś kłopoty, zadał się z tymi łysymi i zwyczajnie mnie wystawił, żeby dali mu spokój. Możliwe, że mu powiedzieli, że nie będą mnie bić, że chodzi im tylko o pieniądze, więc podał mnie. Bus Iveco, którym byłem wieziony po porwaniu, prawdopodobnie był jego własnością.

– Prowadził pan wystawne życie?

– Bez przesady. Mieszkałem w szeregowcu na Żoliborzu. No ale jeździłem beemką piątką, moja żona miała swój samochód, firma dobrze prosperowała. W setce najbogatszych na pewno nie byłem, chociaż do biednych nie należałem, nie narzekam na swoje życie.

Znam wielu bogatszych ode mnie. Oczywiście każdy lubi drogie gadzety, dobry zegarek, lecz bez przesady. Uważam, że nie dla pieniędzy i złotego rolexa człowiek żyje.

– Odczuwał pan pragnienie zemsty, odwetu za to, co pana spotkało?

– Życie nie polega na tym, żeby wystawiać innych, bo mnie wystawiono. Przynajmniej ja tak uważam. No, nie wiem, może trochę dziwny jestem, ale tak uważam. Nie na tym to wszystko polega, żebym narobił głupot i sobie problemów. Wydarzeń to przecież nie cofnie, straconych pieniędzy nie wróci. Trzeba sobie radzić z tym, co jest, a nie patrzeć do tyłu. Ja nie jestem takim człowiekiem, który płacze nad rozlanym mlekiem, ja to rozlane mleko co najwyżej mogę sprzątnąć, wytrzeć szmatką.

– Jak pan dzisiaj podchodzi do wydarzeń sprzed lat?

– Było – minęło. Generalnie trauma w rodzinie spadła z chwilą, gdy się pojawiłem. Oczywiście nie rozwiązało to problemów z moją nieobecnością i zapłaconym okupem. Wydarzenia, o których rozmawiamy, poważnie zachwiały moją firmą, ale nie po raz pierwszy zbankrutowałem. Z każdego wydarzenia trzeba wyciągnąć naukę na życie. Dziś wiem, że dla własnego bezpieczeństwa należy zbierać o ludziach jak najwięcej informacji, żeby wiedzieć, z kim ma się do czynienia, jakimi ludźmi się człowiek otacza. I nie po to, by komukolwiek zrobić krzywdę, lecz by chronić rodzinę, przyjaciół. Nie wiadomo, gdzie i w jakiej sytuacji można się jeszcze znaleźć.

– Zweryfikował pan grono znajomych?

– W takiej sytuacji, w jakiej się znalazłem, od razu widać, z kim należy, a z kim nie należy się zadawać. Człowiek inteligentny powinien ze wszystkiego wyciągać wnioski. Moi znajomi zachowali się bardzo w porządku, dając pieniądze na okup i nie mając właściwie żadnej gwarancji zwrotu. Różnie mogło się to wszystko skończyć, przecież kilka osób uprowadzonych dla okupu nie wróciło do domu. Koledzy stanęli na wysokości zadania. Jestem im wdzięczny. To był swoisty test, który oni zdali, naprawdę stanęli na wysokości zadania. Wszystko było czytelne, kto jak się zachowuje, to wychodzi w takich chwilach. Teoretycznie mogło być tak: Przychodzi kolega, daje żonie 50 tysięcy, a ja nie wracam. I co on robi w takiej sytuacji? Mówi: „Sprzedaj dom, oddaj dług”? Znam takie sytuacje, że mąż prowadzący firmę umiera z dnia na dzień na zawał serca i ludzie, którzy byli mu winni pieniądze, już ich nie oddają. Mówią rodzinie zmarłego: „Właśnie wczoraj oddałem mu pieniądze”, a pieniędzy nie ma. Ja doszedłem do siebie, wszystkie długi pooddawałem i zamknąłem temat. Żyję dalej, bo tak trzeba.

– **Podziwiam pana za siłę, którą ma pan w sobie.**

– Mogę o sobie powiedzieć, że naprawdę swoje już w życiu przeszedłem, w różnych sytuacjach byłem. Wtedy, w tamtej łazience, przykuty łańcuchem myślałem sobie: Okej, wyjdę z tego, otrzępię się jakoś, ale z problemem pozostała cała moja rodzina – żona, moje nastoletnie wówczas dzieci. To była tragedia dla nich, tamten czas miał ogromny wpływ na relacje w całej mojej rodzinie. Żona była na środkach, w kosmosie... Trudno to opowiedzieć, co ona wtedy przeszła. Nagle znalazła się w sytuacji, gdy w obawie o moje życie była zmuszona zorganizować wysoki okup, prosić ludzi o pieniądze, ogarnąć przerażenie rodziców, uspokoić dzieci. Dać

sobie radę z tym wszystkim w sytuacji, gdy w firmie nie ma dokumentów, bo wiele spraw – takich jak dostarczenie towaru – było załatwianych na słowo. Naprawdę zachowała się bardzo w porządku, jeśli brać pod uwagę podjęte ryzyko.

– Rozmawiacie o tym?

– Rzadko, na świeżo oczywiście rozmawialiśmy. Zresztą po co wywoływać temat? Porwanie jest moim zdaniem wyjątkowo odrażającym przestępstwem, uderza w wiele osób, odbiera na długo poczucie godności i poczucie bezpieczeństwa. Co to da, że będziemy o tym rozmawiać? Mam taką psychikę, że zamykam temat.

– Kobiety w większości muszą problem wyplakać, wykrzyzczyć. To inwestycja w przyszłość, żeby głowa nie szwankowała.

– To, co ja przeszedłem w domu po powrocie, jest... Moi bliscy mają uraz do końca życia. W przypadku porwań istotny jest wpływ na psychikę bliskich, dramatyczne konsekwencje. Syn miał wtedy 17 lat, córka też koło tego. Przecież coś takiego wpływa na rozwój psychiczny dzieci! I nie chodzi jedynie o tamte 31 dni, ale o wszystko potem, o lęk... Całe szczęście, że oni wzięli mnie, bo dałem sobie radę, żyję dalej. Gdyby wzięli moje dzieci, to przysięgam, że gdyby stał za tym sam Korek albo nawet prezydent Rzeczypospolitej, tobym zabił. Posadziliby mnie za to, ale co z tego! Co z tego... Nie znam ojca tamtej zaginionej dziewczyny, którą oni porwali i która nie wróciła do domu, ale gdybym miał wiedzę, kto to zrobił, tobym tych bandytów żywcem ze skóry obdarł. Nieważne, ile bym za to dostał.

– **Nie ma co zapędzać się w takie rozważania, bo to w głowie się nie mieści.**

– Pasy bym z nich darł.

Siedem lat procesu

– **Dlaczego proces tylko jednego z grupy porywaczy trwał aż 7 lat?**

– No właśnie, niby prosta sprawa, dowody ewidentne, a tyle to trwało. Byłem na każdej rozprawie, chciałem tego osobiście pilnować, nie tylko poprzez adwokata. Wszystkie okoliczności spowalniały sprawę. Najpierw rozpatrywał ją Sąd Rejonowy, co było – jak się okazało – błędem procesowym, ale oskarżony i jego obrońca nie podnosili tego aż do chwili, gdy zapadł niekorzystny dla nich wyrok. Był powód do apelacji i sprawa poszła do Sądu Okręgowego, który od początku powinien ją rozpatrywać. Potem znów zapadł niekorzystny dla nich wyrok, była apelacja, Sąd Najwyższy i w końcu prawomocny wyrok – 7 lat, tyle, ile to wszystko w sądzie trwało. Kiedy proces się kończył, on już wychodził (*nerwowy śmiech*). Na takich przykładach widać, jak działa ten system, to znaczy policja, prokuratura i wymiar sprawiedliwości. Na każdą rozprawę przychodził inny prokurator, większość nie miała pojęcia, o co tam chodziło. Tylko raz trafił mi się prokurator, który stawiał się na pięć rozpraw z rzędu. Gdyby nie mój adwokat, który to wszystko kontrolował, doradzał mi, sprawa by się rozmyła.

– Jak to? Co ma pan na myśli?

– Przed pierwszą rozprawą, kiedy jeszcze nie znaleźliśmy się z pełnomocnikiem procesowym oskarżonego, podszedł do mnie mecenas Dubois i myśląc, że jestem prokuratorem, zagaił mnie w temacie ugody. Przedstawił się, że jest obrońcą oskarżonego, i powiadomił, że jest umowa z szefem prokuratury o samoukaraniu, a to by oznaczało rezygnację z procesu dowodowego i niższy wyrok dla sprawcy. Powiedziałem, że się nie zgadzam, i poszedł cały proces. Jak może prokuratura wyrażać zgodę na coś takiego bez porozumienia z pokrzywdzonym? Nikt nie zapytał mnie o zdanie, wszystko między sobą uzgodnili. Nie pofatygowali się, aby mnie poinformować o ustaleniach. Gdzie w tym wszystkim jest pokrzywdzony? To ja idę na salę sądową z nadzieją na sprawiedliwość, a tu takie zaskoczenie? Na co liczył szef prokuratury? Że nieopatrznie się zgodzę na rezygnację z przesłuchania, procesu dowodowego? Porwania dla okupu to nie są przestępstwa gospodarcze, to poważna sprawa.

– Pewnie chodzi o czas i koszty procesu. Po co ciągnąć sprawę, skoro oskarżony nikogo nie wyda.

– Dziwne, że prokuratura godzi się na takie rozwiązanie. Nie jestem zwolennikiem teorii pana Ziobry, że wszyscy są łapownikami, ale jakaś przyczyna takiego postępowania musi być. Chyba że idą na łatwiznę, bo to im zapewnia sukces i porządek w statystykach. Bez straty czasu i pieniędzy podatników. A gdzie elementarna przyzwoitość? Przecież tu jest krzywda ludzka, jak można takie rzeczy puszczać płazem? Ujdzie mu płazem jedno porwanie, to pójdzie i zrobi to samo drugiemu człowiekowi. Zawiesi

go na haku pod sufitem, uderzy rurką nie tak – w głowę lub kręgosłup – i będzie po człowieku. Albo kolejna jego ofiara nie wytrzyma i ściągnie mu maskę z twarzy. Wtedy już będą musieli ją zabić. Taka jest prawda, tak to wygląda.

– Chce pan powiedzieć, że prokurator nie jest od układania się, ale od konsekwentnego ścigania sprawców?

– Prokurator K. z prokuratury rejonowej, który prowadził sprawę porwania, nie chciał nawet iść do sądu z wnioskiem o areszt dla podejrzanego, chociaż miał bezsprzeczny dowód, że człowiek, o którym mowa, był w tamtym miejscu dokładnie wtedy, gdy ja tam byłem.

– Jaki?

– Mandat wlepiony mu przez strażnika leśnego za wypalanie traw. Miejsce mojego pobytu było wytypowane stuprocentowo. Schowałem w toalecie fragmenty swoich paznokci, więc prokurator dysponował dowodem w postaci śladów genetycznych, chociaż sprawcy zrobili wiele, by zatrzeć wszystkie ślady. Jeśli strażnik wręczył właścicielowi posesji mandat, to on tam fizycznie był. Zresztą widział go w tamtym czasie jeden z sąsiadów. Ja wisiałem wówczas na haku i robiłem za worek treningowy. Ale prokurator twierdził, że nie można podejrzanego aresztować, bo nie ma twardych dowodów. Napisał wniosek o areszt dopiero wtedy, gdy rozpoznałem głos podejrzanego. Wcześniej nawet go zatrzymać nie chciał. Czy pani to rozumie? Bo ja nie.

– Jak zachowywał się w sądzie oskarżony?

– Nie był twardzielem, nie robił groźnych min, które świadczyłyby raczej o jego słabości, kompleksach, niż sile. Miał świadomość tego, co się dzieje, nikogo nie wydał. Z tego, co wiadomo, za pilnowanie mnie dostał 4 tysiące euro, ale mu się to szybko rozeszło, bo koszty, przejazdy, adwokat – to wszystko kosztuje. Żeby za taką kwotę ryzykować 7–8 lat więzienia?

– **Porywali hurtowo, zarobki też były hurtowe.**

– Okej, niech zarobi nie 4, a 50 tysięcy euro, ale, nie daj Boże, ja bym im tam zszedł i ktoś by to udowodnił. Dostałby 15–25 lat. Warto? Zresztą tu nie ma co się zastanawiać, normalny człowiek tego nie zrozumie. Ja pani powiem szczerze, jeśli pracowałbym w wydziale terroru kryminalnego, to wyłapałbym tych bandytów w ciągu pół roku.

– **Korzystając z usług półświatka?**

– Nie mam żadnych związków z półświatkiem, to bzdura. Ale jeśli ja, zwykły człowiek, byłem w stanie w ciągu zaledwie kilku tygodni dowiedzieć się, kto mi to zrobił, kto brał w tym udział, to policja zajmująca się zawodowo ściganiem przestępców mogłaby to zrobić bez problemu. Ja rozumiem, że moja motywacja była inna, ale to naprawdę jest do zrobienia.

To tylko strach

– **Pokonał pan strach, który po tego typu przeżyciach jest oczywisty?**

– Nie można całe życie się bać. Żona mnie namawiała, żeby stąd wyjechać, najlepiej za granicę. Gdziekolwiek. Odpowiedziałem kategorycznie, że nie zamierzam funkcjonować poza Polską. Owszem, mogę wyjechać za granicę, znam języki, mam tam przyjaciół, znajomych, dobrze się czuję za granicą.

– Zatem w czym problem?

– Nie może być tak, żeby jeden czy dwóch baranów decydowało, co mam w życiu robić, a ja się odwracam plecami, chowam głowę w piach i udaję, że nic się nie dzieje. Oni plują na to! O tym, gdzie mam mieszkać, sam decyduję, nie będzie mi dyktował jakiś łysy. Może jest w tym przekora, ale przecież to moje życie. Tak uważam, zdania nie zmienię. Słucham rad, ale dostosowuję się do nich tylko wtedy, gdy się z nimi zgadzam. Nigdy w formie przymusu, nakazu, bo wtedy to się robi paranoja, a nie życie.

Pytała pani, czy miałem kontakt z przestępczością zorganizowaną. Jeśli ktoś, kto zaczynał interesy w latach 90., zarzeka się, że nie miał takich kontaktów, to zwyczajnie kłamie. Dzisiaj to jest Wersal przy tym, co było kiedyś. Nie było wiadomo, czy lepiej komuś być winnym pieniądze, czy żeby ktoś był dłużnikiem. Władzę miały łysole i jak się człowiek upominał o swoje pieniądze, to mógł stracić życie. Te wszystkie przelewy firmowe to bzdura była. Teraz to dyrektor banku jest przestępcą, bo okrada też w sposób zorganizowany. Albo te wszystkie piramidy finansowe... tylko że białe kołnierzyki nie wyrywają ludziom zębów kombinerkami, nie obcinają palców.

– Czasy się zmieniły. Dziś ludzie kupują kamienice i bandyci z miasta przychodzą po procent od wartości, takie

„janosikowe”. Mają informacje z pierwszej ręki, niewykluczone, że z banku, od notariusza.

– Do mnie też przychodzili po haracze. Nigdy im nie płaciłem. Gdybym zaczął – zawsze bym płacił. Mówiłem sobie: „Nie zrobię tego, najwyżej nie zarobię, zrezygnuję z interesu”. Jeśli zaczniemy się ich wszystkich bać, to do czego to doprowadzi? Dziś jest wielu bogatych ludzi, ale połowa majątku zazwyczaj jest w kredycie, leasingu. Teraz bandyci rzeczywiście są poukładani, mają kontakty, urzędników, doradców. Ale nie są Bogiem wszechmogącym. Trzeba realizować swoje marzenia, nie zamykać się w domach ze strachu, że przyjdą po mnie, zabiorą moje pieniądze. Ale trzeba zachowywać we wszystkim zdrowy rozsądek.

– Zmienił pan coś w swoim życiu poza zweryfikowaniem grona znajomych?

– Zracjonalizowałem czas poświęcany na interesy. Inaczej wyglądają proporcje czasowe praca–rodzina. Dziś inaczej patrzę na świat. Generalnie życie dało mi kolejną szansę. Bóg, opatrzność, los – ludzie różnie to nazywają, każdy inaczej na to patrzy. Najważniejsze, że przetrwałem tamten czas, przeżyłem, wróciłem do rodziny. Nie ma co się obrażać na swoje życie. Ono takie jest, jakie jest. Inni mają gorzej. Ten nieszczęśnik Krzysztof Olewnik cierpiał latami. U mnie to była chwila. TYLKO 31 dni koszmaru.

W życiu nie jest jak w filmie

Jak to możliwe, by policja gubiła człowieka z okupem? Skąd taka nieudolność w ściganiu porywaczy? Jak wyglądają kulisy śledztw dotyczących porwań dla okupu? Czas, by o to wszystko zapytać Andrzeja Kawczyńskiego, Kawiora, byłego szefa Wydziału do Walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw Komendy Stołecznej Policji, którego poznaliśmy na początku tej książki.

Spojrzenie w oczy jeńca

– W aktach różnych spraw karnych przeciwko członkom grupy mokotowskiej jak bumerang powraca wątek skorumpowanych funkcjonariuszy. Miał pan w swoim wydziale zblatowanych z mafią policjantów?

– Zidentyfikowanych? Ani jednego, co oczywiście nie znaczy, że nigdy nie mieliśmy wobec siebie nawzajem cienia podejrzeń. Działo się tak, gdy wszystko się sypało, żadna robota nam nie wychodziła i przestępcy byli kilka kroków przed nami. Tak było w przypadku obcinaczy palców, wtedy nie położyłbym ręki za kolegów. Może raz

nie wyjść, nawet dwa lub trzy, ale kiedy taka sytuacja trwa miesiąc, a nawet pół roku, kiedy nigdy nam nie wychodzi, to sytuacja robi się napięta. Dziś, z perspektywy lat, oceniam, że żaden z policjantów wydziału terroru kryminalnego KSP nie pomagał gangsterom. Uczyliśmy się wtedy na własnych błędach, czasami sytuacja nas przerastała, dlatego nie wychodziło. Jestem tego pewien, że moi ludzie nie wynosili przestępcom informacji, nikogo nie ostrzegali. Wcześniej takie rzeczy niestety się zdarzały.

– Kogo ostrzeżono?

– Roberta Cieślaka z grupy „mutantów”, który później w Magdalence strzelał do policjantów podczas obławy. Cieślak musiał mieć swojego człowieka w policji. I ten człowiek przekazał mu precyzyjną informację, że właśnie startuje policyjny śmigłowiec, który go będzie ścigać. On był wtedy w taksówce. Odebrał telefon, słuchał z uwagą swojego informatora, po czym dał polecenie kierowcy, aby zmienił kurs i zjechał do lasu.

– Kto dzwonił wtedy do Roberta Cieślaka?

– To mógł być oficer dyżurny, ktoś z obsługi śmigłowca, przypadkowy obserwator, naprawdę trudno powiedzieć. Ktokolwiek to był – okazał się nie do namierzenia.

– Jak to możliwe, że podczas przekazywania okupu policja traci z oczu człowieka, który pojechał z pieniędzmi?

– Nie zadziałał sprzęt. Takie rzeczy niestety się zdarzają. To tylko urządzenie, które raz działa, raz nie. Laikom wydaje się, że wszystko jest takie proste, że bez problemu można kontrolować

walizkę z pieniędzmi. Na filmach nawet najbardziej skomplikowane sytuacje wydają się proste, a policja namierza i zatrzymuje sprawcę w ciągu półtorej godziny, bo tyle zazwyczaj trwa film. W życiu nie jest tak jak w filmie. Przekazywanie okupu w przypadku obcinaczy palców rozgrywało się nocą, na cmentarzu lub w pociągu. Torbę z pieniędzmi wyrzucano przez okno. W takich miejscach i okolicznościach trudno założyć obserwację.

– Nie można było włożyć do torby nadajnika GPS?

– To nie wchodziło w grę, za duże ryzyko. Przesłany wcześniej czy później znaleźliby nadajnik. Urowadzenia to najtrudniejsze dla policji przestępstwa właśnie dlatego, że mamy do czynienia z żywym człowiekiem, który za chwilę może przestać być żywy! I to zarówno z powodu naszego błędu, jak też błędu rodziny. Albo przestanie być żywy, bo zbójce pomyślą, że coś jest inaczej niż w rzeczywistości. Zmiennych jest wiele. Nie ma większego stresu w naszej pracy niż podczas uwalniania porwanego człowieka. Z drugiej strony – nie ma większej satysfakcji, gdy już go odbijemy.

– Nie przypominam sobie doniesień prasowych o uwolnionych przez policję ofiarach takich przestępstw.

– Bo o uwolnieniu nie piszecie. Dobra informacja to żadna informacja. Gdyby ujawniono ciało w lesie, tobyście cały dzień o tym w mediach nadawali. Nie doczekamy się normalności, jeśli nie będzie samokontroli mediów.

– To proszę opowiedzieć o akcjach zakończonych sukcesem.

– Po jednego z jeńców pojechaliśmy w środku zimy do Dębłina. Porywaczy było kilku, jacyś Czeczeni czy Gruzini. Mieszkali w baraku przerobionym na tanie lokale mieszkalne. Skradamy się długim korytarzem i wpadamy do mieszkania, gdzie miała znajdować się kryjówka. Trzech ich było. Jeden leżał na łóżku, dwóch siedziało na krzesłach, ale żaden nie miał kajdanek i kaptura na głowie. Przez moment pomyślałem, że może się pomyliliśmy. Wytargaliśmy ich na dwór i rzuciliśmy na zaspę. Leżeli bez ruchu na śniegu. Rozglądamy się i oceniamy sytuację – żadnego zagrożenia. Koniec akcji, pozamiatane. No dobra, ale gdzie jest jeńiec? Pytamy, a oni twardo milczą. Dobrze, że mieliśmy zdjęcie porwanego człowieka. Porównaliśmy je z tymi trzema na zaspie i nic – oni wszyscy tacy sami. Meldujemy, że twierdza zdobyta, ale jeńca nie ma. No, jak nie ma, to nie ma, trzeba wracać... Przystąpiliśmy zatem do rutynowych oględzin, żeby zobaczyć, co zniszczyliśmy. Wtedy jeden z nich nieznacznie kiwnął głową. Odciągnęliśmy go na bok i dopiero na osobności powiedział, że to on jest tym zakładnikiem. Zobaczyłem w jego oczach strach, a po chwili ulgę i radość...

– ...gdy dotarło do niego, że to już koniec koszmaru.

– Naprawdę nie ma większej radości w naszej pracy niż takie chwile. Innym razem odbiliśmy porwanego człowieka w Szamotułach pod Poznaniem. Namierzaliśmy to miejsce o drugiej w nocy. Trzeba było działać szybko, żeby rano sytuacja się nie zmieniła na naszą niekorzyść. Poprosiliśmy o pomoc SPAP, czyli Samodzielny Pododdział Antyterrorystyczny Policji, z Poznania, ale po drodze od lokalnego policjanta dowiedzieliśmy się, że owszem, możemy zrobić wejście siłowe, ale przepisowo, czyli o szóstej rano.

Powiedziałem mu: „Okej, skoro tak mówisz, to pewnie masz rację, ale napisz mi to i się pod tym podpisz, że odbicie jeńca zgodnie z przepisami może nastąpić dopiero za cztery godziny”. Wtedy poczekamy.

– **Napisał?**

– W policji są tacy ludzie. Ten konkretny człowiek był oficerem dyżurnym i miał mentalność dyżurnego.

– **Czyli jaką?**

– Wpisać zdarzenie i przekazać innym do realizacji. Nie zatrzymywać się dłużej nad sprawą. Odbiliśmy wtedy tego człowieka bez czekania do szóstej. Wracaliśmy do Warszawy w konwoju, na „gwizdkach” [sygnałach]. I wtedy jeden z kolegów przyznał się: „Nie mam wkładki [czyli pozwolenia] na pojazdy uprzywilejowane”. Na to odezwał się drugi: „A ja w ogóle nie mam wkładki na pojazdy służbowe”. Obaj zastąpili kolegów, którzy po kilkudziesięciu godzinach na nogach nie nadawali się do kierowania, ale jakby ktoś ich sprawdzał albo jakby się coś stało, to nie mieliby wytłumaczenia. Odbity zakładnik przysłuchiwał się tej rozmowie w milczeniu. „Jacy wy jesteście normalni – powiedział na koniec. – Wy to wszystko zrobiliście dla mnie”.

– **Szkoda, że nie mógł wam tego powiedzieć człowiek, którego obcinacze palców więzili i dręczyli przez 31 dni.**

– Też żałuję. Skoro pani z nim rozmawiała, to już pani wie, że nie chwalił policji za ciężką pracę. Popelnialiśmy błędy, ale mówienie, że wszystko zostało spartaczone, byłoby niesprawiedliwe. Każda

informacja od ofiar, rodzin czy nawet przestępców jest prawdą, ale to ich prawda. Nie zawsze obiektywna. Trudno mi o tym rozmawiać, ponieważ musiałbym naświetlić kulisy pracy operacyjnej przy porwaniach dla okupu, a to zrobiłoby więcej złego niż dobrego. O tym się z zasady nie mówi. Podczas jednego z gangsterskich procesów, w którym zeznawałem w charakterze świadka, pewien ambitny adwokat chciał się dowiedzieć, w jaki sposób zdobywamy wiedzę operacyjną w konkretnych sprawach. Wytłumaczyłem, że w tym przypadku to zasługa specjalistycznego sprzętu, który składa się z urządzenia i obsługi. Prowadząca rozprawę sędzia zadowolila się taką odpowiedzią, zdając sobie sprawę, że odkrywanie kart byłoby strzałem w stopę.

– Mężczyzna, o którego pytam, powiedział policji, gdzie był przetrzymywany.

– Podał cenne informacje, ale proszę spojrzeć na to obiektywnie i ocenić, co mógł widzieć człowiek w kapturze: że droga wybrukowana, że dom murowany, bo dotykał elewacji? Odszukać jeden konkretny dom w promieniu 30 km w województwie mazowieckim to zadanie na pograniczu cudu. Stu ludzi mogłoby szukać przez miesiąc, tyrać dzień i noc i nic by nie znaleźli. Ale szczęście sprzyja lepszym. Trzeba w to wierzyć, że to my, policja, a nie oni, jesteśmy lepsi.

– Tamten człowiek – mimo horroru, jaki przeżył – w całej tej koszmarnej sytuacji zachował zimną krew. To typowe w takich okolicznościach?

– Z podobną postawą nigdy wcześniej ani też nigdy później się nie spotkałem. W pomieszczeniu, w którym był przetrzymywany,

pozostawił swoje DNA, którego nie udało się zniszczyć porywaczom, mimo zastosowanych przez nich środków chemicznych w celu pozbycia się śladów.

– Schował obgryzione paznokcie...

– Ale nie tylko. Na tym jednak poprzestaniemy, ponieważ szczegółowe informacje byłyby swoistą instrukcją dla porywaczy. Zbóje tylko czekają, by się podszkolić z naszych technik. Dlatego o kulisach pracy operacyjnej rozmawia się na zajęciach w szkole policyjnej, odprawach służbowych i z kolegami po fachu. Generalnie – w firmie, a nie na forum.

Sami sobie hodujemy porywaczy

– W niektórych krajach publikowane są „instrukcje” dla kobiet na wypadek gwałtu. Chodzi o to, by one ten gwałt przeżyły, a nie zostały po gwałcie zamordowane.

– Można by opracować cały algorytm dla osób uprowadzonych dla okupu, katalog zachowań na wypadek zaistnienia takiego przestępstwa: po pierwsze, przeżyć, po drugie, pozostawić po sobie jak najwięcej niewidocznych gołym okiem śladów, aby policja mogła zidentyfikować miejsce przetrzymywania jeńca. Obawiam się jednak, że to by pomogło pojedynczym osobom. Większość byłaby pokrzywdzona, gdyż wiedza przestępców zostałaby wzbogacona. Poza tym zastanawiam się, gdzie miałby zostać opublikowany taki algorytm. W prasie? W telewizji? Już powiedziałem, jaki jest mój stosunek do mediów. To by się nie sprawdziło.

– Rodzinom też przydałby się taki algorytm, bo przecież w swoim strachu mogą całkowicie ulec żądaniom porywaczy.

– Pierwszego dnia po porwaniu rodziny są przerażone, ale już drugiego dnia – oburzone. „Co wy, policja, robicie w tej sprawie?“, „Gdzie jest mój mąż?“, „Przecież wy nic nie robicie!“ – to najczęstsze reakcje. Pracy operacyjnej, która w takich przypadkach jest prowadzona, nie widać gołym okiem, a przecież sztab ludzi pracuje nad sprawą dzień i noc. Potrzeba czasu, by efekty były namacalne, a człowiek uwolniony cały i zdrowy. Wiele rodzin ze strachu nie zgłasza nam porwania bliskiej osoby. „Nawet się nie waży iść na policję, bo będziemy o tym wiedzieć – słyszą na wstępie. – Ty zapłacisz nam, my zapłacimy im...“ i ludzie wierzą, że jesteśmy skorumpowani, że pracujemy na dwa fronty.

– Dlatego wynajmują detektywa Rutkowskiego?

– Rutkowski był prawie przy wszystkich sprawach [związanych z gangiem obcinaczy palców – przyp. aut.], brał od rodzin niemałe pieniądze, głównie za to, że któryś z jego ludzi siedział w domu z tymi ludźmi. Rodziny wierzyły w to, co im mówił, bo chciały wierzyć, że ktoś potrafi sprawę rozwiązać. Tylko w 2004 roku mieliśmy zgłoszonych 18 uprowadzeń, a szacuje się, że dopiero trzykrotność oficjalnych zdarzeń daje właściwy obraz.

– Teraz też ludzie porywani są dla okupu?

– Znacznie rzadziej, chociaż internet daje sprawcom ogromną wiedzę o potencjalnych ofiarach. To, co ludzie wypisują o sobie na Facebooku, to kopalnia informacji dla zbójów. Zdjęcia

z egzotycznych wakacji, mój nowy samochód, nowy dom, kochana żona, kochane dzieci... No, w głowie się nie mieści, jak sami ułatwiamy życie przestępcom. Portale społecznościowe stały się codziennością, ale trzeba w tym wszystkim zachować zdrowy rozsądek. Chwaląc się statusem materialnym, publikując informacje o tym, do jakiej szkoły chodzą nasze dzieci i kiedy wyjeżdżamy na dalekie wakacje, narażamy siebie i swoich bliskich na poważne niebezpieczeństwo. Obcinacze palców musieli się trochę nachodzić, żeby zebrać komplet takich informacji. Teraz bandyci mają to wszystko w internecie.

Prokuratura nie odpuszcza "Wojtasom"

Uniewinnienie gangu obcinaczy palców w procesie prowadzonym przez sędzię Barbarę Piwnik nie oznacza bynajmniej bezkarności najgroźniejszego odłamu grupy mokotowskiej. Do sądu trafił bowiem kolejny akt oskarżenia, który media już okrzyknęły przełomowym. Na ławie oskarżonych – czternastu „Wojtasów”, z twórcą tej formacji, Wojciechem S. Wojtasem, na czele. Jest też dobrze nam już znany Grzegorz K. Ojciec. Rozprawom przewodniczy sędzia Sądu Okręgowego Magdalena Wójcik, wspierają ją sędzia Dariusz Łubowski i doświadczeni ławnicy.

Prasówka:

„Akt oskarżenia skierowany do stołecznego sądu okręgowego przez plocką prokuraturę to finał śledztwa trwającego od 2004 roku. (...) Nigdy wcześniej nie przedstawiono nikomu zarzutów

porwania i obcięcia palców, a tym bardziej zabójstwa uprowadzonych. Ten proces ma być przełomowy. Tym bardziej że kilku uczestników tych koszmarnych zdarzeń przerwało znowę milczenia.

Rozprawa w superbezpiecznej sali w dawnych koszarach na Bemowie rozpoczęła się z opóźnieniem. W budynku otoczonym murem i drutem kolczastym to nic nadzwyczajnego, bo pilnujący bezpieczeństwa policjanci i ochroniarze w związku z wyśrubowanymi procedurami muszą więcej czasu przeznaczyć na kontrolę osób, które chcą wziąć udział w rozprawie. Przejść przez bramkę pirotechniczną i sprawdzenie wykrywaczem metali muszą nie tylko osoby z publiczności, ale nawet adwokaci. Na salę nie można wносить żadnej elektroniki, jak telefon czy laptop. – Tylko notatnik i długopis – pouczał jeden z policjantów. Sąd zrobił w piątek wyjątek od tej reguły jedynie dla fotoreporterów i operatorów kamer. (...)

Część oskarżonych odpowiada za brutalne porwanie dziesięciu osób, z których kilkorgu obcięto palce, jedną zamordowano, a dwie zniknęły bez śladu. 31 marca 2004 roku uprowadzili Mariusza M., domagając się za jego uwolnienie 800 tys. euro. Rodzice chłopaka zapłacili – ponoć za radą prywatnego detektywa – «tylko» 127 tys. dolarów i 10 tys. euro. Wówczas kidnaperzy mieli przysłać obcięty palec chłopaka. Później kontakt z porywaczami się urwał. W maju z maltretowane ciało Mariusza znaleziono w pobliżu miejscowości Władysławów. Zdaniem śledczych to «Wojtas» wydał polecenie zabicia M.

W niemal każdym przypadku bandyci grozili, że w razie niespełnienia żądań obetną ofiarom palce lub je zamordują. Dowiedli prawdziwości obu gróźb. – Porwali mnie ze sklepu,

podając się za policjantów. Pobili, założyli worek na głowę i wywieźli gdzieś samochodem. Potem bili. Moja żona była wtedy w ciąży, a kazali jej zorganizować 300 tys. dolarów, grożąc, że mnie zabiją – opowiadał mężczyzna, który spędził w niewoli kilkadziesiąt dni. – Prawdziwy koszmar zaczął się później. Gdy mnie trzymali i czekali na okup, z nudów bawili się w oprawców. Potrafili bić młotkiem po głowie. Śmiali się przy tym. Innym razem założyli mi worek na głowę i odpalili piłę mechaniczną. Mówili, że nie dostali okupu, to żona dostanie mnie w kawałkach – wspominał porwany.

Bandyci trzymali mężczyznę w specjalnej celi w domku wynajętym w miejscowości Władysławów w okolicach Grodziska Mazowieckiego. Tam obcięli mu kawałek palca. Gdy rana zaczęła się «babrać», ucięli sekatorem jeszcze jeden kawałek, ponieważ «specjalny opatrunek trzeba było położyć na świeżej ranie». W tym samym czasie w domu miał być więziony co najmniej jeszcze jeden zakładnik. Nie udało się ustalić, kim był. Pewne jest, że podobny horror we Władysławowie spotkał też innych uprowadzonych.

(...) Zanim rozpoczął się proces w sprawie brutalnych porwań, sąd musiał wysłuchać żali niektórych podsądnych o ich problemach zdrowotnych. Więcej można było usłyszeć o problemach zdrowotnych i dolegliwościach oskarżonych niż o bólu i cierpieniu osób, których porwanie czy zabicie zarzucił im prokurator”.

(Rafał Pasztelański, Grozili piłą mechaniczną i symulowali egzekucje, TVP, 27.01.2017) —OQAxUGNSZAJBTMHZVJWz1bbg

Teraz mówi Korek

Uścisk jego ręki odebrałam jako stanowczy i niewymuszony. Patrzył prosto w oczy, z uwagą, jakby chciał zeskanować i z góry określić intencje rozmówcy. Jego twarz wydawała się spokojna, rysy raczej łagodne, spojrzenie zdecydowane. Szczupły, średniego wzrostu, sportowa sylwetka. Podczas naszego spotkania w Areszcie Śledczym na Służewcu Andrzej H., pseudonim Korek, szef grupy mokotowskiej, uśmiechnął się tylko raz. Mówił wtedy o swojej rodzinie, ale ta część naszej rozmowy nie jest do publikacji. Osobisty wątek podsumował słowami: „Ja w więzieniach przesiedziałem kawał życia. Nie skarżę się, bo przywykłem, ale jak pomyślę, ile czasu tu zmarnowałem, zamiast pomagać żonie w wychowywaniu dzieci, to mnie...”. Lekkie rozdrażnienie okazał jedynie przez chwilę, kiedy się dowiedział, że towarzyszyć nam będzie funkcjonariusz Służby Więziennej.

Nasza rozmowa odbyła się 30 września 2016 roku. Trwała blisko trzy godziny. Oto spore jej fragmenty.

– Nie wiem, czy nasze spotkanie nie okaże się bezcelowe – oznajmił już na wstępie, zajmując miejsce przy stoliku w świetlicy z okratowanymi oknami. – Pani będzie oczekiwała ode mnie odpowiedzi, których ja nie mogę udzielić. Nawet jeśli odpowiem, to

– przynajmniej w pewnych sprawach – będę musiał kłamać, czyli robić z siebie idiotę. A ja naprawdę nie lubię robić z siebie idioty. Mnie takie coś rozkłada na łopatki.

– Spróbujmy wypracować kompromis: moją rolą jest pytać, ale nie obrażę się, jeśli nie będzie pan chciał odpowiadać. Nic na siłę, to nie przesłuchanie. Gdy pytanie będzie panu nie na rękę, niech pan to powie wprost.

– Proszę nie odbierać tego osobiście, czytałem pani książki i nie mam do pani uprzedzeń. Jednak nigdy dotąd nie dałem się sprowokować żadnemu dziennikarzowi do udzielenia choćby komentarza, nie mówiąc o wywiadzie. Owszem, rozważałem, że może jak stąd wyjdę po odbyciu kary, co będzie za kilka lat, to spotkam się z kimś i wyprostuję pewne nieściskości. Ale nie wiem, czy to w ogóle ma sens. Coś takiego jak wywiad, autoryzacja w ogóle nie wchodzi w rachubę.

– Nie upierajmy się, że to musi być wywiad. Niech to będzie rozmowa.

– W rozmowie pytania zadają obie strony. Jest pani na to przygotowana?

– Spróbujmy. Jak nie wyjdzie, to damy sobie spokój i pożegnamy się po kwadransie.

– Ma pani świadomość, że to będzie trudna rozmowa. Są przecież sprawy, o których pani być może wie, a ja nie mogę rozmawiać, na przykład o pieniądzach czy ludziach, z którymi pracowałem. I bez tego mam dość problemów, bo przypisują mi związek z 30

zabójstwami. Proszę się nie dziwić, że jestem ostrożny.

– **Wiadoma sprawa.**

– O co chce mnie pani zapytać?

– **O narkotyki. Jak to możliwe, że policja niemal od początku wiedziała, że kokaina w separatorze gazu należy do pana? Pan, który był w tej grupie niekwestionowanym szefem, musiał mieć w swoich strukturach kreta, i to bardzo blisko siebie.**

– Statek nie wpłynął jeszcze do polskiego portu, był dopiero w Holandii, a już mówiono, że „kokaina płynie do Andrzeja”. Wszyscy wiedzieli, że to mój towar.

– **Wszyscy, czyli kto?**

– Ludzie, którzy się tym zajmują. To właśnie jedno z pytań, na które nie mogę odpowiedzieć.

– **Po pierwszym ważeniu przechwyconego w Gdyni towaru ogłoszono, że w separatorze było niemal 400 kg kokainy, a dokładnie 396. Tymczasem w akcie oskarżenia wyliczono panu 325 kg. Gdzie się podziało 71?**

– No właśnie: gdzie? Musi pani spytać policję i prokuratora, bo ja nawet nie dotknąłem tego towaru. Chyba nie uważa pani, że wszyscy policjanci to uczciwi ludzie...

– **Pan był poukładany z policją?**

– Słowo „poukładany” jest nieadekwatne do rzeczywistości. Co miałyby oznaczać? Że im donosiłem? Płaciłem? Nigdy tego nie robiłem, chociaż raz pożyczyłem 30 tysięcy pewnemu policjantowi, ale to zupełnie inna historia.

– **Oddał dług?**

– Nie oddał. Inaczej odzyskałem swoje pieniądze. Uchodziłem za gościa, który zawsze zarobi i da innym zarobić – kiedyś na spirytusie, papierosach, w kantorach, potem na maszynach hazardowych... Miałem głowę do interesów i pieniądze, stąd podchody różnych ludzi, w tym mundurowych.

– **Dorabiali przy panu do pensji?**

– Jest mnóstwo nieuczciwych policjantów, ale nie wypada mi o nich mówić. Dla pani oni są źli, bo współpracują z przestępcami, dla mnie są dobrzy, bo pomagają, ostrzegają. Od 12 lat jestem poza obiegiem i nie wiem – może dziś w policji pracują sami uczciwi.

**O nierzetelnych mediach
i Masie kłamczuszk**

– **W poważnych gazetach pisano, że współpracował pan z WSI oraz DEA – amerykańską agencją antynarkotykową.**

– To są wasze, dziennikarzy, wymysły. Chcecie zwiększyć poczytność gazet, oglądalność programów, podnieść sprzedaż wydawnictwa, więc tworzycie różne historie. Komuś to było potrzebne do ubarwienia artykułu. Nieważne, że napisał

nieprawdę, ważne, jak to brzmi! Macie w mediach siłę kreowania bohaterów i antybohaterów. Przecież nie będę z wami chodził po sądach, chociaż nie ukrywam, raz miałem na to ochotę.

– **Kiedy?**

– We „Wprost” ukazało się zdjęcie mojej twarzy bez paska, z pełnym imieniem i nazwiskiem. Pisano o mnie w wiadomym tonie. Akurat wtedy moja żona była w szkole na wywiadówce. Na biurku wychowawczynie naszej córki leżała ta gazeta... Pewnie wygrałbym sprawę w sądzie, bo publikacja wizerunku w takim kontekście to przecież działania wbrew prawu prasowemu, ale adwokat przekonał mnie, żebym nie kierował pozwu. Mówił, że to prowokacja i redakcja była przygotowana na wypłatę odszkodowania 70 tysięcy zł, ale do czasu zakończenia procesu mój wizerunek byłby wielokrotnie publikowany.

– **Pracowałam wtedy we „Wprost” i wydaje mi się, że przyczyna była bardziej prozaiczna: ówczesne kierownictwo redakcji uważało, że przestępcy powinni być przedstawiani w naszych artykułach z twarzą, imieniem i nazwiskiem. To był swoisty sprzeciw tygodnika wobec ukrywania w mediach twarzy złoczyńców. Rzeczywiście nie było to zgodne z prawem prasowym, narażało autorów na różnego rodzaju nieprzyjemności, ale przestępczość zorganizowana tak się dawała we znaki zwykłym ludziom, że redaktor naczelny podjął ryzyko.**

– A z drugiej strony wykreowaliście na bohatera kogoś takiego jak Masa, przypisując mu szlachetne pobudki działania. Proszę pamiętać, że kiedy gangster się otwiera, to nie jest to bynajmniej

chęć oczyszczenia, rozliczenia ze społeczeństwem za popełnione grzechy. Świadkowie koronni mówią tylko to, co im wygodne, wybielają się kosztem innych. Tak zrobił Masa, a wy zbudowaliście mu wizerunek niezgodny z rzeczywistością. Dzięki wam ten człowiek jest dziś celebrytą, komentatorem wydarzeń, znawcą wszelkich zagadnień z przestępczości. Przyjmujecie za pewnik wszystko, co on wygaduje i wypisuje, nawet wierutne bzdury. Nie chcę być wulgarny, ale przez tego patafiana i jego mechanizm napuszczania ludzi na siebie nawet wy, dziennikarze, zaczęliście się ze sobą szarpać, skakać sobie do oczu. Była pani autorką pierwszych wywiadów prasowych i telewizyjnych z Masą, budowała pani społeczną sympatię do niego, a przez to wiarę w to, co mówił. Nie czuje się pani współodpowiedzialna za to, kim dziś jest Masa?

– Po części tak. Ale wtedy istniało zapotrzebowanie społeczne na bohatera oczyszczającego kraj z przestępczości. Masa jawił się jako jedyny sprawiedliwy, dlatego dostał od wszystkich ogromny kredyt zaufania. Dopiero czas pokazał, że zdarzało mu się – jak to subtelnie ujął przed kamerami generał Adam Rapacki, twórca Centralnego Biura Śledczego – mijać z prawdą. Policja i prokuratura nie przeszkodziły, by rozgrywał swoje gierki.

– Zatem pani widzi, jak powstają legendy. Zrobiliście bohatera i eksperta ze zwykłego kłamczucha, który poszedł na koronnego nie dlatego, że miał jaja, ale ze strachu. Czy wie pani, że on nawet w koronie straszył ludzi, wymuszając od nich pieniądze, a CBS mu to tuszowało? Na temat przestępczej działalności świadka koronnego Masy obszernie mówił w śledztwie Roman O., ps. Sproket, który przez lata wykonywał jego zlecenia, i co się z tą

wiedzą stało? Dlaczego wy, dziennikarze, nic w tej sprawie nie robicie? Gdzie wasza rzetelność dziennikarska?

– Kilku dziennikarzy podjęło sprawę zeznań Sproketa, budząc w Masie wściekłość, jakiej wcześniej nie znaleźliśmy. A pan zna Masę? Zeznawał w pana sprawach?

– Widziałem go może ze dwa razy w życiu. Nic mnie z nim nie łączyło, chociaż on twierdzi inaczej. Kłamał w śledztwie, co wyszło na moim procesie. Opowiadał, że u mnie była najtańsza i najlepsza kokaina, a jak go spytałem w sądzie, ile ode mnie kupił tej kokainy, to okazało się, że ani grama. Tylko strach sprawił, że zaczął współpracować z prokuraturą. Kiedy zabito Andrzeja Pershinga, Masa był w panice, bo mu czarną różę przysłano do domu. Zastraszili go, więc szukał rozwiązania problemu. Schował się na Śląsku, za chwilę został świadkiem koronnym i tak to wszystko się zaczęło. Pamięta tylko to, co mu wygodne. Skruszeni przestępcy generalnie zeznają tak, jak im to pasuje, że niby tylko oni są szlachetni, a wszyscy inni źli. Jak można im wierzyć bez konkretnych dowodów? Budować oskarżenia wyłącznie w oparciu o to, co powiedzą. O ile dziennikarzom można to jeszcze wybaczyć, to już prokuraturze, a w szczególności sądom, wybaczyć się nie da.

O kokainie, kopalni diamentów i żonie Bajbusa

– Przeciwno panu nie stanął świadek koronny, ale bliski współpracownik, niejaki Żyd, któremu musiał pan ufać, przynajmniej tak mi się wydaje w oparciu o lekturę jego

wyjaśnień. Sąd nie złagodził mu kary, chociaż Żyd powiedział w śledztwie wszystko jak na spowiedzi. „Rola oskarżonego w rzeczywistości była poważniejsza, aniżeli on sam na nią wskazywał” – uznał Sąd Apelacyjny, utrzymując mu wyrok.

– Marek M., znany pod fałszywym imieniem i nazwiskiem Dawid Grossbaum... Dostałem go w spadku po Art-B, po Bagsiku i Gąsiorowskim. Miał niezłe rekomendacje, mówiono o nim, że solidny i warto skorzystać z jego doświadczenia. W sprawie z kokainą przejętą w Gdyni Marek M. przyznał się do przestępstwa, którego nie popełnił.

– Po co miałby to zrobić?

– Kiedy okazało się, co jest w separatorze gazu, aresztowano jego kochankę Karolinę i on postanowił ją ratować. Wziął na siebie winę po to tylko, aby się uwiarygodnić w całej tej historii. Zapewne było tak, że prokurator uświadomił go, o co naprawdę chodziło. A chodziło nie o Karolinę, nie o Żyda, lecz o mnie. Dlatego Marek M. poszedł na współpracę z prokuratorem w przekonaniu, że to uchroni go przed więzieniem, ale się przeliczył.

– Szczegółowo wyliczył transfery dolarowe dla Kolumbijczyków, stanowiące przedpłatę za transport kokainy...

– Na kokainę nie trzeba pieniędzy. W Kolumbii nie ma takiego pojęcia jak przedpłata. Takie rzeczy opowiadają ci, którzy kompletnie nie mają pojęcia, jak funkcjonuje ten interes. Rozliczenia wyglądają inaczej, niż się o nich w gazetach pisze.

Inaczej, niż opowiadał o nich prokuratorowi Żyd. Gdyby ktoś pojechał do Kolumbii z workiem pieniędzy na kokainę, to wróciłby do domu bez pieniędzy i bez głowy. Życie nie stanowi tam żadnej wartości. Jeśli zna się odpowiednich ludzi i zdobędzie ich zaufanie, to zamówienie tony lub dwóch kokainy nie stanowi problemu, a rozliczenie następuje po trzech miesiącach lub nawet po pół roku. Strata 400 kg kokainy nie jest – mówiąc szczerze – jakoś szczególnie dotkliwa. Magazyny pękają tam w szwach od tego towaru, a liście wciąż rosną. Byłem w takim magazynie i widziałem 120 ton kokainy. Oni proszą się, żeby to brać, ale w Polsce nie ma rynku, który by to wchłonał.

– Nie zarobił pan na kokainie?

– Nigdy nie zarobiłem w Polsce na kokainie. Kilogram kosztuje 40 tysięcy euro, czyli za 100 kg trzeba by wyłożyć 4 miliony euro. Kto by to ode mnie kupił? Zna pani ludzi, w przestępczej strefie oczywiście, którzy mają takie pieniądze? Bo ja nie znam. No może Henryk N. Dziad miał, bo on miał pieniądze nawet wtedy, gdy węgiel woził, ale Dziad przecież nie żyje. Grupy przestępcze w Polsce nawet nie są zorganizowane – tu Masa miał rację, mówiąc, że mafia w Polsce to mafia trzepakowa. Ludzie jak widzą kilkadziesiąt tysięcy, to głupieją, a jak w grę wchodzi ze 100 tysięcy do zarobienia, to już jest taka podnieta, że tracą rozum. Z kim tu robić interesy?

– Może i trzepakowa ta mafia, a jednak wspólnicy zabijają się za zwykłego tira papierosów.

– Pani jest ze Szczecina, a wy tam w Szczecinie mówicie „to tylko papierosy”, traktujecie to normalnie, bo kiedyś marynarze wozili

kontrabandę. A to nie są TYLKO papierosy, lecz ogromne pieniądze, poważny przestępczy biznes. My z Lutkiem Adamskim [trzon „Wołomina”, zginął podczas strzelaniny w Gamie – przyp. aut.] już w latach 90. na jednym tirze fajek zarabialiśmy pół miliona, no, czterysta tysięcy na pewno, i to lekką ręką, więc sama pani widzi, jakie to pieniądze.

– Na wydobyciu diamentów w Namibii też pan zarobił czy to tylko legenda? Rzeczywiście kupił pan kopalnię, 12 procent udziałów?

– O sałacie nie będziemy rozmawiać. Ale powiem pani, że takiej kopalni się nie kupuje, a jedynie dzierżawi grunt od państwa. Płaci się tylko za dzierżawę. Możliwość eksploatacji określa się szacunkowo. Oczywiście trudno precyzyjnie wskazać, ale są to kwoty liczone w setkach milionów dolarów.

– W jakich okolicznościach dowiedział się pan, że zabito żonę Bajbusa?

– Byłem na Rakowieckiej, na enkach [oddział dla niebezpiecznych osadzonych – przyp. aut.]. Pamiętam ten dzień. Informacja pojawiła się na pasku w telewizji. Byłem zdziwiony, ale też zainteresowany sprawą, ponieważ Bajbus na mnie zeznawał. Od razu pomyślałem, że mogę mieć z tego powodu problemy, bo będzie na mnie i będę przesłuchiwany. Jednak nic takiego nie miało miejsca. To bardzo przykra sprawa. Do dziś jestem zniesmaczony. Nie powinno tak być, że giną postronne osoby. Nie pochwalam tego.

– Dlaczego wydano wyrok na Annę M.?

– Nie chcę powtarzać plotek.

– **Bajbus za dużo mówił w śledztwie?**

– Słyszałem zupełnie inną wersję, że o narkotyki chodziło i niezakończone rozliczenia, ale to tylko plotki. Jeszcze raz powtórzę: tak nie powinno być, że strzela się do kobiet. Wszyscy przecież mamy rodziny. Ale to brutalny świat. Każdy, kto do niego wchodzi, musi się liczyć z tym, że jak nie będzie fair do kolegów, to narazi nie tylko siebie, ale i rodzinę. Bajbus, tak jak my wszyscy, powinien liczyć się z konsekwencjami swoich czynów.

O chłopaku spod Grójca,
który stał się mokotowiakiem

– **Jak Bajbus, chłopak spod Grójca, trafił do grupy mokotowskiej?**

– Przyjął go do pracy Żyd. To było w 1998 roku, wszystko legalnie, wziąłem Bajbusa do maszyn. Jego żona prowadziła mały pub, gdzie można było wstawić kilka automatów do gier. Żyd miał wolną rękę do przyjmowania i zwalniania ludzi, zatrudniał księgową, która wszystko prowadziła. Do 2004 roku, czyli przez 6 lat, Bajbus był w mojej firmie operatorem maszyn. Nawet kiedy mnie zamknęli, wszyscy kojarzyli go ze mną. Nikt mu maszyn nie psuł, bo „był od Korka”, czyli mokotowski. A on stał się mokotowiakiem właśnie przy moich maszynach. Rozwinął skrzydła, gdy już byłem w więzieniu. W życiu bym przecież nie dopuścił, aby tak urósł! Nadawał się wyłącznie do przenoszenia

maszyn.

– **Bajbus nie był taki wyrywny do współpracy z prokuraturą, inni mówili dużo więcej niż on.**

– Ale zeznał, że widywał mnie codziennie. Tak to jest w aktach zapisane. Zapomniał dodać, że od zaplecza firmy mnie widywał. Jako operator maszyn przebywał z robotami. „Cześć, nieroby, próżniaki” – krzychałem na ich widok z daleka, gdy przyjeżdżałem do firmy. „Dzień dobry, panie Andrzeju” – odpowiadał Bajbus, wyciągając ręce z kieszeni. Taka to była znajomość.

– **Z lektury akt sądowych wynika co innego.**

– On mówił różne rzeczy, żeby sobie znaczenia przypisać. Mówił też, że bywał u mnie w domu. Owszem, czasami dawałem mu kopertę z pieniędzmi, żeby ją zaniósł Misi, mojej żonie. No, ale o tym już Bajbus nie wspominał, bo „bywałem w mieszkaniu Andrzeja” brzmi lepiej. Wściekłem się, ponieważ nie miałem jak się obronić przed bzdurami, które opowiadał. I wtedy pomyślałem, że zrobię mu sprawę cywilną.

– **Za to, że powiedział o kochance?**

– Jakiej kochance? On miał kochankę, woził ją ze sobą, mieszkał u niej, a żona w domu czekała. Podałem go do sądu, bo nie wiedziałem, jak się na nim odegrać za te pomówienia. Przez niego miałem jakieś sześć zarzutów postawionych – że jakieś bomby wybuchały, jakieś pobicia były i rzekomo ja miałem je zlecać. Owszem, bomby wybuchały, pobicia były, ale ja z tym związku nie miałem. To były faktyczne zdarzenia bez związku ze mną, a jednak

przez zeznania Bajbusa miałem w życiu problemy. Dlatego pomyślałem, że finansowo to rozegram.

– Jak się zakończyła ta sprawa?

– Doszło do ugody sądowej. Bajbus się zreflektował. Pewnie prawnik mu to uświadomił.

– Co takiego mu uświadomił?

– A to, że przegra i za swoje słowa będzie musiał słono zapłacić: na PCK, dom dziecka itp. Sporo by było do płacenia, dlatego się przestraszył. Przez swojego prawnika przekazał prośbę, abym zrezygnował z roszczeń finansowych, i ja na to przystałem. Oczywiście pod warunkiem, że powie w sądzie, jak było naprawdę. I tak się stało. Bajbus na sam koniec przyznał, że kłamał. Sędzia aż się źle poczuła, taka była zszokowana zmianą jego postawy jako świadka, ale i tak mnie skazała. Apelacja w ogóle nie wzięła tego pod uwagę, że Bajbus wycofał wcześniejsze, obciążające mnie zeznania.

– Sędziowie mogli tłumaczyć to strachem. Przecież zabito mu żonę, a on miał jeszcze wiele do stracenia. Lęk o bliskich to wystarczający powód, by odwołać wszystkie wcześniejsze zeznania.

– Jeżeli sąd tak uważał, powinien to wskazać w uzasadnieniu wyroku, a nie wskazał.

O trudnej roli szefa

– **Groźny gangster o pseudonimie Babcia, szef grupy mokotowskiej, którego w filmie *Pitbull. Nowe porządki* zagrał Bogusław Linda, to pan? Widział pan siebie w tej postaci?**

– To trochę poplątane... Linda, to znaczy ten Babcia, wziął trochę ode mnie, trochę od Zbyszka Daksa i jeszcze kogoś [Grzegorza K., ps. Ojciec, z grupy obcinaczy palców – przyp. aut.]. Babcia miał w filmie chorego syna, a ja mam trzy córki. Zbyszek Daks ma autystycznego chłopaka, bardzo go kocha, więc tu jest podobieństwo. Z kolei ja jestem zapalonym „motorowiakiem”, to znaczy łódkę miałem na zalewie. W filmie jest taki wątek, że Linda jest z synem na łódce. Mamy zatem kolejne podobieństwo. No ale ja – w przeciwieństwie do niego – nie skoczyłbym do wody w spodniach i białej koszuli, żeby holować jakiegoś majora policji (*śmiech*).

– **Szef grupy mokotowskiej, ten filmowy, strzela do gościa w siłowni. W prawdziwym życiu to Bułę zastrzelono w siłowni. Podobno szykował coś na pana, chciał władzy.**

– Niech pani spojrzy na mnie. Uważa pani, że latałem po mieście i waliłem do ludzi?

– **Pan może nie, ale miał pan ludzi od tego.**

– Proszę mnie uważnie posłuchać. – Andrzej H. przybiera ton nad wyraz spokojny, prostując się na krześle. – Nigdy nie bawiłem się w Boga. Jak mi ktoś w drogę wchodził, to reagowałem. Ale nie żeby strzelać i zabijać. Był taki czas, że wszyscy w mieście latali z karabinami i strzelali.

– Ale to pan trafił tu, za kraty, z legendą szefa grupy mokotowskiej. Jak to jest stać na czele najbrutalniejszego gangu w Polsce?

– Dzięki tej legendzie wszystkie drzwi stoją przede mną otworem (*śmiech*). Całe to szefowanie to jedna wielka lipa. To nie jest tak, że mam 500 osób pod sobą, więc wstaję rano i myślę, jak te gęby wykarmić, jak budować strukturę i panować nad tym. Grupa mokotowska istniała – o czym mało kto wie – już w latach 70. Po dzielnicach się chodziło i rozrabiało. Ja też rozrabiałem, zamiast się uczyć i szkoły skończyć. Z wykształcenia jestem spawaczem, ale w zawodzie nigdy nie pracowałem. Po raz pierwszy trafiłem za kraty w wieku 17 lat, za mieszkaniówki.

– Był pan włamywaczem?

– Tak, okradałem mieszkania. Dostałem za to sześć lat, wyszedłem po czterech. W połowie lat 90. poznałem na Rakowieckiej takich ludzi jak słynny Barabasz czy Janusz P. Parasol i wielu, wielu innych. Wszyscy znaliśmy się z tamtych czasów. Kiedy po latach trzeba było za kimś się wstawić, bo narozrabiał, to szedłem do Parasola i wstawiałem się, prosiłem, żeby odpuścił. I tak się to wszystko zaczęło z tym szefowaniem. W późniejszych latach grupa mokotowska rzeczywiście stała się liczna i silna, ale to był zlepek różnych grup. Nie nad wszystkim miałem kontrolę, wiele spraw rozgrywało się za moimi plecami.

– Jako szef czuje się pan odpowiedzialny za to, co robił Daks oraz inni pana ludzie, za porwania, za te dzieci, za obcinanie palców?

– Jakie dzieci?

– **Ewelina, córka właściciela masarni chociażby.**

– A ile ona miała lat?

– **Dwadzieścia chyba.**

– To już nie dziecko przecież. A ze Zbyszkiem Daksem nie mieliśmy razem postawionych zarzutów. Co do porwań i obcinaczy palców, to przecież sędzia Barbara Piwnik ich uniewinniła, prawda? A to sprawiedliwa sędzia, wszyscy tutaj mają do niej szacunek. Jest surowa, bez mrugnięcia okiem potrafi pajdę przywalić [dożywocie – przyp. aut.], ale dopuszcza jedynie mocne dowody, a nie pomówienia.

– **To nie znaczy, że porwań nie było?**

– Odpowiem pani tak: gdybyśmy zamienili się miejscami, to prawdopodobnie zrozumiałaby pani, że uprowadzenia dla okupu są źródłem przestępczych dochodów. W wielu krajach ten sposób zarabiania jest praktykowany. Jeśli przychodzi ktoś zaufany i wskazuje, kogo można by uprowadzić i mieć z tego niezłe pieniądze, to z takich sygnałów się korzysta. Wielu tak robiło, nie tylko grupa mokotowska. Mojego kolegę Bolka, z którym robiłem legalne interesy, naprawdę – w jego przypadku było to zawsze zgodne z prawem – uprowadziła grupa „mutantów”. Zadzwonili do mnie i powiedzieli: „Chcemy pół miliona dolarów, bo inaczej rękę mu odrąbiemy”. Spytałem, dlaczego chcą tak mało.

– **Zapłacił pan?**

– Nie musiałem. Oddali Bolka za darmo.

– **Jak to?**

– Zrozumieli swój błąd.

– **Niektóre ofiary porwań nie powróciły do rodzin pomimo zapłaconego okupu. Po co było obcinać palce, torturować, zabijać?**

– Naprawdę tego nie pochwalam. Tak nie powinno być. Kurewstwo – tak bym to nazwał.

– **Książka *Wojny kobiet* napisana z Piotrem Pytlakowskim, którą dziś panu przyniosłam, to zbiór historii kobiet walczących o sprawiedliwość za krzywdy bliskich. Przeczytał pan dedykację?**

– Nie. Nie mam teraz odpowiednich okularów. Może mi pani przeczytać?

– **„Aby kobiety, które pan kocha, zawsze były bezpieczne”.**

– Przez całe życie robiłem wszystko, aby były bezpieczne...
Dziękuję za książkę. Chętnie przeczytam.

– **A ja dziękuję za rozmowę.**

– Z mojej strony była szczerą. Nie musiałem pani okłamywać.

Bez przebaczenia

O 6.10 rano właściciel posesji przy Zagańczyka w Kobyłce usłyszał dziwne odgłosy. Przypominały trzaśnięcie furtką. Wyszedł na dwór. Na chodniku przed sklepem spożywczym leżała zakrwawiona Anna M., jego kuzynka. Mężczyzna zadzwonił po karetkę. Nie wiedział, że do Anny strzelano. Kiedy razem z karetką pojawiła się policja, powiedział, że nie widział w pobliżu ani ludzi, ani pojazdów.

Był 10 stycznia 2008 roku. Tamtego poranka mafia w Polsce po raz pierwszy wykonała wyrok na rodzinie skruszonego przestępcy, który poszedł na układ z prokuraturą.

Sześć śmiertelnych kul

Zabójców musiało być dwóch, o czym świadczy tor pocisków i lokalizacja ran postrzałowych. Zabijali tak, by nie patrzeć ofierze w oczy – od tyłu, w plecy.

Z protokołu sekcji zwłok Anny M.:

„Bezpośrednią przyczyną śmierci były mnogie obrażenia postrzałowe głowy, szyi i klatki piersiowej. Sekcyjnie [tzn. podczas sekcji zwłok – przyp. aut.] w obrębie ran wlotowych oraz w początkowych odcinkach kanałów postrzałowych nie stwierdzono

takich cech, które świadczyłyby o tym, że którykolwiek strzał został oddany z przystawienia lub tzw. bezpośredniego pobliża. Lokalizacja ran wlotowych i przebieg kanałów ran wskazują, iż pociski drążyły ciało od tyłu, przy czym w obrębie głowy i klatki piersiowej od strony prawej ciała, a na szyi od tyłu i lekko od strony lewej”.

(sygn. akt AP V Ds. 21/09 Prokuratury Apelacyjnej w Warszawie)

Już wiele miesięcy wcześniej Bajbusa dręczyły złe myśli. Kolega z celi, Janusz, widział to wyraźnie. Siedzieli razem jakieś trzy lub cztery miesiące i Bajbus mówił mu bez ogródek, że boi się o bezpieczeństwo swoich bliskich. „Krzysztof M. wielokrotnie poruszał w rozmowach temat swojej rodziny. Martwił się, że osoby, które obciążał w swoich wyjaśnieniach, mogą zrobić krzywdę jego żonie i dzieciom” – relacjonował prokuratorowi już po zbrodni.

Kiedy Janusz wyszedł na wolność, na prośbę Krzysztofa M. spotkał się z Anną. „Sprawiała wrażenie osoby zmartwionej całą tą sytuacją, lecz nie powiedziała wprost, że czegoś lub kogoś konkretnie się boi”. Dzwonił do Anny kilka razy. Zawsze pytał o to samo. Nigdy się nie skarżyła, chociaż była świadoma zagrożenia.

Zmianę w jej zachowaniu dostrzegała Katarzyna M., szwagierka Anny. Żona Bajbusa tylko przy niej pozwalała sobie na szczerość. Mówiła, że boi się zemsty za to, że Krzysztof poszedł na współpracę z prokuraturą. Nie wskazywała jednak konkretnej osoby, której się obawiała. Ostatnia ich rozmowa odbyła się pięć dni przed zabójstwem. Kontaktowały się telefonicznie. Szwagierka odniosła wrażenie, że Anna żyła w ciągłym strachu.

Prasówka:

„Do aresztu, w którym siedział Bajbus, prokurator wpadł jak po ognień. A wie pan co, zagaił, dzisiaj rano ktoś zabił pana żonę, głupia sprawa. Po czym oznajmił, że «pędzi na czynności»,

zamknął drzwi i zniknął. Bajbus nie zdążył nawet spytać, co i jak. Chciał płakać, ale miał wrażenie, że łyzy wyschły.

Pierwsza notatka policyjna brzmiała: «Według pozyskanej informacji została znaleziona n/n kobieta potracona przez samochód». To była pomyłka, lekarz stwierdził rany postrzałowe, dostała sześć pocisków w plecy, kark i głowę. Pies policyjny Agar nie podjął tropu, trwały roztopy, na domiar złego mżył deszcz. W pobliżu widziano żółtego busa, szybko go zlokalizowano, należał do piekarni i nie miał ze sprawą nic wspólnego”.

(Piotr Pytlakowski, Cena mówienia, "Polityka", 25.02.2014)

Agnieszka o mamie

Agnieszka, córka Anny i Bajbusa, jest dziś dorosła. Pracuje, doksztalca się, prowadzi dom, w którym się wychowała i mieszkała z rodzicami. Mozolnie odbudowuje relacje z młodszym bratem, który od śmierci Anny mieszka z babcią, całe lata nie odzywał się do ojca i siostry. To wspaniała dziewczyna, taka, że chce się ją przytulić do serca. Agnieszka troszczy się o ojca, nie lubi, gdy Bajbus spóźnia się do domu. Spotykają się na ganku, palą papierosy, zdawkowo opowiadają sobie o wydarzeniach dnia, który właśnie mija. Agnieszka cieszy się, że ojciec znalazł kobietę, która się o niego troszczy. Nie porównuje jej do mamy, bo i po co. Mama to mama. Nikt jej nie zastąpi.

Sama jest zakochana i nie odmawia innym prawa do szczęścia. Któregoś dnia ona i jej chłopak nałożą sobie nawzajem obrączki. Agnieszka żałuje tylko, że mama tego nie zobaczy.

– **Jaka była pani mama?** – zapytałam ją przed kamerami serialu dokumentalnego *Kobiety i mafia*, zrealizowanego dla kanału 13 Ulica.

– Wyrozumiała, cierpliwa, miała poczucie humoru.

– **Pani jest do niej bardzo podobna. Ta sama uroda, niemal jej kopia.**

– Tak, chociaż z charakteru bardziej przypominam ojca.

– **Nie ma pani zbyt wielu zdjęć mamy.**

– Nie lubiła się fotografować, raczej nam robiła zdjęcia, to znaczy mojemu bratu i mnie.

– **Jak pani zapamiętała relacje rodziców? Kłócili się czy kochali?**

– Przy nas nigdy się nie kłócili, przynajmniej my tego z bratem nie widzieliśmy, może kiedy spaliśmy albo jak byliśmy poza domem, to wyjaśniali sobie swoje sprawy. Wiadomo, jak to w małżeństwach, nigdy nie jest idealnie. Ale my, dzieci, nigdy nie byliśmy świadkami awantur. Czasami mama siedziała smutna. Miała taki swój ulubiony skórzany fotel w salonie. W nim siadała i patrzyła przed siebie zamyślona. Taty często nie było, miał swoje sprawy, ale jak przyjeżdżał, to byli szczęśliwi. To było zgodne małżeństwo, przynajmniej ja tak ich zapamiętałam, gdy byli razem. Dbali o nas. Nawet jeśli mieli jakieś kłótnie, to nie pozwolili, żebyśmy na to patrzyli.

– **Czy mama wiedziała, czym zajmował się ojciec?**

– Sądzę, że tak. Wydaje mi się, że jej to nie odpowiadało. Pamiętam, że się martwiła, czekała na niego. Żyła w stresie.

– **Kiedy tata po raz pierwszy poszedł do więzienia, to jak mama to tłumaczyła?**

– Byłam już na tyle duża, że mogła mi to powiedzieć wprost. To była taka sytuacja, że mieliśmy jechać całą rodziną w góry i mama dostała telefon. Kiedy skończyła rozmawiać, powiedziała: „Agnieszka, nigdzie nie jedziemy, ojciec został aresztowany”. Bratu nic nie mówiłyśmy. Kłamałyśmy, że tata wyjechał. Wiadomo – mały dzieciak, to nie zrozumie.

– **Mówiła, że ojciec niebawem wróci, czy raczej miała świadomość, że jego pobyt za kratami może trochę potrwać?**

– Mówiła, że wszystko się wyjaśni, że to nieporozumienie. Tak to na początku tłumaczyła. Wiedziałam, o co chodziło, przecież niejedną rozmowę podsłuchałam, kojarzyłam fakty.

– **Jak dawaliście sobie radę?**

– Mama pracowała na kuchni, wstawała bardzo wcześnie i była w pracy od piątej do czternastej. Zarabiała mało, lecz radziła sobie. Oboje z bratem mieliśmy, co było nam potrzebne. Kiedy jednak pobyt taty za kratami się przedłużał – zaczynało być krucho. Mama cały czas pracowała, ale wydatków miała sporo. Musiała nas ubrać, kupić rzeczy do szkoły, codziennie gotowała obiady. Kiedy to dzisiaj wspominam, rozumiem, że było jej ciężko, chociaż się nie żaliła, dawała radę.

– Jeździłyście razem na widzenia do taty?

– Jeździliśmy we trójkę, ponieważ brat zaczął się dopytywać, gdzie jest tata, i trzeba go było zabierać. Zobaczyli się po dłuższym czasie, brat ucieszył się, naprawdę był bardzo szczęśliwy. Zresztą wszyscy cieszyliśmy się tą jedną godziną spotkania, raz w miesiącu. Wiadomo było, że ten czas spędzamy razem.

– Jak zareagowaliście na zarzuty postawione Bajbusowi: kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą, liczne napady i wymuszenia, udział w zabójstwie?

– Brat nie wiedział o zarzutach, był za mały, żeby cokolwiek z tego zrozumieć. Zresztą ja też nie wiedziałam, nie rozmawialiśmy z mamą na te tematy. Z czasem sama zaczęłam drążyć temat. Wiadomo, że w internecie wszystko można znaleźć. Czytałam doniesienia o rozbiciu grupy Bajbusa. Moja pierwsza reakcja była oczywista – nie wierzyłam w to, co pisano. Powtarzałam sobie: to jest mój tata, a to, co tu piszą, nie jest możliwe.

– Czyli prawdę o ojcu sama pani odkrywała, czytając informacje w internecie...

– Tak. Miałam straszny mętlik, bardzo to przeżywałam. Pisano przecież różne rzeczy, i to złe rzeczy, o moim ojcu... Nie było miło o tym czytać.

– Odrzucała pani tę wiedzę?

– Próbowałam ułożyć to sobie w głowie, ale nie było łatwo. Podświadomie broniłam się przed prawdą o tacie i jego roli

w świecie przestępczym. Dzieci nie chcą takiej prawdy o rodzicach. Nie było mi łatwo oswoić się z tym wszystkim. Zresztą nigdy wcześniej nikt nie mówił o tacie „gangster”. Takie określenia pojawiły się dopiero po śmierci mamy.

– **Pamięta pani tamten dzień...**

– Tak. Ogólnie z tamtego dnia pamiętam głównie to, że nie mogłam się dobudzić. Mama położyła mi koło ucha telefon komórkowy, żebym wstała i nie spóźniła się do szkoły na zaliczenie. Wstałam, ubrałam się, ogarnęłam i poszłam do szkoły. Nie zauważyłam niczego, co mogłoby mnie zaniepokoić – ani policji, ani karettek. Nic nie widziałam, a przecież to się stało 50 metrów od domu. Minął wf., minęły zaliczenia... Byłam w szkole kompletnie nieświadoma, że moja mama nie żyje.

– **Jak się pani o tym dowiedziała?**

– Do klasy weszła pani woźna. Powiedziała, że ktoś po mnie przyszedł. Poprosiła, żebym wzięła plecak i wyszła z klasy. Zobaczyłam dziadka z jakimś obcym facetem. Tknęło mnie wtedy, pomyślałam, że coś jest nie tak. Szliśmy w milczeniu, a ja miałam chaos w głowie. Dopiero dwa domy od naszego dziadek mi oznajmił, że mama nie żyje. Wtedy jeszcze nawet dziadkowie nie wiedzieli, co naprawdę się stało, bo padły słowa, że zemdląca i uderzyła się o coś głową. Nie było powiedziane, że została postrzelona i że to było zabójstwo.

– **Kiedy dowiedziała się pani, że to było sześć kul?**

– Dwie godziny po powrocie do domu, kiedy przyszedł do nas

policyjny psycholog. Chodziło o to, żebym złożyła zeznania: co działo się nad ranem, czy coś zauważyłam, czy mama była zaniepokojona. Ten człowiek zapytał się mnie głupio, jak się czuję, że mi matkę zabili. No właśnie tak się o tym dowiedziałam... To był taki cios w serce. Pomyślałam: Panie, a jak ja, dziecko, mogę się czuć, kiedy mi matkę zabili...

Do mamy nas nie dopuścili, żebyśmy ją mogli zobaczyć.

– Co działo się potem?

– Oboje z bratem zostaliśmy odizolowani od ludzi. Przez kilka dni nie wychodziliśmy z domu, nikt do nas nie mógł przychodzić. Ale czytaliśmy doniesienia prasowe, te wszystkie głupoty, które wtedy pisali.

– Głupoty?

– To nie miało nic wspólnego z prawdą. Było podłe i krzywdzące, że niby mama prowadziła interesy ojca, podczas gdy on siedział w więzieniu, że była kobietą mafii... Normalnie płakać się chciało, kiedy to czytałam.

– A jaka była prawda?

– Moja mama nie prowadziła mafijnych interesów, tylko opiekowała się nami, wychowywała, nie okazując irytacji czy zniecierpliwienia. Nawet jak rozrabialiśmy – wiadomo, jak to dzieci – nie dała nam odczuć, że jest zmęczona. Bardzo nas kochała i kochała tatę. Mieli po 19 lat, kiedy się pobrali.

– Umierała tak blisko domu...

– Widać to miejsce z okna. Staram się tamtędy nie chodzić, chociaż to nie jest łatwe. Serce boli, że tam konała moja matka.

– **Dlaczego pani stąd nie wyjedzie? Codziennie widzi pani to miejsce.**

– Nie wyjadę właśnie dlatego, że wszystko w tym domu przypomina mi mamę. Ten skórzany fotel, w którym odpoczywała, przedmioty, których dotykała, wszystkie zakamarki. Do dziś trzymam firanki, które mama zawieszała w moim pokoju, nie jestem w stanie ich wyrzucić.

– **Ludzie w Kobyłce rozmawiają jeszcze o tej tragedii?**

– Sądzę, że już zapomnieli. Przestali o tym rozmawiać jakieś pół roku po naszym powrocie do domu. Niektórzy mieli na tyle odwagi, żeby podejść, zapytać, złożyć kondolencje. Większość jednak rozmawiała o tym za plecami.

– **Przychodzą jeszcze na grób mamy?**

– Przychodzą znajomi, sąsiedzi, zostawiają kwiaty, palą świeczki. Po zniczach na Święto Zmarłych widać, że ludzie o niej pamiętają. Mam nadzieję, że modlą się też o spokój jej duszy. To nigdy nie powinno się stać... Komu zrobiła krzywdę moja mama? Ona nawet nie chodziła na plotki do koleżanek. Nigdy nie była kobietą mafii. Miała swój świat, a w centrum tego świata byliśmy my: tata, którego kochała całym sercem, mój młodszy brat i ja. Dla nas żyła, nami się cieszyła, na nas zawsze czekała, siedząc w tym swoim skórzanym fotelu. Nie biegała po salonach kosmetycznych, drogich sklepach, nie wyjeżdżała do spa. Żyła skromnie tu – w Kobyłce pod

Warszawą.

– Po raz pierwszy w Polsce zastrzelono żonę gangstera. Ten gangster nosił pseudonim Bajbus, był członkiem grupy mokotowskiej. Tak to widzieliśmy my, dziennikarze. Tak o tym pisaliśmy...

– Nikt z was nie pomyślał, że to była także czyjaś MAMA. Taka prawdziwa: gotująca obiad, sprawdzająca zeszyty z lekcjami, zaszywająca dziury w skarpetkach. Jej śmierć zabrała nam dzieciństwo. Weszliśmy w życie okaleczeni. Potem dwa razy podpalono nasz dom, wrzucono koktajl Mołotowa.

– Kto to zrobił?

– Nieznani sprawcy. Ci, którzy otruli nasze psy, też są nieznani. Suka biegła przed domem, a pies był zamknięty, ponieważ był agresywny. Pewnego dnia suka nam padła za domem. Nie wiedzieliśmy, dlaczego to się stało. Dopuszczaliśmy myśl, że może ktoś podrzucił coś po złości, że sąsiad nam ją otruł. Zdechła, szkoda psa, trudno... Kiedy kilka dni później pies, który był zamknięty, też padł, również uznaliśmy, że został otruty. Nie wiedzieliśmy jednak, kogo mamy o to obwiniać i jak w ogóle mogło się to stać. Przecież nie było do niego dojścia, aby go otruć. Dopiero po śmierci mamy okazało się, że pies został postrzelony. Wykrwawił się. Sprawcy pozostali nieznani. Tak jak ci, którzy podpalili nam dom i zabili mamę. Wszyscy oni są nieznani.

– Czy ojciec domyśla się, kto to zrobił?

– Sądzę, że on wie. Wie na pewno.

– **Kto się wami opiekował, gdy on był w więzieniu?**

– Był z nami jego brat, babcia i dziadek. No i policja.

– **Jak wyglądał pogrzeb?**

– To nie był zwykły pogrzeb, policja wszystko obstawiała. Taty nie było z nami, nie dostał przepustki, a my z bratem nie mogliśmy iść za trumną. Przez cały czas siedzieliśmy w samochodzie, ze względu na nasze bezpieczeństwo. Zresztą wszystkie procedury podporządkowano bezpieczeństwu. Nawet mszę skrócono o połowę, żeby nas jak najszybciej do domu przywieźć. To było bardzo przykre. Przecież to miało być ostatnie pożegnanie, a wszystko było przyspieszone, trwało zaledwie godzinę. Potem przez wiele miesięcy nie widzieliśmy jej grobu. Wożono nas po całej Polsce, od kryjówek do kryjówek. Cały ten czas podlegaliśmy policyjnej ochronie.

– **A czy w ciągu ostatnich dni życia mamy w jej zachowaniu dało się wyczuć coś nadzwyczajnego?**

– Później dopiero zaczęłam sobie kalkulować zachowanie mamy przed całym zajściem, kiedy zaczęła podejrzewać, że coś jest nie tak. Bała się o tym komukolwiek powiedzieć. Wiem, że poszła na policję, ale jak później pytałam, czy mają jakąś notatkę, to zaprzeczyli i że nie było takiego zgłoszenia, aby ktoś się czegoś obawiał. A mama się obawiała, chodziła taka podenerwowana. Zastawiała okno fotelami, robiła przemeblowanie. Coś czuła. Nie chciała nas z domu wypuszczać, ja – wiadomo, mała byłam – chciałam do koleżanek pójść, gdzieś wyjść, a ona mnie nie wypuszczała. Musiałam ze szkoły przychodzić prosto do domu.

– Domyślała się pani, skąd brały się te zakazy i nakazy?

– W ogóle tego nie rozumiałam, buntowałam się. Oczywiście czasami się wymykałam. Wtedy mama była strasznie zdenerwowana. Zła była na mnie, pytała, dlaczego jej nie słucham i tak robię. Ale nigdy nie powiedziała mi, dlaczego tak się bała i skąd wzięły się te wszystkie zakazy. Ona przeczuwała zagrożenie.

– Co się potem działo w życiu pani i brata, mieliście czas na przeżycie żałoby?

– Nie mieliśmy. Zostaliśmy wywiezieni, a potem byliśmy wożeni po całej Polsce w ramach ochrony. To wszystko było robione na wariata – z jednego miejsca do drugiego, stamtąd do trzeciego. Przez rok zwiedziliśmy pół Polski. Nie rozmawiałam z bratem o tym, dlaczego to wszystko nas spotkało. Nie poruszało się tego tematu. Naprawdę było ciężko... Do dziś unikamy rozmów o tym. Przecież ojca to on właściwie nie miał...

– Jak wyglądało pani pierwsze spotkanie z ojcem po śmierci mamy?

– Spotkanie odbyło się w prokuraturze. Tata był strasznie nafaszerowany lekami. Nic do niego nie docierało, był taki pusty. I wyglądał strasznie. Mówiłam do niego, płakałam, ale do niego nic nie docierało. Byliśmy tam z bratem przez jakieś dwie godziny, a stamtąd wróciliśmy tam, gdzie nas policjanci wywieźli. Nasze następne spotkanie miało miejsce już po naszym powrocie do rodzinnego domu. Poszłam do niego na widzenie, bez brata.

– Jaka była ta wasza rozmowa?

– Dawno to było, ale mówiąc szczerze, jemu się lepiej zrobiło i mi się lepiej zrobiło. Tłumaczył: „Agnieszka, poczekaj jeszcze chwilę, niedługo stąd wyjdę i będzie wszystko dobrze”.

– **Wyszedł po sześciu latach wyroku. Chciał wam wynagrodzić to, co was spotkało?**

– Wynagrodził, bo jest z nami. Bardzo dużo mi pomógł. Przecież przez cały ten czas jego nieobecności byliśmy bez rodziców. Mamy nie ma, tylko tata nam pozostał, a to jest bardzo dużo. On nie musi niczego mi wynagradzać materialnie. Wystarczy, że jest i że go mam.

– **Nie obwiniała go pani o śmierć mamy?**

– Z początku trochę tak, rodzina mówiła, że to jego wina. W gazetach pisano, że to ewidentnie jego wina, że mama została zamordowana przez jego gangsterskie interesy. Ale przeszło mi to... Przecież nie mogę mieć do niego żalu do końca życia, muszę się też nim nacieszyć.

– **Pani ojciec jest przekonany, że tej mafijnej egzekucji można było zapobiec.**

– Policja i prokuratura wiedziały o planach zabicia mojej mamy. Ta wiedza pochodziła z innego śledztwa, gdzie świadek koronny opowiedział o liście osób do zabicia. Nasza rodzina była na czele tej listy. Podobno zleceniodawca odsiaduje wyrok 15 lat za inne przestępstwo, ale nigdy nie postawiono mu zarzutu zlecenia zabójstwa mojej mamy. Ci, którzy strzelali, też pozostali bezkarni.

– Bajbus twierdzi, że ich wina jest taka sama jak policjantów i prokuratorów, którzy wrzucili do szuflady zeznania tamtego świadka koronnego o planowanej zbrodni.

– Niezależnie od tego, co myśli i czuje mój tata, ja sama chcę dalej walczyć o wyjaśnienie sprawy. Tego tak nie można zakończyć, że schowa się akta do szafki i nie szuka prawdy. Ci, którzy zlecili, i ci, którzy strzelali, powinni odpowiedzieć za śmierć mojej mamy. Tego nie można tak zostawić. Tu zginęła niewinna kobieta. Do dziś zastanawiam się, co by było, gdyby to nie mama wyszła pierwsza z domu i gdybym to ja szła wtedy do szkoły. Co by wtedy zrobili? Jak by to się potoczyło? Skoro nie mieli skrupułów, żeby zabić kobietę, to mieliby skrupuły, żeby zabić dziecko?

– Myśli pani czasami, jak wyglądałoby pani życie, gdyby mama wciąż tu była?

– Moje życie byłoby o wiele lepsze. Wszystko byłoby lepsze. Wiadomo... tej osoby zawsze będzie brakować. Bardzo żałuję, że nie zobaczy tego, jak będę brała ślub, nie będzie jej przy mnie, gdy urodzę dziecko. Dlatego chcę mieć z ojcem jak najlepszy kontakt. Żeby przynajmniej on to widział. Żeby był ze mną. Musi to przeżyć za ich dwoje.

"Oni chcieli, żeby moja Anka umarła"

Krzysztof M. Bajbus o śmierci żony (w nieautoryzowanej rozmowie):

– Tamtego dnia...

– W całym kryminale od rana było cicho. Administracja wyłączyła wszystkie betoniary, czyli radia więzienne. Co tak cicho? – zastanawiałem się, a dziś wiem, że wyłączyli radia, aby nikt się nie dowiedział, co się stało, że niewinna kobieta padła ofiarą mafijnej egzekucji.

– Jak pan się o tym dowiedział?

– Była dziewiąta rano, gdy prokurator Szulepa spotkał się ze mną w małym pokoiku przy Rakowieckiej. „Dzisiaj rano zabito pańską żonę” – powiedział, nie patrząc mi w oczy. „Może jest ranna, może nieprzytomna tylko?” – pytałem, a on na to, że na pewno nie żyje. Pamiętam, że w głowie miałem jedno pytanie: Skąd ty to, człowieku, możesz wiedzieć... Mieli informację, że Anna ma być zabita. Od dwóch miesięcy wiedzieli.

– Skąd wiedzieli?

– Z zeznań świadka koronnego Mariusza S., ps. Marcel, mieli wiedzę o planowanym zabójstwie. Przecież on to powiedział wprost! Prokurator z Ostrołęki, który go przesłuchiwał, wrzucił protokoły do szuflady. Nic z tym nie zrobił! Rozumie pani?!

– Nie rozumiem.

– No to tak jak ja, bo ja też nie rozumiem, jak można matkę dzieci skazać na śmierć. Kiedy ma się do czynienia z takimi ludźmi jak grupa mokotowska, zaniechanie to skazanie! Za nic mieli jej życie, normalnej kobiety, która siedziała w domu i dzieciaki

wychowywała. Co ona była winna? Dlaczego do niej strzelali?!

– **Pewnie za pana grzechy, za nielojalność, w ich mniemaniu.**

– Uważam, że zemsta – jeśli już – powinna się dokonać na mojej osobie. Ci, którzy zabili mi żonę, nie zasługują nawet na to, by mówić o nich „przestępcy”. Bo co to za przestępcy, którzy strzelają do matki, gdy jej dzieci jeszcze śpią w domu? Jaka jest ta ich odwaga? Niech staną jeden z drugim ze mną, jak równy z równym, a nie chowają się po kątach jak tchórze.

– **Przeczuwała coś, skarżyła się?**

– Przed świętami Bożego Narodzenia moja żona przyszła do mnie do aresztu z córką i synem. Była zaniepokojona, powiedziała, że nasze psy nie żyją. Nie jeden pies, lecz dwa zdechły w tym samym czasie. To nie mógł być przypadek, musiały zostać otrute. Wszyscy wiedzą, że zwierzęta w mojej rodzinie są ważne, że dzieciaki je kochają, i jak psy zdychają, to dzieci płaczą. Ale pan prokurator śmiał się, gdy mu o tym powiedziałem, śmiali się też policjanci. „Stare były, to pozdychały” – mówili.

– **Nie zapobiegli.**

– A to równoznaczne, że mi ją zabili! Wszyscy oni w tej prokuraturze i na policji patrzyli z wyrachowaniem, jak mi kobietę mordują. Palcem nie kiwnęli, chociaż mogli tej śmierci zapobiec. To tak, jakby pani stała na brzegu i patrzyła spokojnie, jak pani mąż w morzu się topi. Oni chcieli, żeby Anna umarła, w tym celu zaniechali jakichkolwiek działań. Na rękę im było, że mi ją

mokotowscy zastrzelili. Liczyli na to, że się załamie, pogrąże w rozpacz i zaczną zeznawać, więc jej nie chronili, chociaż wszyscy wiedzieli, jak działa grupa mokotowska. Dlatego niech się pani nie dziwi, kiedy mówię, że to policja i prokuratura – wspólnie z grupą mokotowską – zabiły mi Ankę. Ja, proszę pani, nigdy im tego nie zapomnę.

Marcel mówił do szuflady

Prokurator Michał Szulepa wspomina, że po tragedii w Kobyłce pojechał do aresztu pod wpływem impulsu:

– Chciałem osobiście powiedzieć Bajbusowi, że zabito mu żonę. Uważałem, że nie powinien dowiadywać się tego z telewizji lub od przypadkowych osób. Nie musiałem tego robić, kto inny prowadził wówczas śledztwo w sprawie zabójstwa. Jednak czułem się w obowiązku tam pojechać i z nim porozmawiać. W konsekwencji jego gniew obrócił się przeciwko mnie.

Prokurator Michał Szulepa przekonuje, że nic nie wiedział o planowanej przez mafię zemście za składane przez Bajbusa wyjaśnienia. Potwierdza to śledztwo, które niebawem wszczęto w tej sprawie i w którym był przesłuchiwany w charakterze świadka.

– O tym, że prokuratura w Ostrołęce miała takie informacje, dowiedziałem się już po śmierci Anny M. Byłem po ludzku wściekły – przyznaje Szulepa.

O planach zbrodni na rodzinie Bajbusa opowiedział śledczym z Prokuratury Okręgowej w Ostrołęce Mariusz S., ps. Marcel, zatrzymany w połowie października 2007 pod zarzutem

nielegalnego posiadania materiałów wybuchowych oraz handlu narkotykami. Rok wcześniej podczas wakacji Marcel poznał Daksa, a w konsekwencji wielu członków różnych grup przestępczych, w tym mokotowskich i „szkatułkowych”. Zdobył ich sympatię i zaufanie. Był świadkiem wielu rozmów, w tym o liście osób do zlikwidowania (grupa mokotowska planowała nawet zakupienie pieca do palenia zwłok, tyle miała spraw do załatwienia). Trzynastego listopada 2007 roku Marcel powiedział, że na liście znalazły się osoby najbliższe Bajbusowi. Przesłuchiwał go wówczas prokurator Tomasz Jędrych z Ostrołęki, a śledztwo nadzorował prokurator Andrzej Luchciński, naczelnik Wydziału V Śledczego tamtejszej Prokuratury Okręgowej. To od Andrzeja Luchcińskiego prokurator Michał Szulepa z Warszawy dowiedział się o planach mafii względem rodziny Bajbusa. Ale telefon w tej sprawie był spóźniony – cztery dni wcześniej Annę zastrzelono.

Zaniechanie przez śledczych działań, które mogły zapobiec mafijnej egzekucji, znalazło się w centrum zainteresowania stołecznej prokuratury, która wszczęła sprawę o „niedopełnienie obowiązków przez funkcjonariuszy publicznych z Prokuratury Okręgowej w Ostrołęce i Centralnego Biura Śledczego w Warszawie”. Oto, co ustalono:

„Mariusz S., ps. Marcel, zeznał, że plany zabójstwa żony Bajbusa zrodziły się wśród członków grupy mokotowskiej latem 2007 roku. Głównym pomysłodawcą potrzeby uciszenia Krzysztofa M., który składał wyjaśnienia, był Zbigniew C., ps. Daks. Marcel zrelacjonował prokuratorowi przebieg dwóch spotkań w restauracjach na terenie Warszawy, w trakcie których mężczyzna o pseudonimie Dony z grupy mokotowskiej miał być nakłaniany przez mężczyznę o nazwisku S. [Wojtasa – przyp. aut.] albo przez Daksa do dokonania zabójstwa matki lub żony Bajbusa. Podczas ogólnych spotkań członków grupy mokotowskiej pojawiały się pomysły, żeby podłożyć ładunek wybuchowy bądź dokonać jakiegoś otrucia osób, które współpracują z organami ścigania przeciwko grupie mokotowskiej, ale bez podania konkretnych miejsc czy

nazwisk.

(...) W toku powyższego śledztwa przesłuchano w charakterze świadka prokuratora Michała Szulepę. Świadek zeznał, że w dniu 14 stycznia 2008 roku skontaktował się z nim telefonicznie prokurator Andrzej Luchciński – naczelnik Wydziału V Śledczego Prokuratury Okręgowej w Ostrołęce, który w trakcie tej rozmowy poinformował, że w listopadzie 2007 roku w tamtejszej prokuraturze wiadomym było, że życie rodziny Krzysztofa M. jest zagrożone. Z kontekstu rozmowy świadek wywnioskował, że wiedza ta wynika z wyjaśnień lub zeznań osoby przesłuchiwanej do sprawy prowadzonej w Ostrołęce. Natomiast prokurator Andrzej Luchciński nie podał mu żadnych danych dotyczących tej osoby.

Prokurator Michał Szulepa zeznał także, że w dniu 8 lutego 2008 roku w trakcie służbowej rozmowy z prokuratorem Tomaszem Jędrychem zadał mu pytanie, dlaczego nikt z prokuratury w Ostrołęce nie poinformował go o tym, iż dysponują protokołem, z którego wynikałoby zagrożenie dla życia i zdrowia rodziny Bajbusa. Prokurator Tomasz Jędrych potwierdził, że dysponował takim protokołem od listopada 2007 roku, lecz po wykonanych czynnościach z tą osobą [Marcelem] nie miał dostępu do materiałów, gdyż były one cały czas na policji. Prokurator Tomasz Jędrych powiedział również prokuratorowi Michałowi Szulepie, że zamierzał podjąć czynności weryfikacyjne i po ich przeprowadzeniu miał go poinformować o wyniku tych czynności oraz o takim zagrożeniu”.

(sygn. akt V Ds. 11/08 Prokuratury Okręgowej
Warszawa-Praga)

Protokół z informacjami o planowanej egzekucji po trzech dniach od przesłuchania Marcela trafił na policję (CBS w Warszawie), gdyż tam znajdowały się akta główne sprawy. Funkcjonariusze przydzieleni do śledztwa mieli na bieżąco weryfikować wiarygodność podawanych przez Marcela informacji. Sęk w tym, że policjant, który trzymał to wszystko w garści, był tamtego dnia poza firmą. Prokurator Tomasz Jędrych, których przyjechał do Warszawy, przekazał protokół aspirantowi niezwiązanemu z prowadzonym śledztwem. Aspirant miał go dostarczyć na biurko właściwej osoby, lecz zamiast tego „wsadził protokół z przesłuchania do szafy, a nie do akt”.

Aspirant tłumaczył się tym, że „nie był pewien, jakie dokumenty

otrzymał od prokuratora Jędrycha, gdyż znajdowały się one w koszulce foliowej i nie przeglądał ich zawartości. Zwrócił uwagę jedynie na pierwszą stronę dokumentów, na której były tablice poglądowe, i nie był w stanie powiedzieć, czy był tam protokół z przesłuchania z dnia 13 listopada 2007 roku. Otrzymane od prokuratora materiały schował do szuflady z uwagi na to, że wyjeżdżał służbowo na kilka dni do Gdańska. Dopiero po telefonicznej interwencji prokuratora Tomasza Jędrycha odnalazł przekazane mu dokumenty, ale nie potrafił określić, jak długo pozostawały one w jego szafie i kiedy miała miejsce jego telefoniczna rozmowa z prokuratorem”.

Przesłuchany w charakterze świadka prokurator Tomasz Jędrych zeznał, że w jego odczuciu informacje przekazane przez Marcela o zagrożeniu ze strony grupy mokotowskiej nie miały... realnego charakteru. „Były dość ogólne i dotyczyły dość odległego okresu czasu. W odniesieniu zaś do osoby Krzysztofa M. prokurator zeznał, że fakt składania przez Bajbusa wyjaśnień w procesach grupy mokotowskiej był wiadomym co najmniej od 1,5 roku i dlatego jakiegokolwiek zagrożenie, jeśli istniało wobec niego i jego rodziny, utrzymywało się już od dłuższego czasu”.

Prokurator z Ostrołęki widać był przekonany, że skoro Bajbus poszedł na współpracę z warszawską prokuraturą, to policja czuwała nad bezpieczeństwem jego bliskich.

– Ostrołęka nie chwaliła się przed Warszawą sensacyjnymi informacjami od Marcela, bo szykowała go na świadka koronnego i nie zamierzała się z nikim dzielić spodziewanym sukcesem – komentuje, prosząc o anonimowość, osoba związana z wymiarem sprawiedliwości.

– Widziałem się z żoną Bajbusa krótko przed jej śmiercią, gdy

zdechły tamte dwa psy – wspomina prokurator Michał Szulepa. – Zapytałem wtedy, czy czuje się zagrożona, ale zaprzeczyła. Dałem jej numer mojej komórki, powiedziałem, że jeśli zmieni zdanie, to przydzielę jej ochronę, lecz nie zadzwoniła.

Prowadząca śledztwo o niedopełnienie obowiązków przez funkcjonariuszy prokurator Renata Sławek-Budrewicz z Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga zdjęła ze wszystkich poczucie winy. W postanowieniu o umorzeniu śledztwa 18 września 2008 roku napisała:

„Przeprowadzone w niniejszej sprawie postępowanie przygotowawcze nie wykazało, aby pomiędzy zachowaniem w/w funkcjonariuszy, którego nie można traktować jako niedopełnienia obowiązków, a śmiercią Anny M. istniał związek przyczynowy. Do tej tragedii doszło nie z winy prokuratora czy też policjantów, lecz na skutek działania osób trzecich, które są w pełni odpowiedzialne za tę zbrodnię”.

„Osób trzecich, które są w pełni odpowiedzialne za tę zbrodnię”, też nie ustalono.

Daksowi się upiekło, zabójcom też

Prasówka:

„Wyszędłem niedawno – mówi Bajbus. – Idę do prokuratury, bo chcę wiedzieć, jak śledztwo w sprawie zabójstwa Anki. Prokurator mówi: A, tamta sprawa, to już dawno umorzone. Dlaczego, pytam, umorzone? Jak zwykle, odpowiada, nie wykryliśmy sprawców.

Śledztwo w sprawie śmierci Anny M. umorzono w 2009 r., już po roku od zabójstwa. Prokurator Michał Szulepa napisał

w uzasadnieniu: «Przeprowadzone w tej sprawie czynności wskazały na duże prawdopodobieństwo, iż fakt zabójstwa Anny M. stanowił formę odwetu ze strony świata przestępczego za podjętą przez Krzysztofa M. współpracę z prokuraturą». Uznał jednak, że poszlaki to za mało, aby komukolwiek przedstawić zarzuty.

Przypomnijmy, te poszlaki to zeznania świadka koronnego i innych osób (niezwiązanych ze sobą) o tym, kto wydał zlecenie zabójstwa Anny M. i kto był jego wykonawcą. Na podstawie znacznie słabszych dowodów prokuratorzy pisali akty oskarżenia i wygrywali sprawy.

– Gdybym mógł cofnąć czas, to nigdy w życiu bym nie usiadł do stolika z tym człowiekiem – mówi Bajbus. – Ani z Szulepą, ani z innymi prokuratorami. Wolałbym odsiedzieć za to, co zrobiłem, niż iść na układy. Bo dzisiaj już wiem, że to nic niewarte, te ich obietnice. Pilnowali mnie, żebym czegoś sobie nie zrobił, nie powiesił się, ale na pogrzeb nie zawieźli, za dużo fatygi. Naobiecywali, że zajmą się dziećmi, żebym tylko na procesie potwierdził, co zeznawałem w śledztwie. A kiedy ruszył proces, prokurator mi mówi: Dzisiaj rano podpalili panu dom. Kto, co – nie wiedział. Nie zeznawałem tego dnia. A potem kolejna rozprawa, przywożą mnie, a prokurator znów to samo: Jeszcze raz podpalili panu dom! Szlag mnie trafił. Odmówiłem potwierdzenia wcześniejszych zeznań i przestałem im być potrzebny”.

(Piotr Pytlakowski, Cena mówienia, "Polityka", 25.02.2014)

Dlaczego prokurator Michał Szulepa przestał szukać zabójców Anny? Odpowiedzi szukam w postanowieniu o umorzeniu śledztwa

z dnia 14 października 2009.

Przesłuchany w charakterze świadka Andrzej W., ps. Dony, „potwierdził, iż na początku 2006 roku spotkał się z mężczyzną o pseudonimie Daks, tj. jednym z przywódców grupy mokotowskiej. W trakcie rozmowy Daks zaproponował mu zabicie kobiety, nie wymieniając jednakże jej danych personalnych. Podczas tego spotkania nie ustalono żadnych szczegółów, a niedługo później Daks został aresztowany i Dony więcej z nim na ten temat nie rozmawiał. Świadek dodał, że już wiosną 2007 roku został zaproszony na spotkanie grupy mokotowskiej, na którym nieznany mu wcześniej mężczyzna, przedstawiany jako przywódca powyższej grupy przestępczej, spytał się go, czy wie, gdzie mieszka Bajbus. Świadek potwierdził i opisał położenie domu Bajbusa w Kobyłce. Następnie mężczyzna ten powiedział, że planowane jest uprowadzenie syna Bajbusa i ma on wskazać dom w Kobyłce, gdzie mieszka jego rodzina. W konsekwencji Dony kilka dni później wskazał przedmiotową posesję dwóm mężczyznom, których rozpoznał ze zdjęć na tablicy poglądowej”.

Ci dwaj to Norbert D. i Mariusz S., ps. Marcel. Ten pierwszy stanowczo zaprzeczył, by miał cokolwiek wspólnego ze zbrodnią i by rozmowa, o jakiej opowiadał Dony, w ogóle się odbyła. Powiedział, że nie znał Bajbusa, a o śmierci jego żony dowiedział się z telewizji. Ten drugi znów trafił na przesłuchanie, ale tym razem w Warszawie, nie Ostrołęce. Marcel zeznał, że „Mokotów” chciał zabić Bajbusa, a ponieważ chroniły go mury aresztu – uderzono w jego rodzinę. Wiedział o wszystkim od Donego i Wojtasa, który zastanawiał się nawet nad podłożeniem bomby pod domem Bajbusa.

W sprawie przesłuchano nawet słynnego Janusza P. Parasola

z zarządu „Pruszkowa”. Ktoś słyszał, jak podczas transportowania więźniów rozmawiano o Bajbusie i konsekwencjach tego, że poszedł na układ z prokuraturą. Parasol powiedział: „Jeszcze parę dni i odstrzeli dzieciaka”. Parasol tłumaczył się, że komentował przy więźniach całe zdarzenie, natomiast w żaden sposób nie miał nic wspólnego ze śmiercią Anny M.

„Wobec faktu, iż w chwili obecnej wyczerpane zostały możliwości dalszego poszukiwania, powyższe postępowanie należało umorzyć z uwagi na niewykrycie sprawcy czynu – czytamy w postanowieniu prokuratora Michała Szulepy. – Nadal jednak będą gromadzone i aktualizowane informacje pozaprosesowe, mogące mieć związek z przedmiotem śledztwa. W razie ujawnienia nowych, istotnych okoliczności postępowanie niniejsze zostanie niezwłocznie podjęte”.

(sygn. akt Ap V Ds. 21/09 Prokuratury Apelacyjnej w Warszawie)

List Agnieszki do ministra sprawiedliwości

Panie Ministrze Sprawiedliwości. Moją mamę zastrzelono. Dostała sześć kul w plecy i głowę. Zginęła w Kobyłce 10 stycznia 2008 roku, ponieważ mój ojciec poszedł na współpracę z prokuraturą. Moja mama nie była niczemu winna. Nazywała się Anna M., miała 35 lat. Ja mam na imię Agnieszka, miałam wtedy 14 lat. Dziś jestem dorosła, pragnę założyć rodzinę, ale nie potrafię żyć przyszłością, skoro przeszłość związana ze śmiercią mojej mamy wciąż nie jest zamknięta.

Zabójstwo Anny M. było przedmiotem śledztwa prowadzonego przez prokuratora Michała Szulepę z Prokuratury Apelacyjnej w Warszawie. Sprawa została umorzona, chociaż policja wiedziała, kto chce skrzywdzić naszą rodzinę, zanim doszło do tragedii.

Informacje o planowanej zbrodni na mojej mamie przekazał śledczym świadek koronny Mariusz S., ps. Marcel. Wymienił osoby, które tego zadania miały się podjąć. O treści zeznań świadka koronnego wiedzieli funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego, ale nie zrobili nic, aby ochronić moją mamę.

Panie Ministrze Sprawiedliwości. Mordercy mojej mamy nigdy nie zostali ukarani. Żadnych konsekwencji nie ponieśli także urzędnicy, których lekceważący stosunek do zeznań świadka koronnego Marcela zakończył się dramatem całej naszej rodziny.

Proszę Pana, aby zlecił Pan ponowne śledztwo w tej sprawie, doprowadził do sprawiedliwego rozstrzygnięcia, czyli ukarania winnych. Tylko wtedy ja, córka Anny M. zamordowanej przez polską mafię, będę mogła rozpocząć nowe, dorosłe życie.

Agnieszka [tu nazwisko]

Postscriptum

Zbrodnia na Annie M., poza ludzkim dramatem, miała też symboliczny wymiar. Była i jest nadal symbolem silnej mafii i słabego państwa. Żaden układ z prokuraturą, nawet ten wymierzony w kombinat zbrodni, jakim był „Mokotów”, nie był tego wart. Umorzenie śledztwa w sprawie zabójstwa żony Bajbusa dowiodło, że w Polsce można zabijać bezkarnie. Mafia zastrzeli jutro ważnego świadka, prokuratora i dziennikarza, bo ma na to przyzwolenie.

Panie Ministrze Sprawiedliwości. Ta książka jest moim postscriptum do listu Agnieszki.

Ewa Ornacka

Fotografie

© PAP / CAF



Strzelając w Zakopanem do Andrzeja K. Pershinga, który przyjechał tam na narty, po raz pierwszy w historii polskiej mafii naruszono niepisaną zasadę, że nie załatwia się porachunków podczas wyjazdów wypoczynkowych.



© Witold Rozbicki / REPORTER



6 marca 2003 roku, Magdalenka. Miejsce strzelaniny pomiędzy policją a bandytami. Obydwaj ukrywający się przestępcy zginęli. Śmierć poniósł jeden policjant, a 15 zostało rannych.

© Witold Rozbicki / REPORTER



© Witold Rozbicki / REPORTER



© Witold Rozbicki / REPORTER



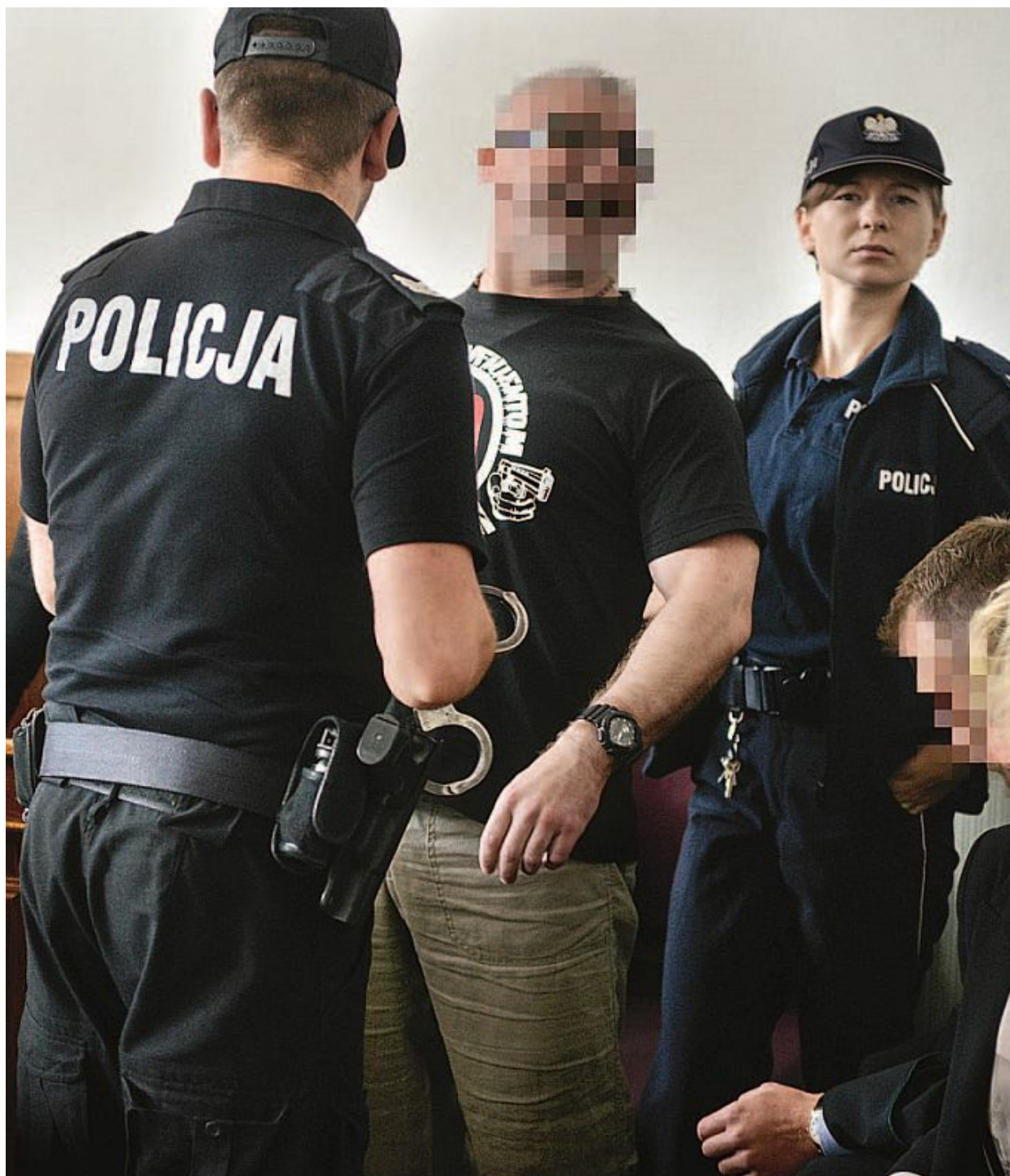
Magdalenka. Podczas próby zatrzymania dwóch bandytów zamieszanych w głośne zabójstwo policjanta w podwarszawskich Parolach doszło do wymiany ognia. Policjanci z oddziałów antyterrorystycznych wkroczyli na teren posesji. Zostali obrzuceni granatami i ostrzelani z broni automatycznej. Zginęło dwóch bandytów i jeden policjant. Na zdjęciu budynek, w którym ukrywali się przestępcy po zakończeniu akcji.

© Darek Redos / REPORTER



25 lutego 2004 roku, Sąd Okręgowy w Warszawie. Rozprawa 19 członków gangu „mutantów”, oskarżonych w sprawie próby odbicia w 2002 roku w podwarszawskich Parolach TIR-a z cennym ładunkiem. W strzelaninie zginął policjant. Na zdjęciu oskarżeni Mirosław Sz. i Tomasz S.

© Jakub Kamiński / PAP



17 sierpnia 2016 roku, Warszawa. Jeden z oskarżonych pod policyjną eskortą na sali rozpraw warszawskiego Sądu Okręgowego. W procesie dziesięciu oskarżonych o kilka głośnych porwań z lat 2004–2005 w stolicy dwóch mężczyzn zostało skazanych na 3 i 2 lata więzienia; ośmiu sąd uniewinnił, głównie z powodu błędów w śledztwie.



– Media i policja niesłusznie nazwały tę sprawę procesem „gangu obcinaczy palców”, bo żaden z sądzonych nie miał takiego zarzutu – mówiła w sierpniu 2016 roku w uzasadnieniu nieprawomocnego wyroku przewodnicząca trzosobowego składu Sądu

Okręgowego Warszawa-Praga sędzia Barbara Piwnik. Proces toczył się od 2006 roku.

© Jakub Kamiński / PAP



Grzegorza K., ps. Ojciec, zatrzymano w styczniu 2006 roku i chociaż przedstawiono mu szereg zarzutów związanych z uprowadzeniami dla okupu, to już w grudniu 2007 roku sąd uchylił mu areszt. Śledczym opadły ręce, jednak więcej powodów do zmartwień mogli mieć świadkowie, którzy zeznawali w procesie o porwania.

© Witold Rozbicki / REPORTER



© Tomasz Radzik / SE / East News



Rafał S., ps. Szkatuła, dostał wsparcie z grupy żoliborskiej i wypowiedział wojnę

Korkowi. Głośna strzelanina w centrum handlowym Klif w maju 2002 roku była częścią tej wojny, zginęło wtedy dwóch ludzi z „Mokotowa”. Po latach Szkatuła stanął przed sądem za kierowanie grupą przestępczą. W październiku 2011 skazano go na 5,5 roku więzienia i 10 tys. zł grzywny.

fot. ze zbiorów Ewy Ornackiej



Na mokotowskiej liście osób do uprowadzenia znalazła się Monika Banasiak, żona Andrzeja Z. Słowika (od kilku lat są już po rozwodzie). Kiedy Słowik trafił za kraty, w przestępczej Warszawie krążyły legendy o majątku, jaki rzekomo pozostawił Monice. „Mokotów” musiał być przekonany, że słynny gangster odda każde pieniądze za bezpieczeństwo rodziny.

fot. ze zbiorów Andrzeja Kawczyńskiego



fot. ze zbiorów Andrzeja Kawczyńskiego



Andrzej Kawczyński, ps. Kawior, były szef Wydziału do Walki z Terrorem Kryminalnym Komendy Stołecznej Policji, przez lata deptał po piętach przestępcom z „Mokotowa”. Bezkompromisowy, do bólu uczciwy, zaangażowany w pracę do granic możliwości. Dziś niestety na emeryturze.

© Robert Kwiatek / East News



Wyrok Sądu Okręgowego w Gdańsku w sprawie przemytu kokainy zapadł 30 grudnia 2008 roku. Andrzej H., ps. Korek, dostał 12 lat. W tym samym roku krakowski sąd skazał go na 15 lat więzienia za przemyt ok. 90 kg kokainy, a rok później Sąd Okręgowy w Warszawie – na 14 lat za kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą dokonującą napadów, porwań i zabójstw.



Policjanci i przestępcy z otoczenia Korca zgodnie twierdzą, że Andrzej H. mógł być równy Pershingowi, lecz zabrakło mu szczęścia. Ale przecież Pershing nie żyje, a Korek ma się dobrze, tyle że siedzi w więzieniu, więc kwestia, który z nich miał więcej szczęścia, jest co najmniej dyskusyjna.

© Adam Jankowski / REPORTER



Janek Fabiańczyk, ps. Majami (z lewej), na zdjęciu z premiery filmu *Pitbull. Niebezpieczne kobiety* z Piotrem Stramowskim. Kiedyś w stołecznej policji rozpracowywał gangi, dzisiaj jest aktorem, gra u Patryka Vegi. Polska mafia bała się go jak diabeł święconej wody. Sympatię widzów zdobył już na starcie.

© Viphoto / East News



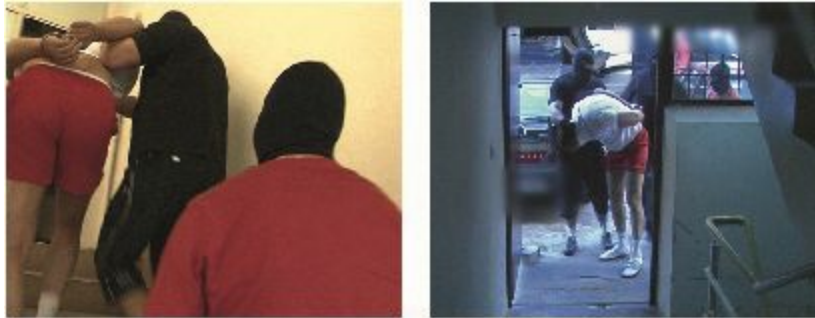
Filmowego policjanta o pseudonimie Majami w gangsterskiej produkcji Patryka Vegi zagrał – świetny w tej roli – Piotr Stramowski. Janek Majami Fabiańczyk spotkał się z nim na planie filmu *Pitbull. Niebezpieczne kobiety*.

© Viphoto / East News



Bogusław Linda na premierze filmu *Pitbull. Nowe porządki*. W filmie Patryka Vegi postaci są bliskie prawdziwym gangsterom „Mokotowa”. Na głównego bohatera zagraneego przez Bogusława Lindę „złożyły się” trzy osoby ze ścisłego kierownictwa grupy mokotowskiej: Korek, Daks i Wojtas.

fot. policja.pl



W lipcu 2007 roku policjanci ze specjalnej grupy pościgowej zatrzymali Artura N., poszukiwanego od czterech lat za przestępstwa w „gangu obcinaczy palców”. „Działalność Artura N. charakteryzowała się bezwzględnością, okrucieństwem i brakiem litości dla ofiar” – napisano w policyjnych komunikatach.

© Krzysztof Miller / Agencja Gazeta



Zbigniew C., ps. Daks, drugi po Bogu, czyli zaufany człowiek Korka, który przejął w gangu stery po aresztowaniu szefa. Prywatnie troskliwy ojciec, miłośnik zwierząt. Wystarczyło, żeby Daks powiedział swoim ludziom: „Róbcie to”, a gotowi byli na wszystko. Marcel zeznał, że to on wydał wyrok na żonę Bajbusa.

fot. policja.pl



Wojciech S., ps. Wojtas, z zawodu mechanik silników spalinowych, urodzony w 1974 roku. Za kratami jest żywą legendą. Więźniowie mówią, że z jego bandycką odwagą i przebojowością można by z gangsterskiej Polski zrobić drugą Sycylię. Nie przewidział,

że zbrodnie wychodzą nawet po latach, a strach przed dożywociem kruszy największe przyjaźnie.

fot. policja.pl



Zatrzymany w połowie października 2007 roku Mariusz S., ps. Marcel, uprzedzał śledczych o planach zbrodni na rodzinie Bajbusa. Przesłuchiwał go prokurator Tomasz Jędrych z Ostrołęki, a śledztwo nadzorował prokurator Andrzej Luchciński, naczelnik Wydziału V Śledczego tamtejszej Prokuratury Okręgowej. Zeznania Marcela trafiły do szuflady. Dwa miesiące później Annę M. zastrzelono.

fot. ze zbiorów Ewy Ornackiej



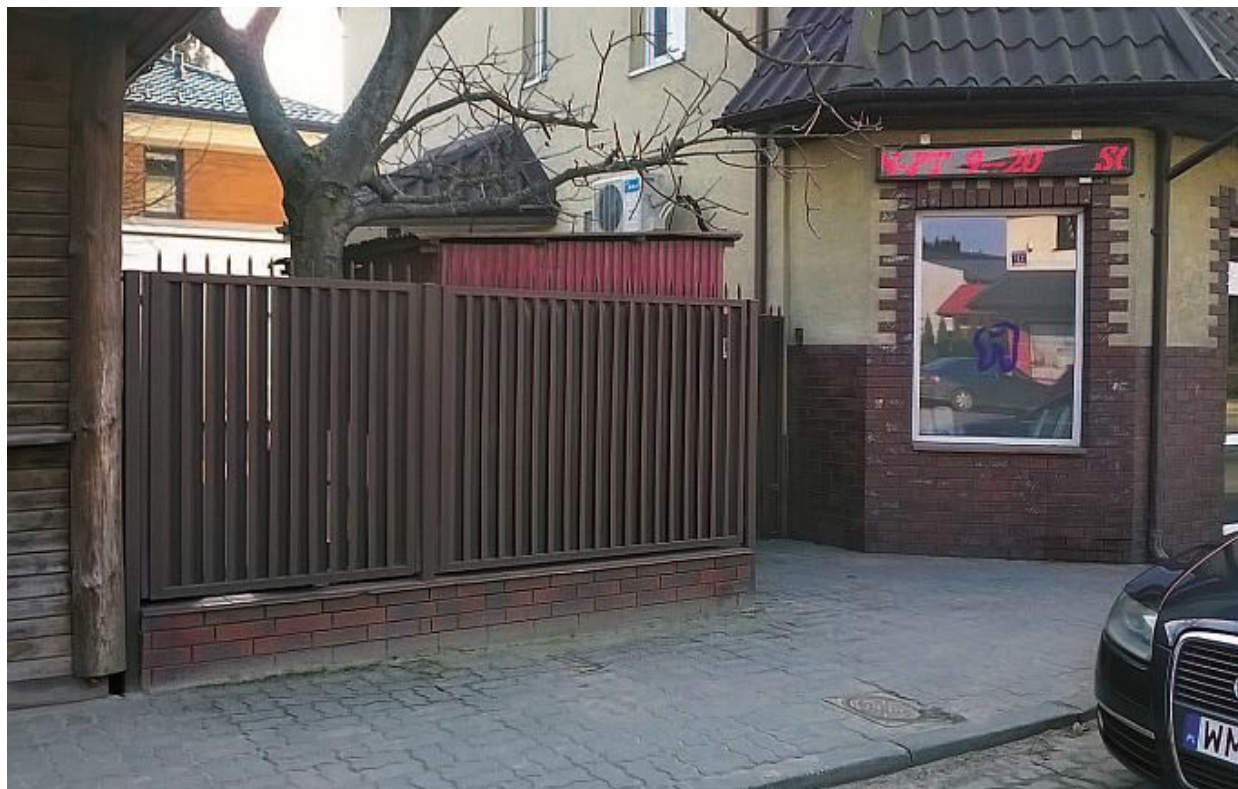
fot. ze zbiorów Ewy Ornackiej



Bajbus i jego dzieci codziennie widzą miejsce, w którym umierała Anna. Sklep spożywczy, przed którym ją zastrzelono, znajduje się kilkadziesiąt metrów od ich domu, po drugiej

stronie ulicy.

fot. ze zbiorów Ewy Ornackiej



fot. ze zbiorów Ewy Ornackiej



Krzysztof M., ps. Bajbus: – Ci, którzy zabili mi żonę, nie zasługują nawet na to, by mówić o nich „przestępcy”. Bo co to za przestępcy, którzy strzelają do matki, gdy jej dzieci jeszcze śpią w domu? Jaka jest ta ich odwaga? Niech staną jeden z drugim ze mną, jak równy z równym, a nie chowają się po kątach jak tchórze!

fot. ze zbiorów Ewy Ornackiej



Akta sprawy karnej grupy Bajbusa w warszawskim sądzie mieszczą się na kilku takich wózkach...

fot. ze zbiorów Ewy Ornackiej



Krzysztof Spiechowicz, jeden z najlepszych w Polsce dziennikarzy śledczych (jest współautorem m.in. cyklu dokumentalnego *Alfabet mafii*, emitowanego w TVN), ostrzega, że do porwań dla okupu zazwyczaj przyczynia się ktoś z bliskiego otoczenia ofiary.

Kombinat zbrodni. Grupa mokotowska

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Wstęp

Z akt sądowych

Rozdział 1 Salonowe znajomości

Rozdział 2 Interes życia, czyli jak kokaina wyparła maszyny hazardowe

Rozdział 3 Jak „Mokotów” sięgał po władzę

Rozdział 4 O tym, jak Bajbus wyrósł z boksera na gangstera

Rozdział 5 O Dziku, który skonał w lesie

Rozdział 6 O Pitbullu, nowych porządkach i liście śmierci

Rozdział 7 Jak złe psy dorabiały do pensji

Rozdział 8 „Wojtasy” na fali, czyli porwania 2003-2005

Rozdział 9 Prokurator też ma listę, czyli polowanie na mokotowskich

Rozdział 10 Nie nazywajcie ich obcinaczami palców

Rozdział 11 Trzydzieści jeden dni w piekle

Rozdział 12 W życiu nie jest jak w filmie

Rozdział 13 Teraz mówi Korek

Rozdział 14 Bez przebaczenia

Postscriptum

Fotografie

Karta redakcyjna

Text copyright © by Ewa Ornacka 2017

All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2017

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Krzysztof Tropiło

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce

© Aluxum / Getty Images

Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Kombinat zbrodni. Grupa mokotowska, wyd. I, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-822-9

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl

EWA ORNACKA

KOMBINAT ZBRODNI

**WŁADCY MOKOTOWA.
HISTORIA NAJBARDZIEJ BRUTALNEJ
GRUPY PRZESTĘPCZEJ W POLSCE!**

